

Rafał Ziemkiewicz

Władca szczurów

Opowiadania

Rafał A. Ziemkiewicz urodził się 13 września 1964 roku w Piasecznie koło Warszawy. Mieszka w stolicy. Po ukończeniu XLIV Liceum Ogólnokształcącego im. A. Dobiszewskiego został przyjęty na Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie obecnie studiuje. Fantastyką interesuje się od dzieciństwa, w roku 1980 zaś trafia do Klubu Fantastyki SFAN. W niedługim czasie staje się aktywnym fanem SF. Na początku roku 1982 założył wspólnie z Robertem Azembskim, Jarosławem Grzędowiczem, Jackiem Piekarą i Tomaszem Lipowskim grupę autorską TRUST, która działa do dziś, choć część autorów wyłamała się już dawno z narzuconych sobie wzorców. Ziemkiewicz pozostał im jednak wierny. Tak jak zakładał program TRUSTu, pisze opowiadania utrzymane w konwencji realistycznej, poruszające tematykę socjologiczną i polityczną, w warstwie formalnej pozostając w kręgu sprawdzonych wzorów amerykańskiej fantastyki „Złotego Wieku”.

Rok 1982 przynosi Ziemkiewiczowi pierwsze sukcesy. W ogólnopolskim konkursie zorganizowanym przez SFAN–Club, Naszą Księgarnię i Młodzieżową Agencję Wydawniczą zdobywa jedną z nagród i wyróżnienie. W lipcu tegoż roku debiutuje na łamach łódzkich „Odgłosów” w redagowanej przez SFAN–Club rubryce „W kręgu fantastyki”. „Odgłosy” opublikowały prawie wszystkie jego opowiadania, kilka ukazało się w „Młodym Techniku”. Ziemkiewicz jest drugim (po Piekarze) autorem TRUSTu, który dorobił się własnego zbioru książkowego.

W roku 1984 zostaje kierownikiem działu polskiego w kwartalniku PSMF „Feniks.” Prowadzi starania o uruchomienie fanzinu, który ma być sztandarowym pismem młodych autorów.

Jego ulubieni autorzy to Hłasko, James Jones, Strugaccy i Dick, słucha też często piosenek Kaczmarek i Kelusa. Poza tym, jak twierdzi, nie ma innych zainteresowań — pisanie jest jego jedyną pasją i całą swoją działalność temu właśnie podporządkowuje.

W niniejszej książce przedstawiamy wybór najwcześniejszych opowiadań Ziemkiewicza z lat 1981–1983. W chwili, gdy oddajemy zbiór do druku, autor krytycznie ocenia swoje dotychczasowe próby literackie i pilnie pracuje nad nowym zbiorem opowiadań oraz powieścią. (Red.)

NOTATNIK (I)

— Gravsah N. T. Avaken — przeczytał sekretarz — gwałt, dwa rabunki i nieumyślne morderstwo. Tyle mu udowodniono. Osiem lat, dwa odsiedział.

Pułkownik znudzonym wzrokiem zlustrował więźnia.

— Więc chcecie wstąpić do armii?

Avaken stał nieruchomo, z rękami w kieszeniach.

— Słyszałem, że tam u was przynajmniej porządnie karmią.

Pułkownik bez słowa podsunął mu plastikową kartę i pisak.

— Pamiętajcie, że obowiązuje was od tej chwili ściśle posłuszeństwo.

Avaken podpisał.

— Kiedy stąd wyjdę?

— Jutro; pierwszy żołd za tydzień. Następny.

## Cortex cerebri

Bluza mundurowa... pas skórzany z kaburą... broń krótka i siedemnaście sztuk amunicji... buty oficerskie ze srebrnymi ostrogami, oznaką korpusu dragonów...

Patrzył w milczeniu, jak robot wprawnymi ruchami przesuwając sprawdzone części ekwipunku z biurka na długą, brązową ladę.

— Bagnet — powiedział sucho android przesuwając wszystko na lśniącą lakierem deskę.

Avaken z niechętnym westchnieniem wyjął z kieszeni czarny, skórzany futerał. To jasne, robot nie mógł o tym zapomnieć. Po raz ostatni wyjął nóż z pochwy i przez chwilę jeszcze przyglądał się ze smutnym uśmiechem jego lśnącemu, srebrzystemu ostrzu przeciętemu od czubka klingi po rękojeść pionowym wgłębieniem. Błyszczało ono w ostrym świetle jarzeniówek pełzającymi plamami światła, zdawało się żyć. Poglądał je pieśczośliwie. Pod palcami poczuł cienką warstwę smaru, którym regularnie co tydzień pokrywał klingę.

— Proszę bagnet — powtórzył beznamiętnie robot. Avaken nerwowo wcisnął nóż do pochwy, aż jęknął zatraskowy zamek i położył go na biurku.

Zdecydowałeś się już. Nie przedłużaj tego, pomyślał patrząc, jak futerał wędruje na brązową ladę, by spocząć obok złożonego munduru.

Robot otworzył szufladę biurka i wyjął z niej dwie żółte, plastikowe karty i arkusz srebrzystej kalki tego samego formatu. Złożył je razem i położył przed sobą. Błyszcząca igła, która wysunęła się z palca kancelisty, błędziła przez chwilę po lśniącej tafli, wypełniając rubryki danymi z książeczki wojskowej Avakena. Następnie automat wziął obie złożone ze sobą karty i wsunął je w szczelinę stempla. Rozległ się cichy szum i na wyjętych ze szczeliny czarnego walca kartach pojawiły się okrągłe, wklęsłe pieczęcie.

— 033.027.859 zdemobilizowany na wniosek własny — oświadczył kancelista urzędowym tonem, kładąc przed Avakenem kartę demobilizacyjną. Jej kopię schował wraz z listkiem srebrzystej kalki do szuflady.

— Możecie odejść — dorzucił po dłuższej przerwie, w czasie której Avaken nieruchomo wpatrywał się w żółty prostokąt. Wreszcie zabrał go z biurka i wyszedł z gabinetu.

Dopiero gdy był już na korytarzu dotarło do niego, co się stało. Poruszył ramionami, jakby chciał poprawić jakiś leżący na nim ciężar.

No, stało się wreszcie, powiedział do siebie.

Minął przeszkłone wrota windy i skręcił w przeciwną stronę drzwi. Jego szybkie kroki zadudniły po schodach. Windą byłby na dole szybciej, ale winda nigdy nie jeździ pusta, a on nie chciał już spotykać nikogo z dawnych znajomych i przyjaciół. Po części wstydził się pokazać im w cywilnym ubraniu (czuł się w nim jak nagi), a po części miał już serdecznie dość tych ich idiotycznych spojrzeń, pytań i dobrych rad: „Odchodzisz? Co ty, człowieku, oszalałeś? Mówię ci, robisz głupstwo, zastanów się nad tym. Co ci się stało?” Od pewnego czasu stracił z nimi kontakt, choć ciągle przebywali ze sobą. Nie rozumieli się wzajemnie i Avaken często już wolał włóczyć się samemu po zatłoczonych ulicach miasta niż siedzieć w kasynie albo w koszarach. Nigdy w życiu nie czuł się parszywiej niż w czasie tych długich, samotnych spacerów. Ale właśnie w czasie jednego z nich poznał przypadkiem Chris.

Zanim wyszedł na parter, wystawił głowę przez uchylone drzwi i rozejrzał się ostrożnie. Korytarzem szedł kapitan Yasath ze swoją żoną, porucznik Liii z trzynastego samodzielnego. Odczekał, aż zniknęli za zakrętem korytarza, i szybkim krokiem przebiegł kilkanaście metrów dzielących go od głównego wyjścia. Wartownik przy bramie nie zsalutował mu. Może zastanawiał się przez chwilę, skąd wziął się w budynku cywil, z pewnością jednak nie domyślił się, że był to pierwszy i jedyny od wielu lat zdemobilizowany na własną prośbę.

Avaken nie zwrócił na wartownika najmniejszej uwagi. Nie dostrzegał już niczego ani nikogo oprócz jasnowłosej dziewczyny czekającej na niego przy samochodzie. Nie zauważył

nawet, że zaczął ku niej biec. To dla niej właśnie rzucał pierwszą wielką miłość swego życia: armię.

\* \* \*

Generał Lant nie należał do ludzi, którzy wrzeszczą na podwładnych o byle co. Wprost przeciwnie. Nawet o najważniejszych sprawach rozmawiał z nimi spokojnym, cichym głosem, tonem tak lodowatym, że aż przyprawiał słuchających, a zwłaszcza strofowanych, o dreszcze. I chyba właśnie dlatego, że nigdy nie dawał się ponieść nerwom, wszyscy podwładni bali się go panicznie. W kryzysowych wypadkach woleli już mieć do czynienia z jego cholerycznym zastępcą, co też im się zwykle udawało, bo generał miał na głowie ważniejsze rzeczy niż sprawy dyscyplinarne, nie lubił zresztą upominać swoich oficerów.

To, że wezwał ich jeszcze tego samego dnia, świadczyło najlepiej, jak wielką wagę przywiązywał do sprawy Avakena. Stenton już kilka tygodni wcześniej, skoro tylko Avaken oznajmił mu swą decyzję, spodziewał się, że przysporzy mu ona kłopotów. Nie przypuszczał jednak, że zostanie wezwany przez samego Lanta, i to w dodatku do jego prywatnego mieszkania. Siedział w miękkim fotelu jak na szpilkach, patrząc kątem oka na nie mniej zdenerwowanego dowódcę drugiej brygady, pułkownika Intore.

— Sądzę, że zdążyli się już panowie z tym zapoznać — powiedział Lant podnosząc w górę podanie Avakena. Rozwarł palce i pokryty równymi liniami pisma arkusz ześlizgnął się na blat stołu. — Nie zamierzam teraz panów strofować ani szukać winnego...

Potoczył po nich wzrokiem.

— Jeśli chodzi o mnie, panie generale... — zaczął Intore, nie wytrzymawszy tego spojrzenia. Lant uciszył go ruchem dłoni.

— ...ale uważam — ciągnął — że nie możemy tej sprawy tak zostawić. Nie możemy mu pozwolić odejść. Utrata wyszkolonego oficera powoduje poważną lukę w systemie dywizji, a nie dysponuję w tej chwili nikim, kto mógłby go zastąpić.

— Może zażądać przysłania kogoś z innej dywizji? — zaproponował Intore.

Lant wzruszył ramionami.

— Możemy. Chociaż wątpię, czy w jakiegokolwiek innej dywizji mają wolnych oficerów. W ostateczności moglibyśmy po prostu ściągnąć młodego człowieka z podchorążówki i pogodzić się z utratą Avakena. — Lant zgniół w popielniczce cygaro. — Ale musimy przecież pamiętać o naszym prestiżu. Armia wydała miliardy na plan „Cortex cerebri”, który miał nas zabezpieczyć na zawsze przed temu podobnymi zdarzeniami. A fakt, że zdarzył się pierwszy od trzydziestu czterech lat dezertor, zostanie na pewno podchwycony i rozdmuchany przez cywilów.

A wtedy, pomyślał Stenton, generał Lant dostanie w sztabie głównym po łbie.

— Obawiam się — powiedział na głos — że próby wywarcia na Avakenie presji, jeśli je odkryje prasa czy holowizja, mogłyby mieć dla nas fatalne skutki. Avaken w tej chwili jest chroniony przez prawo cywilów.

— To nie jest przeszkoda — powiedział Lant. — Popełniliśmy gdzieś błąd i nie cofnę się przed niczym, aby dowiedzieć się, na czym on polega. Krótko mówiąc: Avaken musi wrócić do armii i nikt ani przez chwilę nie może mieć wątpliwości, że zrobił to z własnej woli. Wezwałem tu panów, abyśmy zastanowili się, jak to zrobić.

Podniósł się i ze szklanką w ręce podszedł do barku. Był to jeden z tych drogich, luksusowych mebli, których nie można kupić w normalnych sklepach. Zrobiony z prawdziwego drewna, miał kształt kilkunastu leżących rzędem beczulek. Z każdej beczułki sterczał srebrzysty kranik, z którego po podstawieniu kubka wypływał strumień orzeźwiającego płynu.

Beczulek było czternaście i każda z nich zawierała inny napój. Stenton widział już kiedyś podobne urządzenie w salonie profesora Karnsa, ale tam było tylko dziewięć antałów i kraniki przy nich trzeba było obsługiwać ręcznie.

Przez skojarzenie z tym luksusowym barkiem przypomniał mu się sam Karns, człowiek, który swego czasu wprowadzał go w tajniki planu „Cortex cerebri”. Dziś był już zapewne emerytem.

Stenton zastanowił się. Emeryci mają zazwyczaj wiele czasu. Możliwe więc, że Karns zgodzi się mu pomóc. Jest świetnym fachowcem, a poza tym ten Avaken był operowany właśnie w tym okresie, kiedy Karns kierował sztabem chirurgów i programistów. Stosowano wtedy nieco inne metody niż te, których używał Stenton.

I zanim generał Lant napełnił swoją szklanekę złocistym winem i ponownie usiadł przy stole, Stenton wiedział już, co ma zrobić.

\* \* \*

Avaken leżał wygodnie na miękkim, szerokim tapczanie i nudził się niepomierne. Od rana nie mógł sobie znaleźć miejsca. Obudził się, jak zwykle, o piątej — chociaż nikt go nie wzywał na poranny apel — i potem już nie mógł zasnąć. Leżał przez trzy godziny bez ruchu wsłuchując się w równy, spokojny oddech śpiącej Chris i rozmyślając jeszcze raz nad swoją decyzją o opuszczeniu armii.

Przerwał w końcu te jałowe rozważania głuchym westchnieniem i wstał. Żeby się nie nudzić i jednocześnie zrobić coś pożytecznego, przygotował śniadanie, ale tak je przypalił i przesolił, że nadawało się tylko do wyrzucenia. Chris obudziła się o dziewiątej, zrobiła porządną posiłek i poszła do pracy.

Avaken leżał od kilku godzin na tapczanie ubrany w kwiecisty szlafrok, w którym czuł się jak błazen. Jak zresztą we wszystkich cywilnych ubraniach. Dawno już minęła pora śniadania i sprawdzania sprzętu. Minął czas przedpołudniowych ćwiczeń i zajęć teoretycznych, zdano codzienne raporty, a on wciąż leżał i nudził się. Usiłował czytać walające się po mieszkaniu cywilne tygodniki, ale ich język rojący się od błędów i wręcz debilna treść szybko go do tego zniechęciły.

Około drugiej w mieszkaniu rozległo się natrętne buczenie wideofonu. Avaken usiadł na tapczanie. Siedział chwilę, zastanawiając się czy go odebrać, aż w końcu podszedł do wtopionego w ścianę ekranu i nacisnął włącznik.

Na ekranie ukazał się krótko ostrzyżony mężczyzna o pociągłej twarzy, ubrany w szary, nieco wymięty garnitur.

— Słucham pana?

— Dzień dobry. Pan Avaken?

— Tak, to ja.

— Jestem An Tanken z „Dziennika Południowego”.

— Dziennikarz?

— Tak. Chciałbym z panem porozmawiać.

— Sądzę, że nie mam do powiedzenia nic, co mogłoby zainteresować pańskich czytelników.

— Pan jest pierwszym od wielu lat człowiekiem, który zrezygnował ze służby w armii.

Cholerny gryziopiórek. Jak on się mógł o tym dowiedzieć? Daję głowę, że armia niczego oficjalnie nie ogłosiła.

— Więc gdyby pan mógł...

— Nie, nie mógłbym — odpowiedział Avaken stanowczo.

— ...czekam na pana w barze „Mathena”!

Wyłączył wideofon i stanąwszy na środku pokoju zaczął się zastanawiać, co robić dalej.

Dość już miał beczynnego leżenia na kanapie. Nie chciał też brać ponownie natrysku, robił

to już dwa razy. Znużonym ruchem zrzucił z siebie kwiecisty szlafrok i podszedł do ściennej szafy. Nacisnął przycisk zamka i wyjął z niej swoje jedyne ubranie, w którym opuścił jednostkę. Bez pośpiechu zaczął je zakładać. Brązowe, obcisłe spodnie, lekko rozszerzane na dole, koszula z pagonami, lekka kurtka ze ściągaczem, bez podszewki. Na nogi włożył miękkie, gumowe pantofle.

Podobne do tych, jakich używali kiedyś grenadierzy pancerni, pomyślał. Nalał sobie szklankę wody sodowej i podszedł do lustra.

Dopiero teraz zauważył, że ubranie, które kupił na kilka dni przed opuszczeniem armii, przypominało nieco krojem i barwą mundur.

Usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Dla przyzwyczajonego do ciężkiej pracy żołnierza taka przymusowa bezczynność była prawdziwą torturą. Przypatrywał się chwilę pomarańczowej, gąbczastej substancji wypełniającej papierosa. Żarzyła się delikatnie, powoli zamieniając się w wąską smużkę sunącego ku sufitowi błękitu. W wojsku udawało mu się czasem dostać papierosy z prawdziwym tytoniem, tutaj musiał poprzestać na syntetycznym.

Nawet się specjalnie nie zmartwił, gdy sięgając po szklankę nieostrożnie przytknął papierosa do kurtki. Syntetyczne włókna tkaniny zwęgliły się w jednej chwili i na bluzie wykwitła rozległa, czarna plama. Starczyło tylko dotknąć jej lekko palcem, by rozsypała się w czarne, kruche płatki.

Cywilny śmieć. Mundury są robione z porządnego materiału.

Zgasił papierosa i zdjął kurtkę. Nawet nie zaklął. Ubrań było przecież w sklepach pod dostatkiem, a o pieniądze mógł się nie martwić. W dodatku miał wreszcie pretekst, by wyjść z mieszkania.

Kilka minut później był już na ulicy. Wtopił się w wartki nurt szarych, nic nikomu nie mówiących twarzy i płynął z nimi kaskadą ruchomego chodnika. Znał jeden sklep, wciśnięty między dwa wielkie biurowce, do którego czuł jakąś dziwną sympatię. W godzinach urzędowania był pusty, dopiero po trzeciej zalewała go upuszczona z sąsiednich budynków urzędnicza, bezosobowa ciecz. Avaken trafił tam kiedyś przypadkiem, włócząc się starym zwyczajem wśród tego obcego mu tłumu.

Marzył wtedy, by ktoś tam na niego czekał, za grubymi murami koszar. Mówił wszystkim kolegom, że tak jest naprawdę i w końcu niemalże sam w to uwierzył. W rzeczywistości nie miał nikogo. Z rodzicami i przyjaciółmi zerwał kontakt, gdy znalazł się w więzieniu w Menenso (właściwie to oni z nim zerwali). A potem, gdy zaciągnął się do dragonów, wychodząc z założenia, że lepiej odbębnić te kilka lat w wojsku niż w mamrze, i gdy zasmakowawszy w wojskowym stylu życia pozostał tam na stałe, słabiutka więź ze światem, w którym się urodził i wychował, uległa ostatecznemu zniszczeniu. Przez wiele lat jakoś sobie radził ze swoją samotnością, ale w końcu zaczęła go przerastać, dusić. Więc kiedy poznał Chris, nie wahał się ani chwili. Po prostu musiał być przy niej.

W sklepie wybrał sobie marynarkę, wąskie spodnie i pstrokate szarawary, uważając, by w niczym nie przypominały munduru. Wziął to wszystko pod pachę i powoli szedł do domu.

Zupełnie niespodziewanie znalazł się przy barze „Mathena”. Stał przed nim dłuższą chwilę, a potem wzruszył ramionami i wszedł.

— Dzień dobry! — przywitał go oparty o ścianę dziennikarz. — Już myślałem, że pan nie przyjdzie.

— Wcale nie miałem zamiaru przychodzić — odparł Avaken wrzucając monetę do dystrybutora z napojami. — Ale skoro już jestem, niech pan nie traci czasu i mówi od razu, o co chodzi.

Kątem oka wyłowił delikatny ruch palca dziennikarza na wyłączniku ukrytego za połą kurtki magnetofonu.

— Panie poruczniku...

— Nie jestem już porucznikiem.

— Panie Avaken, jest pan pierwszym od trzydziestu czterech lat człowiekiem, który zdecydował się na opuszczenie armii. Co pana do tego skłoniło?

— Zrobiłem to z powodów osobistych.

— Czy doszło do jakichś konfliktów między panem a armią?

— Nie, nigdy nie miałem w armii żadnych konfliktów.

Dziennikarz nerwowo podrapał się po brodzie.

— Czy mówią panu coś słowa „Cortex cerebri”?

— O ile wiem, jest to łacińska nazwa kory mózgowej.

— Czy nie zetknął się pan, będąc w armii, ze sprawą planu „Cortex cerebri”?

— Nie przypominam sobie. — Avaken wzruszył ramionami.

— Może spróbuję panu przypomnieć. Osiem lat temu dziennikarz „Wieczoru”, Mereld Gofsky, ogłosił, że w armii dokonuje się w tajemnicy operacji mózgowi werbowanych rekrutów.

Tak, teraz sobie przypomniał. Słyszał o tej sprawie. Jeszcze jedno parszywe oszczerstwo tych pieprzonych urzędasów z opozycji.

— Gofsky twierdził, że jest w stanie dostarczyć dowodów na poparcie swojej tezy. Niestety, nie zdążył tego zrobić. W kilka miesięcy później zmarł w tajemniczych okolicznościach.

— Zmarł w sposób zupełnie normalny, na atak serca. Był już zresztą w podeszłym wieku.

— Istotnie, komisja śledcza mimo żmudnych poszukiwań nie natrafiła na żadne poszlaki, które wskazywałyby na nienaturalne przyczyny śmierci Gofsky’ego — zmieszał się Tanken.

— Widzę, że jednak słyszał pan coś o tej sprawie.

— Tak, jedna z wielu bzdur tej waszej prasy. Po prostu nie może wam się pomieścić w głowach, że w armii jest lepiej niż tu.

Dopił ze szklanki sok i wrzucił do dystrybutora następną monetę.

— W armii nigdy nie przeprowadzono żadnych operacji mózgu — powiedział. — Zgodnie z konstytucją służba wojskowa jest najzupełniej dobrowolna i każdy żołnierz może ją przerwać, kiedy zechce, tak jak ja to zrobiłem. Ale tam... to jest zupełnie inne życie. Kto tego raz zasmakował, nigdy nie będzie miał ochoty wracać do tych waszych śmierzących, betonowych mrowisk.

Czasem czuję się niemalże jak zdrajca. Dezerter, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

— Cóż, spodziewałem się, że tak pan będzie uważał. Ale skąd pan wie. — Dziennikarz nachylił się ku Avakenowi patrząc mu w twarz. — Może i pan był operowany, tylko zostało to wymazane z pańskiej pamięci? Mereld wpadł na trop tej sprawy zupełnie przypadkowo, dowiedział się o niej od lekarza, który u kilku swoich pacjentów—żołnierzy wykrył ślady operacji mózgu. Dzisiaj można już takie ślady usunąć, ale jeszcze kilka lat temu...

— Gofsky wysłał to wszystko z palca. Żołnierze nie leczą się nigdy u cywilnych lekarzy. Nie zamierzam zresztą więcej rozmawiać z panem na ten temat.

Avaken oparł się pięściami o bar.

— Ale ostatecznie można to przecież sprawdzić — nie ustępował Tanken. — Poddałby się pan odpowiednim badaniom... Widzi pan, przygotowujemy specjalny program holowizyjny poświęcony armii i dobrze by było, gdyby wziął pan w nim udział. Jeżeli chodzi o honorarium, to mogę panu obiecać...

Avaken przerwał mu w pół słowa.

— Niech pan wyłączy magnetofon.

Tanken pomyślał chyba, że udało mu się uczynić jakiś drobny wyłom w niewzruszonym uporze żołnierza. Posłusznie sięgnął dłonią ku małej kasetce, ukrytej pod marynarką.

— Więc słuchaj, pieprzony cywilu. Załóżmy nawet, że to, co wymyślił ten twój Gofsky, jest prawdą. I co z tego? Kiedy trafiłem do wojska, byłem pijakiem i narkomanem. Jeszcze parę lat i zgniłbym w więzieniu albo zachlał się na śmierć. A wojsko zrobiło ze mnie człowieka,

który ma po co żyć. Wisi mi, w jaki sposób. I jeżeli w tym twoim parszywym dzienniku znajdę coś szkalującego armię, to wybije ci wszystkie zęby.

— Czemu się pan wścieka? — zapytał spokojnie dziennikarz. — Przecież już pan nie jest żołnierzem.

Avaken chwycił go prawą ręką za koszulę na piersi i pochyliwszy się, wznosił nieco lewą pięść. Tanken spokojnie uwolnił się od jego chwytu i wzięwszy z półki pod ladą swoją torbę skierował się ku drzwiom.

Stał dłuższą chwilę z głupią miną, wreszcie wybiegł z pustego baru. Przebiegł dobre kilkaset metrów, przeskakując z jednego ruchomego chodnika na drugi. Dopiero przed domem zatrzymał się. Wsunął sobie do ust papierosa i zaciągnął się głęboko słodkawym dymem.

Gdy wchodził w drzwi wieżowca, dostrzegł wysiadającego z windy człowieka w mundurze dragona. Poznał go, był to major Stenton, szef medyczny brygady. Czyżby chciał mu złożyć wizytę? Avaken schował się za załomem korytarza i czekał, aż Stenton przejdzie.

Mieszkanie wciąż jeszcze było puste. Podniósł z podłogi nadpaloną kurtkę i wyrzucił ją do zsypu. Potem, nie ruszając się z miejsca, sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej walcowatą, błyszczącą bryłkę metalu. Zwykły nabój do mortyfikatora, kaliber 8,53, pojemność 300, czyli prawie dziesięć minut ciągłego ognia. Udało się go uchronić przed robotem-kancelistą. Ostatnia nić wiążąca go z wojskiem.

Przez chwilę obracał nabój w palcach, przyglądając się w zadumie jego lśniącej powierzchni, aż wreszcie z rozmachem rzucił go do zsypu.

\* \* \*

— Moim zdaniem przesadzono z tajnością sprawy — mówił Stenton. — Oczywiście, plan musiał zostać zachowany w tajemnicy, ale jego twórcy źle do tego podeszli. Nie chciano zmieniać rekrutów zbyt gwałtownie, obawiając się, by nie rzuciło się to zbyt w oczy dawnym znajomym żołnierza i nie doprowadziło do...

— Niech pan mówi jasno i dokładnie, o co chodzi — przerwał mu Lant.

Kątem oka dostrzegł złośliwy uśmiech na twarzy Intorego.

— Już mówię. Po prostu matrycę przygotowuje się w ten sposób, żeby wszczepiała rekrutowi jedynie dążenie do pewnych ideałów. Dzięki temu wynik operacji przypomina efekty tradycyjnego procesu szkoleniowego. Rekrut stwierdza po pewnym czasie, że nie znany mu dotąd styl życia zaczyna go wciągać, wdraża się do zajęć polowych, do dyscypliny... Tylko że nie wzięto pod uwagę możliwości stopniowego przeważania jednej z cech zapoczątkowanych zabiegiem nad pozostałymi. Wyjaśnię to może na przykładzie: pośród podstawowych cech, takich jak zdyscyplinowanie, umiejętność zachowania tajemnicy, czy umiłowanie wszelkich militariów, wszczepiamy żołnierzowi silne poczucie własnej godności jako nieodzowne przedstawicielowi sił zbrojnych narodu. Cecha oczywiście bardzo potrzebna, ale wszczepiono mu nie samo poczucie godności, lecz tylko nieustanne dążenie do niego. Z biegiem czasu cecha ta przybiera na sile, wchodzi w konflikt ze zdyscyplinowaniem i jeżeli była zaznaczona za mocno — jest to błąd nie do wykrycia przez komputer — bierze nad nim górę, doprowadzając do szeregu konfliktów z przełożonymi i w końcu do demobilizacji na własną prośbę.

— Rozumiem — powiedział Lant. — I tak było z Avakenem?

— Właśnie. Oczywiście sprawa była o wiele bardziej skomplikowana niż w podanym przez mnie przykładzie. Planujący matryce starają się unikać podobnych niebezpieczeństw i jedna groźna cecha zostaby skorygowana. U Avakena nałożyło się na siebie kilkanaście takich cech, łącząc się w dodatku z nie wytartymi pozostałościami poprzedniego okresu życia. Spowodowały one u niego silne poczucie wyobcowania i kompleks samotności. To z kolei połączyło się jeszcze z jego silną uczuciowością... Trudno mi to panom dokładnie

wytłumaczyć; rozszyfrowanie tej łamigłówki zajęło naszemu zespołowi prawie dwa dni wyteżonej pracy. Ale w tej chwili jesteśmy już w stanie odwrócić niekorzystne zmiany w jego mózgu.

Mimo że nieprzespana noc natarczywie dawała mu o sobie znać pieczeniem powiek i bólem głowy, uśmiechnął się szeroko, dumny z malującego się na twarzy Lanta zadowolenia.

— Chciałbym jeszcze wiedzieć, jak pan planuje tę akcję.

— Właściwie — Stenton wzruszył ramionami — do mnie należy tylko przeprowadzenie operacji. Jeżeli dostanę Avakena na stół operacyjny, w pół godziny będzie znowu normalnym żołnierzem.

— Zdążył już chyba nawiązać bliskie znajomości z niektórymi cywilami, zauważą jego zniknięcie.

— Skądże znowu. Po zabiegu podrzucimy go w to samo miejsce, z którego został zabrany. Pomyśli, że po prostu zasnął. A po jakimś tygodniu, dwóch, dojdzie do wniosku, że zrobił głupstwo...

— Zajmę się tym — powiedział Intore. — Wezmę kilku zaufanych żołnierzy.

— Po akcji będziemy musieli wymazać im to z pamięci, zastępując jakimś innymi wspomnieniami. Nie będzie z tym kłopotu.

— Mam zaufanie do swoich ludzi.

— Tak, panowie, to jest dobry plan — stwierdził Lant przerywając ich kłótnię. — Pułkownik, niech pan wybierze ludzi i przez kilka dni prowadzi dokładną obserwację Avakena. Nie może być żadnego ryzyka, rozumie pan?

— Naturalnie. Myślę, że dobrze będzie upozorować... powiedzmy mały wypadek samochodowy.

— To już pańska sprawa. — Lant skinął głową i dopił koniak z kieliszka. — Dziękuję panom. I życzę powodzenia.

— Jeszcze jedno, panie generale. — Stenton wyjął z kieszeni złożony we czworo arkusz papieru. — Avaken był pierwszym operowanym przy użyciu matrycy MC 234/128c, dlatego też u niego zaburzenia wystąpiły najwcześniej. Mam tu listę innych żołnierzy z tej samej matrycy. Proszę o zezwolenie na drobne zabiegi korekcyjne.

— Oczywiście — skinął głową Lant.

\* \* \*

Srebrna kula pchnięta stalowym tłokiem wytrysnęła ze swego łożyska i roztrzaskując delikatne druciki czujników wpadła na rozległe, usiane przeszkodami pole. Popchnięte cichym buczeniem rozchwianych czujników cyfry w okienku, na pionowej ścianie bilardu, zaczęły przeskakiwać z trzaskiem w miarę, jak rosła liczba zdobytych przez Avakena punktów.

Odrzucona sprawnymi uderzeniami dwóch plastikowych ramion bila wpadła między białe walce zwieńczone napisem 100 POINTS, szalała między ściankami pulpitu wywołując co chwila delikatny dzwonek i trzask przeskakujących cyfr. W końcu, odbiwszy się od samego szczytu wyznaczonego dla niej pola, gwałtownie pomknęła w dół. Prześlizgnęła się między wyciągniętymi ku niej rozpaczliwie ramionami i z trzaskiem zniknęła w głębi prostokątnego pudła automatu.

Avaken odruchowo odciągnął prawą ręką lśniący uchwyt w rogu pulpitu, ale gdy rozwarł palce, wypchnięty sprężyną metalowy tłoczek uderzył w powietrze. Sięgając dłonią do kieszeni na piersi zorientował się, że nie ma już ani jednej monety.

Na pionowej tablicy, nad rzędem cyfr oznajmających liczbę zdobytych punktów rozpalili się czerwony napis: GAME OVER.

Ze zrezygnowaniem huknął otwartymi dłońmi w szybę przykrywającą pulpit flippera i obróciwszy się spojrzał na wiszący na ścianie zegar.



Przegranie w bilard wszystkiego, co udało mu się wygrać od „jednorękiego gangstera”, i resztek pieniędzy, które zostały po zjedzeniu w barze obiadu, zajęło mu dwie godziny. Pozostało jeszcze czterdzieści minut. Obrzucił niechętnym spojrzeniem puste wnętrze zautomatyzowanego baru i staroświecki bilard, westchnął cicho i wyszedł.

Ten malutki automatyczny bar, w którym zazwyczaj jadał obiady, mieścił się przy wąskiej bezludnej uliczce. Zdarzało się jeszcze, że od czasu do czasu przejeżdżał nią jakiś zabłąkany samochód, ale chodniki były zawsze puste. Poza tym bar znajdował się blisko lądowiska, na którym Avaken codziennie od kilku dni osadzał swój transportowiec. Było to całkiem niezłe zajęcie, dawało mu poczucie swobody, wielkiej przestrzeni, do którego tak przywykł podczas codziennych ćwiczeń polowych, kiedy to wcieliwszy się jednocześnie w setki robotów bojowych, przemierzał wraz z nimi miliony kilometrów. Pilotowanie „trucków” było dla niego dziecinnie proste. Praca zresztą nigdy nie zajmowała mu więcej niż kilka godzin dziennie, bo tylko na tyle starczało zamówień. Potem można było zostawić transportowiec na lotnisku i iść, gdzie kto chciał. Wszystkich cywilów ten stan rzeczy bardzo cieszył. Avakena nie. Zmuszało go to do beczynnego łażenia po mieście, bo nie chciał przychodzić do mieszkania przed Chris. Nie znosił go, kiedy było puste.

Na ulicy pojawił się ciemny samochód i wolno podpełnął do Avakena, który niedbale obrzucił go spojrzeniem — banalny NT 497 kombi, nieco przestarzały. Włożywszy ręce do kieszeni szedł dalej, patrząc w ziemię. Samochód przesunął się obok niego i zatrzymał cicho.

— Avaken? — usłyszał za sobą. Odwrócił się. Przy samochodzie stało dwóch ludzi trzymających coś w rękach. Spojrzał na nich pytająco.

Odpowiedzią był zimny powiew gazu usypiającego, który przez chwilę czuł na policzkach.

— Av? — Wsunęła nieśmiało głowę do mieszkania. — Av, jesteś tu?

Cisza.

Weszła do przedpokoju. Drzwi zamknęły się za nią bezszelestnie. Zrzuciła płaszcz i buty i założywszy miękkie kapcie podeszła do szafy.

W pokoju unosił się jeszcze delikatny zapach zgaszonego przed chwilą mervilla z długim złotym filtrem wypełnionym pomarańczową gąbką. Niewielu ludzi paliło te papierosy. Avaken należał do tej nielicznej grupki.

Chris przebrała się w domową sukienkę i nacisnęła przycisk wentylatora. Nie znosiła tego zapachu i to, że Av wciąż palił, doprowadzało ją do wściekłości. (Każdego dnia palił coraz więcej. Ostatnio odpalał wręcz jednego mervilla od drugiego.) Dwa dni temu pokłócili się o to. Pierwszy raz, odkąd się poznali. Nie przypuszczała nigdy, że Av potrafi się z nią kłócić.

Napiła się soku. Coś było nie tak. Jutro miał odbyć się ich ślub, ale od pewnego czasu coś się nagle zepsuło. Nie potrafiłaby powiedzieć, co. Jakieś nieuprzejme burknięcia znad papierosa, jakaś dziwna nerwowość...

Podeszła do stolika. Popielniczkę wypełniał stos niedopałków. Wypalił chyba ze dwie paczki. Obok złożona kartka papieru. Rozprostowała ją. Równe linie pisma, jego pisma, porozciągane nerwowo litery. Przebiegła je wzrokiem raz, drugi, i jeszcze raz, i znowu, jakby nie wierząc. Nie płakała, tylko nagle poczuła coś gorącego na policzkach i zaśmiała się nerwowo, jakby chciała powiedzieć: „O Boże, więc jednak tak musiało być, wszyscy to mówili od dawna.” Jeszcze raz przebiegła wzrokiem list idąc do kuchni. Rozprostowała palce. Biała kartka zniknęła w czeluści zsypu.

Drzwi sali operacyjnej rozsunęły się delikatnie i wytoczył się wózek z uśpionym człowiekiem. Zatrzymał się w połowie drogi do przeciwległych drzwi, tuż przy Stentonie, który bezwiednie pochylił się nad leżącym.

Operacja nie pozostawiła żadnych śladów. Żadnych blizn, ubytków we włosach, niczego. Ten żołnierz miał za parę godzin obudzić się i wrócić do swej jednostki pewny, że był na szkoleniu artyleryjskim. Tylko na jego mózgu, naznaczonym fatalną matrycą MC 234/128c, przybyło jeszcze jedno włókno niewidzialnego łańcucha.

— Panie majorze — usłyszał za sobą głos jednego z asystentów. — Następny?  
Podniósł głowę.

— Tak.

Nie mają nawet tej szansy co tamten, pomyślał prostując się powoli. On przynajmniej przez kilka dni był wolny. Sam zdziwił się, skąd przyszła mu do głowy taka myśl.

maj 1981

## NOTATNIK (II)

Mikrsin był najlepszym organmistrzem pomiędzy Svarn a bagniskami szkarłatnego lasu. Jego instrumenty miały cudowny, niemal magiczny dźwięk, którym zachwycali się wszyscy. Najwspanialsze, największe organy wybudował w Gahiramez. Było w nich jedenaście ogromnych piszczałek, które nie wydawały z siebie głosu, ale gdy bard zaczynał na nich grać, ludzie w świątyni powoli popadali w obłąd, w końcu umierali. Zagrano na nich tylko raz: podczas zaślubin komesa Ranora. Mikrsina ścięto uroczyście, a jedenaście tonów odłączono od klawiatury.

## Pilot

Brama była zawsze szeroko otwarta, lecz bardzo rzadko przejeżdżał przez nią jakiś samochód. Rano ciemnoniebieska furgonetka przywoziła świeże warzywa, mleko i pocztę. Wieczorem do ogrodu wtaczał się automatyczny wóz sanitarny. Stanąwszy na środku wypluwał z siebie dziesiątki małych elektronicznych żółwi, które sprzątały trawniki, czyściły piasek alejek, czasem strzygły żywopłot i opróżniały komorę zsypu w południowej ścianie domu. Po kilkunastu minutach lśniące srebrzyście żółwie znikają we wnętrzu wozu, który zamykał kłapy i bezgłośnie opuszczał teren zakładu, unosząc w sobie wszelkie nieczystości pozostawione w ciągu dnia przez skupisko ludzi.

Zawsze przesiadywali przy tej bramie. Codziennie wydeptywali do niej długie, smutne ścieżki i zastygali w bezruchu, spoglądając tęsknym wzrokiem na drogę. Czekali. Ten ostatni fragment życia, którego właściwie mogłoby już nie być, a który podarowała im w swej dumnej hojności nauka, był odmierzany rytmem czekania. Czekań na śniadanie, czekań na otwarcie drzwi do świetlicy i ogrodu, czekań na wydawanie leków, czekań na obiad i kolację, na dzień i na noc, na słońce albo chmury, albo na ponury deszcz, który spływał czasami z pobliskich gór. Przesiadywali przy bramie wypatrując, czy drogą nie jadą do nich dzieci z wnukami albo starzy przyjaciele. Ale droga zawsze była pusta.

Vires odwrócił się od wychodzącego na bramę zakładu okna i podszedł do biurka. Odsunął krzesło i usiadł ciężko przed plikiem papierów, które rozpanoszyły się na stole pod jego nieobecność. Zaczynał się kolejny dzień pracy.

Niechętnie zaczął się wgrzyzać w stertę dokumentów. Najważniejsze odłożył na środek biurka, pozostałe układał kolejno w odpowiednich szufladach lub wyrzucał do kosza. Wśród tych najważniejszych znalazły się świadectwa kilku zgonów, które zdarzyły się w czasie jego urlopu, i rachunki związane z pogrzebami na koszt zakładu. W dziewięciu przypadkach na dziesięć chowali zmarłych sami, na pobliskim cmentarzu. Rzadko kiedy zajęte pracą na odległych planetach dzieci znajdowały czas, by osobiście pożegnać swych rodziców lub dziadków. Zazwyczaj tylko kiwały głowami nad zawiadomieniem o śmierci pacjenta o nazwisku takim a takim, regulowały ostatni rachunek i zapomniały o całej sprawie. Życie idzie naprzód...

Znalazł tylko jedną kartę informującą o przyjęciu nowego pacjenta. Rzucił wzrokiem na jego nazwisko: Ealt Merock. Wydawało mu się skądś znane. I to nie samo nazwisko — często

przecież spotyka się wielu ludzi noszących to samo nazwisko — ale właśnie te dwa połączone ze sobą słowa: Ealt Merock. Musiał kiedyś, zapewne bardzo dawno, słyszeć o tym człowieku, może nawet znał go osobiście. Ale mimo kilkusekundowego namysłu nie mógł skojarzyć go z żadnym faktem, z żadną twarzą. Machnął na to ręką. Z pewnością, gdy zobaczy tego Merocka na własne oczy, przypomni sobie, skąd go zna.

Przeczytał dane z karty i włożył ją do specjalnej szuflady. Jednocześnie wyjął z szuflady karty oznaczone tymi nazwiskami, które figurowały na aktach zgonów. Sprawdził, czy mają należycie podstemplowane wszystkie rubryki i powyrzucał je do kosza. Potem zajął się resztą papierów.

Pracy zebrało się sporo, ale zdołał się z nią uporać stosunkowo szybko. Już wkrótce biurko było puste. Wtedy Vires podniósł się i podszedłszy do okna otworzył je szeroko. Do gabinetu wpadł ożywczy powiew świeżego, słonecznego powietrza. Spojrzał na bramę, pod którą zastygły niczym na warcie przygarbione figurki pacjentów. Odetchnął głęboko i wyszedł z gabinetu. Przeszedł obok sekretarki, stukającej coś zawzięcie na maszynie i znalazł się w przestronnym korytarzu.

— Dzień dobry, panie dyrektorze, dzień dobry... — odezwał się siwy, wąsaty mężczyzna w pasiastej piżamie, siedzący pod oknem na wózku inwalidzkim. Spod koca, którym przykryte miał nogi, wystawała tylko jedna stopa. Drugą stracił kilkanaście lat temu w siłowni na Menu Atar. Nie chciał się za nic zgodzić na cyborgizację. Twierdził, że jest już stary i nie będzie się zapaskudzał żadnymi mechanizmami. Wolał fotel na kółkach.

— Dzień dobry, panie Sayters — powiedział Vires, przystając. — Piękna pogoda, czemu nie ubierze się pan i nie wyjdzie na dwór?

— E, tu mi dobrze — odpowiedział Sayters swoim zduszonym, chrapliwym głosem, trudnym do zrozumienia dla kogoś, kto nie jest przyzwyczajony do słuchania takich głosów każdego dnia. Ponownie odwrócił się do otwartego okna.

— Panie dyrektorze — przypomniał sobie nagle. — A mój Robert nie przysłał jakiegoś listu? Bo wie pan, ostatnim razem obiecał, że coś przyśle.

Robert Sayters nigdy nie zjawił się osobiście w domu spokojnej starości, w którym ulokował ojca. Nawet nie próbował się z nim połączyć za pomocą wideofonu. Ograniczał się tylko do regularnego płacenia należności, co zresztą było warunkiem pozostawiania starego Saytersa w zakładzie.

— Nie wiem, byłem na urlopie. Ale zaraz zapytam, na pewno coś przyszło.

— Niech pan zapyta.

— Zapytam. — Vires skinął głową i poszedł dalej.

Przyzwyczał się już do takich rozmów, ale w gruncie rzeczy nie lubił ich. Cieszyło go, że dzięki pięknej pogodzie większość pacjentów przeniosła się do ogrodu.

Przy windzie spotkał głównego lekarza, Amara Fotts.

— Jak udał się urlop? — spytał Amar podając mu rękę.

— Dziękuję, świetnie. Trochę był za krótki... ale i tak jestem teraz zawałony papierami.

— Tak, sypnęli się. — Skinął głową Amar, wpychając ręce do kieszeni. — No, Tenstey i Moor wybierali się tam już od dawna. Uwiad starczy, nic się na to nie da poradzić. A Malev dostał ataku serca. Pięć lat temu wyciągnąłbym go z tego jednym palcem, ale teraz...

— W końcu prędzej czy później czeka to wszystkich.

— I mamy jednego nowego. Zauważyłeś już chyba?

— Tak. Ealt Merock. Gdzie go ulokowałeś?

— Na górze, w pokoju po Tensteyu.

— Już tak z nim źle?

Fotts niechętnie skinął głową.

— Fatalnie. To sprawa tygodnia, najwyżej dwóch. Przenieśli go do nas z „Domu zachodzącego słońca”. Pewnie rodzina doszła do wniosku, że tam jest za drogo. Przepraszam cię, muszę lecieć.

— Oczywiście. Pójdę zobaczyć tego Merocka.

— Beznadziejna sprawa — powtórzył lekarz, znikając w korytarzu.

Vires oparł rękę na poręczy schodów, wykonanej z imitującego drewno plastiku. Zawsze chodził schodami. Po części dlatego, że windę przeznaczono dla tych, którzy nie mogli już o własnych siłach pokonać stromych stopni, a po części... Kiedyś doszedł do wniosku, że po prostu żał mu tych omijanych przez wszystkich schodów.

Zastygł z ręką uniesioną nieco nad poręczą, o trzy stopnie od piętra. Ależ tak, na litość boską, jak mógł zapomnieć! Ealt Merock, bohater kosmosu osławiony akcją na Zeta Atri. Twarz, którą w okresie, gdy Vires był jeszcze małym chłopcem, rozkolportowano w milionach holowizorów i trójwymiarowych pism. Bohater przestworzy... Jak mógł zapomnieć?

Szybkim krokiem wbiegł na korytarz. Kiedy był mały, miliony chłopców marzyły, by stać się takimi jak Merock. Z biegiem czasu zapomina się o młodzieńczych ideałach...

Przystanął przed drzwiami, opierając dłoń na klamce. Pokój 43, opuszczony przed kilkoma dniami przez Tensteya. Tu zawsze lokowali tych, których stan był już beznadziejny.

Klamka pod jego dłonią drgnęła i osunęła się w dół. Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich siostra Gren.

— Och, to ty? Nie wiedziałam, że już wróciłeś.

— Wróciłem. — Wzruszył lekko ramionami, mimochodem zatykając kciuki za pas. — Właśnie przyszedłem zobaczyć twojego nowego podopiecznego.

Uśmiech Gren zmienił się w zakłopotanie. Odsunęła się, wpuszczając go do pokoju.

W śnieżnobiałej bryle pneumatycznego tapczanu spoczywała drobna, wysuszona figurka człowieka zdającego się być jeszcze drobniejszym pośród fałd pościeli. Kurczowo zaciskała na kołdrze małe, suche dłonie.

— Śpi? — spytał Vires szeptem.

— Nie. Możesz mówić głośno, bez aparatu prawie nie słyszy.

Vires zbliżył się do łóżka patrząc na twarz starca obciągniętą cienką, pomarszczoną skórą. Merock otworzył oczy i potoczył po pokoju nieprzytomnym wzrokiem. Dostrzegłszy Viresa potrząsnął lekko głową, usiłując ją unieść z poduszki i wyciągnął ku niemu kościsty palec. Spomiędzy rozchylonych warg wydostał się cichy szept.

— Kto... Kto to?

Vires pochylił się nad leżącym.

— Panie Merock!

— Kto... Nie, to nie Merock. Kto to... co tutaj...

— Panie Merock!

— Daj spokój. — Gren położyła mu rękę na ramieniu. — Nie wie, co się z nim dzieje.

— Ciągłe jest w takim stanie?

— Nie, czasem odzyskuje świadomość. Ale w tej chwili w ogóle się z nim nie dogadasz.

— MX 429 ILTRON...melduje...ILTRON melduje...

— Co on mówi?

— Nie wiem, powtarza to ciągle.

— ILTRON melduje...

Vires wyprostował się.

— Poruczniku Merock! — powiedział głośno, tak, by odebrał to przytępiony słuch starca. Merock drgnął. Trzęsąca się dłoń powędrowała do czoła.

— ILTRON melduje, panie admirale — wyszeptał Ealt — wchodzę w chmurę... Brak tlenu... Leat nie...

Głowa opadła mu bezwładnie na poduszkę. Vires zwiesił głowę i odwrócił się powoli.  
— Był kiedyś bardzo sławny — powiedział do Gren wyjaśniającym tonem.

Jego wzrok padł na leżący przy łóżku jaskrawopomarańczowy skafander. Kompletny skafander, z hełmem i plecakiem na butle tlenowe. Przesunął dłonią po sfatygowanej powierzchni.

Wygląda na bardzo stary, pomyślał.

Merock uniósł się z wysiłkiem i zacisnął dłonie na pomarańczowym materiale. Rzęząc rozpaczliwie „Leat, Leat” zaczął kurczowo ciągnąć skafander ku sobie.

— Zostaw to. Nie pozwala go dotknąć.

Vires posłusznie rozluźnił ręce. Na prawym rękawie kombinezonu dostrzegł wyraźny, choć nieco starty napis: EALT MEROCK i porucznikowskie dystynkcje.

— Leat... — szepnął Merock przyciskając skafander do siebie.

Vires nabrał głęboko powietrza i podszedł do drzwi. Fotts miał rację.

— Czasami zachowuje się naprawdę zupełnie normalnie — powiedziała Gren.

Nacisnął klamkę i znaleźli się na korytarzu. Nagle Gren zarzuciła mu ręce na szyję i obróciwszy go ku sobie wcisnęła w jego wargi namiętny pocałunek.

— Co robisz — rozejrzał się nerwowo, usiłując się wyplątać spod jej ramion.

— Nie bój się, nikt nie zobaczy. Co ci się stało? Zamiast się ze mną przywitać, od razu wpadłeś oglądać tego biedaka.

— Chyba nie jesteś o niego zazdrosna?

— Och, skąd. — Znowu przytuliła do jego ust swoje wargi, ocierając się o niego pieszczotliwie jak kot.

— Jak dziś będzie? — spytała.

— A jak ma być? Normalnie.

Zasyczały rozsuwające się powoli drzwi windy. Ledwie zdążyli od siebie odskoczyć, jakby sparzeni nagle swoją bliskością. Gren machinalnie poprawiła dłonią swoje długie włosy i rzucając mu ostatni uśmiech pobiegła ku schodom.

Ona jest jednak naprawdę cudowna, pomyślał.

\* \* \*

Tego samego dnia, późnym popołudniem, zamknąwszy się w pokoju wyjął z półki opasty tom Historii podboju kosmosu i odszukał w skorowidzu nazwisko Merocka. Otworzył plastikową księgę na odpowiedniej stronie i wyciągnąwszy się na tapczanie włączył wmontowane w oprawę urządzenie czytające.

„Oddziały rebeliantów” — zaczął miękki, przyjemny baryton — „schroniły się w opuszczonej bazie Zeta Atri. Jednocześnie zdołali zmylić poszukujące ich oddziały floty wojennej. Podczas gdy siły zbrojne przeczesywały inne rejony układu, zwiad rebeliantów zaatakował statek pasażerski ENTERPRISE i uprowadził go na Zeta Atri.

Jedyną jednostką floty, która znajdowała się w tym rejonie, był niszczyciel MX 429 ILTRON z załogą w składzie: nawigator, dowódca jednostki sierżant Ealt Merock i strzelec, kapral Phillip Leat. Nie czekając na rozkaz sierżant Merock rzucił swoją jednostkę w kierunku opanowanej przez buntowników bazy. Rebelianci jednak okryli się zawczasu meysterną chmurą pyłową, mającą chronić ich przed ogniem artyleryjskim. ILTRON zwrócił się do centralnej pamięci komputerowej z prośbą o podanie planu typowej bazy ZA. Po otrzymaniu tych danych zdecydował się podjąć niebezpieczną próbę lądowania w jednym z bocznych doków przeładunkowych bazy i odbicia zakładników. Wówczas okazało się, że pasażerowie już nie żyją, a sam statek został przez rebeliantów zamieniony w potężnie uzbrojony krążownik, który miał w samobójczym ataku zniszczyć Ziemię. W walce z buntownikami poległ kapral Leat. Merockowi udało się uciec, ale przedtem umieścił w

jednym z reaktorów ładunek wybuchowy, który doprowadził do zniszczenia bazy i statku ENTERPRISE, zanim rebelianci zdążyli użyć go przeciwko Ziemi.

Sierżant Merock został, w uznaniu swego bohaterstwa, odznaczony krzyżem V.S.C. i awansowany do stopnia porucznika. Jeden z je...”

— Czy mam przełożyć stronę? — spytała książka, przerywając w pół słowa.

— Nie, wystarczy.

Wziął książkę do ręki. Niemal połowę strony zajmowało trójwymiarowe zdjęcie młodego, ciemnowłosego mężczyzny o wydatnym podbródku i wyrazistym spojrzeniu. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Porucznik Ealt Merock, wstawiony m.in. bohaterską akcją na Zeta Atri”. Przypatrywał mu się długo. Trudno było się z tym pogodzić, ale niewątpliwie to ten sam człowiek, który teraz leżał nieprzytomny w pokoju numer 43. Kanciasta żuchwa, znamionująca silną wolę, była teraz głęboko zapadnięta. Oczy otoczyły się liniami zmarszczek, które porały też wysokie czoło i policzki. Stałowe spojrzenie wyblakło, a z czarnych włosów nie pozostał ani jeden. Ale niewątpliwie to był właśnie on.

Kiedy Vires był mały, to samo zdjęcie wisiało nad jego łóżeczkiem. Marzył wtedy, by kiedykolwiek spotkać Merocka. Czy mógł przypuszczać, że jego marzenie spełni się w taki sposób?

Kiedyś i ciebie to czeka, Vir, pomyślał. Na razie jeszcze jesteś dość silny, żeby pchać swój wózek. Masz dobrą posadę i nie musisz się martwić o pieniądze, choć nie ma ich tyle, ile byś chciał. Masz Gren i nie czujesz się samotny. Ale co będzie za te siedemdziesiąt kilka lat... Cholera, nigdy się jeszcze nad tym nie zastanawiałeś? Ale ty przynajmniej nigdy nie byłeś bohaterem...

Z rozmyślań wyrwał go syk otwierających się i zamykających ponownie drzwi.

— Piinng... panng... penng... — zaśpiewały cicho zapalane świetlówki. W drzwiach stała Gren. Sukienkę miała mokrą, po twarzy i włosach spływały jej kropelki wody.

— Zginęła mi suszarka, pożycz — powiedziała podchodząc do szafy. — Czemu leżysz po ciemku?

Podczas jego rozmyślań niespodzianie, jak zawsze w tej okolicy, zapadł zmrok. Pod oknem, gdzie leżał, było jeszcze dość widno, ale wewnątrz pokoju zaległa już ciemność.

Nie odpowiedział na pytanie, lecz spojrzawszy na Gren zapytał zdziwiony:

— Co ci się stało?

Potrząsnęła głową, rozrzucając wkoło kropelki wody, które spłynęły z jej włosów.

— Ten nowy pacjent, jak mu tam... Merock?

— Merock. Co zrobił?

Otworzyła szafę.

— Zaczaił się za łóżkiem i kiedy przyniosłam mu kolację, zaczął do mnie strzelać pastą do mycia szyb.

— Czym?

— Pastą!! — Przerzuciwszy w szafie wszystko wyciągnęła suszarkę i zbliżyła ją do swoich włosów naciskając jednocześnie włącznik. — Krzyczał, że wytłucze wszystkich rebeliantów, a mnie pierwszą, i tych z ENTERPRISE też.

— To by się zgadzało — mruknął podnosząc się leniwie. Dopiero chwilę potem dotarł do niego sens ostatnich słów.

— Jak? — spytał chwytając Gren za ramię. — Powtórz to, proszę!

— Co?

— No, to, co on mówił!

— Majaczył coś, jak zwykle.

— Ale powtórz to, proszę cię, jak najdokładniej.

Włosy miała już suche. Wyłączyła suszarkę i wstrząśnięciem ramion wyswobodziła się z jego uścisku.

— „Zabijemy wszystkich rebeliantów i tych drani z ENTERPRISE też”. I jeszcze wołał: „Leat, w tamtym korytarzu, uważaj”. O to ci chodziło?

Opuścił rękę i uśmiechnął się lekko, jakby zawstydzony.

— Tak. Przepraszam.

— Znałeś tego faceta?

Pokazał jej zdjęcie Merocka.

— To on — powiedział. — Kiedy byłem mały, był moim idolem.

— Był całkiem przystojny. Kto by pomyślał? — stwierdziła oglądając fotografię.

— Pójdę tam. Nie wiadomo, co on znowu zrobi.

— Teraz je. Przypuszczam, że już nic nie pamięta. Idę do siebie, muszę się przebrać.

Patrzył za nią, dopóki nie zniknęła za drzwiami. Odłożył książkę na półkę. Chwilę potem jego kroki zadudniły na nigdy nie używanych schodach.

Korytarzem na piętrze powoli toczył się robot, zagarniając z pneumatycznym śpiewem papiery, kurz i wszelkie możliwe zanieczyszczenia, które w ciągu dnia znalazły się na dywanie i wykładzinie ścian. Vires ominał go i zbliżył się do roztaczających magiczne promieniowanie drzwi pokoju 43. Były uchylone. (Tu, na górze, znajdowały się staroświeckie drzwi, pojedyncze i na zawiasach, nie rozsuwane, jak na dole). Najwidoczniej Gren w pośpiechu zamknęła je niezbyt dokładnie i pod wpływem przepływu powietrza, a może własnego ciężaru odsunęły się od futryny na kilka centymetrów. Pchnął je lekko palcem. Otworzyły się bezgłośnie. Wsunął się do pokoju.

Merock siedział przy dosuniętym do ściany stole, plecami do drzwi. Nie zauważył, jak Vires wszedł. Przed nim na stole stała taca z kolacją, a obok na krześle leżał, a właściwie siedział, niczym żywy człowiek, podtrzymywany dłonią Merocka za kryzę hełmu jaskrawopomarańczowy skafander.

— Jedz, Leat — mówił cicho Ealt wlewając lewą ręką kolejne łyżki zupy za uniesioną szybę próżniowego hełmu. — Musimy ich wykończyć... Nie pytaj po co, Leat. Musimy, takie jest nasze zadanie.

Zamilkł na chwilę, jakby wysłuchując odpowiedzi skafandra. Z trzęsącej się łyżki skapywały na podłogę krople zupy.

— Nie, nie — podjął po chwili. — Wykończą nas, jeśli się zorientują. To już lepiej stąd wiać, tlen dostaniemy od naszych, jak wyjdziemy z chmury.

I znów chwila milczącej odpowiedzi skafandra.

— Nie, do cholery! Jeszcze ja tu rozkazuję, Leat!

Ealt z trudem podniósł się z fotela i powłókł się do łóżka. Prawą dłonią przesunął niewidzialną dźwignię na poduszce.

— MX 429 ILTRON — wyszeptał do nie istniejącego mikrofonu. — Sierżant Merock melduje: Zdraycy ze statku ENTERPRISE...

Jego głowa opadła bezwładnie na poduszkę. Leżał przez chwilę, potem przekręcił się i naciągnął na siebie kołdrę.

— Leat... — powiedział. — Leat, zimno ci tam.

Zwłókł się z łóżka i ściągnąwszy skafander z krzesła położył go obok siebie.

Vires zaczął się powoli wycofywać. Zawadził o coś nogą. Pochylił się i podniósł z ziemi kilkunastocentymetrowy, blaszany walec pokryty kolorowymi napisami. Na korytarzu przyjrzał mu się uważniej. Mała płaska rękojeść, w której umieszczony był podobny do spustu przycisk, przypominała kolbę pistoletu. W dodatku po lewej stronie „lufy”, prostopadle do rękojeści, przymocowano nieduży prostopadłościan, jakby magazynek. Przy pewnej dozie wyobraźni można było uznać ten przedmiot za broń.

Vires wycelował przed siebie i nacisnął spust. Struga białej pasty wytrysnęła na kilka metrów, zostawiając na wykładzinie ścian i podłogi smugę pianistej substancji. Robot odwrócił się i zabrał do jej usuwania.

Przez chwilę zastanawiał się, czy odebrać Serockowi jego „broń”, w końcu jednak rzucił ją do pokoju przez szparę w drzwiach i domknawszy je, zbiegł na dół.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Nawet przyjemne ciepło odprężonego ciała Gren przytulonej do jego boku, które zawsze wprowadzało go w spokojny, przyjemny sen, tym razem nie było w stanie wyrwać go z rozmyślań.

Zdrajcy ze statku ENTERPRISE... Dlaczego zdrajcy? Dlaczego chce ich zabić?

Zasnął nad ranem nie doszedłszy w swych rozmyślaniach do niczego.

\* \* \*

Następnego dnia, po załatwieniu normalnych czynności służbowych, połączył się z najbliższą biblioteką (Tristel, o dziewiętnaście kilometrów od ich zakładu) i zażądał przysłania wszystkiego, co dotyczyło akcji na Zeta Atri i Ealta Merocka. Materiały nadeszły pocztą pneumatyczną pół godziny później: książki, czasopisma, wycinki z gazet, wielkie zdjęcie. Dość dużo, choć nie tak wiele, jak Vires się spodziewał. Zapoznał się z nimi pobieżnie, w ciągu kilku godzin, zwłaszcza z życiorysem Merocka: dzieciństwo, młodość, lata spędzone w korpusie kadetów. Potem pierwsza samodzielna wyprawa i awans do stopnia kaprała. Objęcie sekcji krążownika HAIDA. Wtedy to dwudziestoparoletni kapral Merock wyróżnia się po raz pierwszy w czasie akcji ratunkowej po kolizji transportowca NAKERS z meteorem. Dostaje Krzyż Rycerski III kategorii i zostaje przedstawiony jako bohater w programie holowizyjnym u boku komandora Nertza, dowódcy HAIDY, który w akcji tej wybitnie się nie popisał, ale i tak otrzymał za nią Krzyż Rycerski I kategorii.

Potem kapral Merock przenosi się do eskadry patrolowej i zostaje nawigatorem–pilotem statku ANALION. Bierze na nim udział w kolejnej operacji, za którą zostaje mianowany młodszym sierżantem i otrzymuje złoty Krzyż Rycerski I kategorii. W pół roku później otrzymuje Złotą Gwiazdę i zostaje uznany bohaterem roku. Setki wywiadów dla prasy i telewizji, pieniądze, sława...

Lata służby mijają mu na patrolach, akcjach ratunkowych, pacyfikacjach i wyprawach badawczych. Wydaje się, że jego gwiazda gaśnie bezpowrotnie i że wszyscy o nim już zapomnieli, gdy nagle znowu staje się ośrodkiem zainteresowania po pamiętnej akcji na Zeta Atri uważanej powszechnie za ukoronowanie jego kariery. Jest jedynym, któremu udaje się wyjść z tej akcji z życiem, ociera się zresztą o śmierć — dolatuje do bazy z zapasem tlenu na piętnaście minut.

Potem znowu odchodzi w cień... Ci, którzy go kiedyś uwielbiali, starzeją się i powoli zapominają o swoim młodzieńczym ideale, a młodzi mają już innych idoli.

A teraz nagle odnajduje się w „Domu spokojnej starości”. Stary, zniedołężniały, zapomniany przez wszystkich...

Vires długo poszukiwał w książkach danych o rodzinie Merocka. W końcu znalazł wycinek prasowy następującej treści: „Słynny pilot Ealt Merock, jeden z asów naszej floty, ożenił się z córką znanego malarza, Anną Treen. Ceremonia odbyła się...”

Tylko tyle, nic więcej. Poszukał w kartotece karty Merocka. W rubryce „Osoba opłacająca pobyt w zakładzie” widniało nazwisko: F. Merock. Syn czy córka? Nie mieli ochoty trzymać w domu sklerotycznego starca. Pewnie, nikt tego nie robi, nawet najbardziej kochające dzieci. Od tego są domy starości.

Zatrzaskał szufladę.

Słońce, które minęło już zenit, grzało łagodnie, nie piekąc tak jak w południe. Ciepły powiew, który wpadł do gabinetu przez otwarte okno, podrzucił Viresowi pomysł, by wyjść na spacer, odetchnąć świeżym powietrzem.

Idąc korytarzem, po raz pierwszy odkąd został dyrektorem, poczuł, jak bardzo jest on ponury. Przygnębiający, choć niby nowoczesny i przestronny. Zalany słodkim światłem



płynącym przez wielkie okna. Obłożony plastikiem i niklem. Świecący czystością. I poznaczony tu i ówdzie przygarbionymi sylwetkami w pasiastych piżamach i szlafrokach. Te same przygarbione sylwetki, czekające nie wiadomo na co, które przesiadują całe dnie w parku przy szeroko otwartej bramie.

Niemalże wybiegł do ogrodu. Trudno było mu nazwać ten dziwny stan, w jaki wprawilo go studiowanie dawno umarłej legendy. Pilot galaktyczny, bohater kosmosu Ealt Merock — tu... Wąską alejką wyłożoną drobnym, jasnoróżowym piaskiem dotarł do najrzadziej odwiedzanej części ogrodu. Nie było tam nikogo. Zanurzył się w gęstwinie splątanych krzewów.

Na jednej z gałęzi szamotała się rozpaczliwie jasnopomarańczowa płachta, odcinająca się wyraźnie od zielonych liści. Znał ją skądś. Kiedy podszedł bliżej i zaczął ściągać ją z konarów, na których była rozpięta, zrozumiał, że jest to skafander kosmiczny. Nie musiał nawet patrzeć w górę; wiedział, że znajduje się pod oknem pokoju 43.

Pod dystynkcjami i nazwiskiem zauważył drobnutkie literki, które przedtem uszły jego uwadze: MX 429 ILTRON. Szyba hełmu zarysowała się, najwyraźniej od upadku na gałąź. Delikatna rysa, tak delikatna, że można było zetrzeć ją palcem, i pokrywające skafander kropelki rosy. Pewnie leżał tam już dość długo.

Skafander nie miał założonego plecaka na butle z tlenem. Tego typu ubiory były w miejscu, w którym plecak stykał się z plecami astronauty, znacznie pogrubił. I właśnie w tę zgrubiałą warstwę kombinezonu, pomiędzy łopatkami, wbity był nóż. Vires wyjął go ostrożnie, jakby obawiał się, że ze skafandra tryśnie krew. Był to zwykły, kuchenny nóż, jeden z wielu identycznych używanych w zakładzie. Nożem takim trudno było się skaleczyć. Przebite nim grubej warstwy pancernego materiału było niemożliwe.

Obejrzał skafander dokładnie. Nóż włożono w stare rozcięcie o obtopionych brzegach, o wiele szersze od jego ostrza. Musiało być zrobione jakąś potężną klingą, pewnie bagnetem astronautycznym. Wkoło widniało jeszcze kilka takich rozcięć.

Schował nóż do kieszeni i zaniósł skafander do pokoju Merocka.

Ealt leżał na łóżku wpatrując się w sufit.

— Poruczniku Merock... — powiedział Vires, zbliżając się do niego ze skafandrem w rękę. Starzec zmierzył go wzrokiem.

Na pewno nic już nie pamięta, pomyślał, kładąc skafander na łóżku.

— Leat... — Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale słowa u więzły mu w gardle.

Merock gwałtownie potrząsnął głową.

— Skąd pan zna to nazwisko? — zapytał zupełnie przytomnie.

Vires usiadł na skraju łóżka.

— Powtarzał je pan często — odpowiedział. — Nazywał pan tak ten skafander.

Merock ponownie spojrzał na sufit.

— To nie jest „Dom zachodzącego słońca”. Gdzie ja jestem?

— W „Domu spokojnej starości” w Nent. Przysłali tu pana.

— Pewnie moim dzieciom zabrakło pieniędzy, by płacić za tamtejszą opiekę. Nie, nie zabrakło, po prostu mi ich pożalowali. Od dawna tu jestem?

— Kilka dni.

— Dopiero teraz odzyskałem przytomność?... Zresztą i tak tylko na kilka godzin. To straszne tak żyć. Chciałbym już umrzeć... Dlaczego pan wchodząc mówił o Leacie?

Vires dotknął skafandra.

— Tak pan nazywał ten skafander. Znalazłem go pod oknem... Był przebity nożem. — Przypatrywał się uważnie, jak Merock zareaguje na te słowa.

Starzec zaciął wargi.

— Zabiłem go... Tak, zabiłem go... Widział pan kiedyś bagnet astronauty? Przebija wszystko, wystarczy lekko dotknąć. Wszyscy uwierzyli, że zginął na Zeta Atri, a on krąży

tam do dziś w pobliżu jej szczątków. Nie było tlenu dla nas dwóch! On też chciał mnie zabić, ale ja byłem szybszy. To on zabił ludzi z ENTERPRISE! To on...

Spojrzał na Viresa.

— Już zbliżam się do końca — powiedział spokojniej. — Słyszał pan o akcji na Zeta Atri?

— Tak... Terroryci porwali statek ENTERPRISE i...

— Nie. Nikt nie porwał ENTERPRISE. To nie byli żadni terroryci. Ci ludzie chcieli tylko uciec. Kupili ten statek i chcieli się zaszyć w starej, ogołoconej z uzbrojenia i radarów bazie. Ale rząd i sztab uznały ich za niebezpiecznych. Ogłoszono, że to rebelianci... I kazano ich zniszczyć. Ja nie chciałem, to Leat... On założył ten cholerny ładunek. Polazł tam po cichu i zaminował reaktor. A potem zwialiśmy...

Starzec przymknął oczy.

— Tylko że nie starczyło tlenu dla nas obu...

\* \* \*

Sześć dni później Merock umarł. Zupełnie spokojnie i cicho. Po prostu zgasł jak wypalona świeca. Jego kartę wyjęto z kartoteki i spalono. Rodzina wyraziła wolę, by pogrzebem zajął się zakład i tak też zrobiono. Pogrzeb odbył się następnego dnia, pod wieczór. Nie przyszedł nań nikt oprócz pracowników zakładu.

— Wiesz, Vir — powiedziała tego samego dnia wieczorem Gren — ciągle myślę o tym Merocku. Zawsze, kiedy któryś z nich umrze, zaczynam się zastanawiać, co kiedyś będzie ze mną. To strasznie głupie uczucie. Ale wiesz, chciałabym, żeby po mnie coś zostało, jak umrę... Znałeś go, zanim do nas trafił?

— Tak — odpowiedział Vires. — Wtedy, gdy jeszcze był wielki i sławny. Teraz już wszyscy o nim zapomnieli... To był jeden z ostatnich... może już ostatni z tych „silnych ludzi”, z tych prawdziwych, twardych zdobywców, dzięki którym jesteśmy dziś w kosmosie... Kryształowy człowiek, wybrany z wybranych... Dziś już takich nie ma.

Tak, Vir. Opuścił cię bohater młodości, powiedział do siebie chwilę potem. To był naprawdę wielki człowiek. Było to jedyne, co o nim w tej chwili myślał.

lipiec 1981

### NOTATNIK (III)

W czasie jednej z najdłuższych, najbardziej nudnych podróży zaprogramowałem w komputerze siebie samego. Potem stworzyłem tam kopię świata, który pamiętam i próbowałem się poczuć jednym z nich. Spychałem swego sobowtóra na dno, kazałem mu głodować, raczyłem go seksem i narkotykami, a od czasu do czasu robiłem coś, żeby wydawało mu się, że idzie na lepsze. W końcu jednak zbuntował się. Skasowałem program, ale od tego czasu mój komputer nie był już normalną maszyną.

### Prezydent

Twarz przyciśnięta do błotnistej, cuchnącej ziemi, w ustach wstrętny posmak popiołu i oleju. Dłonie wbite kurczowo w zrytą pociskami trawę, drżę.

„Blok F 1300789 0 — łączenie. 00788 0 Kontakt. Kontakt.”

Delikatne, ledwie dosłyszalne strzępy myśli-sygnatów, których nie da się wypowiedzieć słowami. Z trudem napiął mięśnie rąk i podniósł głowę. Otworzył oczy.

Pomiędzy osmalonymi, powykręcany demonicznie kikutami drzew zalegają trupy. Dziesiątki, setki trupów w czarnych kurtkach lub fioletowych panterkach. Niektóre już się

rozkładają, w innych poznać jeszcze można resztki ludzi. Kilka rozbitych czołgów, działa, wrak zestrzelonego samolotu. Wszystko płonie.

Słabość mięśni ustępuje powoli. Vandini klęka, rozcierając dłońmi twarz, potem wstaje. Szum w głowie. Powoli wraca świadomość.

Stał obok spalonego czołgu, twarzą ku szczytowi Linare. Za nim rozciągało się szerokie, pokryte zwęgloną łąką zbocze. Na pobojowisku nie było widać żadnego ruchu — zastygło w spokojnym świetle zachodzącego słońca. Cisza po burzy. Wtedy, gdy prowadził swych żołnierzy do natarcia, był świt.

Usiadł na gąsienicy czołgu. Z rozbitej wieżyczki wionął na niego swąd spalonego mięsa. Przejechał dłonią po kieszeniach munduru i znalazł w jednej z nich zapomnianego przed bitwą papierosa. Z rozkoszą zaciągnął się błękitnym gorzkim dymem.

Papieros już parzył go w palce, gdy usłyszał czyjeś szeleszczące kroki. Ostrożnie wyjrzał zza wieżyczki. Przez pobojowisko szło kilku żołnierzy w czarnych mundurach, z zielonymi opaskami sanitariuszy na ramionach. Szli powoli, zatrzymując się przy każdym leżącym. Na niektórych patrzyli tylko przez moment i odchodzili szybko odwracając głowy. Przy innych zatrzymywali się dłużej: jeden z nich klękał i przykładł dłoń do nasady szyi leżącego. Potem wstawał kręcąc przecząco głową i cała trójka przechodziła kilka metrów dalej.

Vandini zsunął się z pancerza czołgu i opanowując chwilowy zawrót głowy wyszedł ku nim chwiejnym krokiem.

Prowadzący patrol żołnierz spojrzawszy na jego dystynkcje zasalutował zamaszycie:

— Kapral Minaren z trzeciej brygady specjalnej.

Vandini podniósł rękę do czoła. Poczuł nagle potworne zmęczenie i słabość w kolanach. Otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, osunął się na ziemię pograżając się w ciemności.

\* \* \*

Ocknął się w namiocie, na posłaniu z suchych liści. Ręce, brzuch i piersi miał owinięte bandażami. Było ciemno.

Spróbował się podnieść. Czyjeś drobne ręce ujęły go za ramiona.

— Połóż się — usłyszał nad uchem kobiecy szept. — Jesteś jeszcze za słaby.

Osunął się na miękkie liście. W słabym blasku świecy dostrzegł czyjąś ciepłą, pochyloną nad nim troskliwie sylwetkę.

— Pić... — wyszeptał, z trudem rozwierając spieczone wargi. Kobieta przytknęła mu do ust metalowy kubek. Pił długo, z początku drobnymi łykami, potem coraz bardziej łapczywie, aż do dna.

— Kiedy będę mógł wrócić na front? — zapytał po chwili.

Kobieta pochyliła się nad nim.

— Leż spokojnie — powiedziała cicho — pójdę po komendanta.

Podniosła się i wyszła z namiotu. Przez chwilę, gdy uniosła zakrywające wejście płótno, Vandini zobaczył ciemne gwiazdziste niebo i owiało go chłodne powietrze nocy. Wciągnął je chciwie do płuc. Przymknął oczy i leżał tak, wsłuchując się w cichy rytm swego serca i nie myśląc o niczym. Po kilku minutach — a może była to godzina? — płótno zaszeleściło znowu i do namiotu weszło dwóch mężczyzn.

— Jestem major Randin — przedstawił się jeden z nich — dowódca zgrupowania Haare. A to porucznik Halfest, lekarz.

Vandini zasalutował usiłując podnieść głowę.

— Kapitan Vandini, dowódca specjalnej grupy operacyjnej rejonu wzgórz Livhen. To znaczy chyba... byłej grupy operacyjnej...

— Miał pan ogromne szczęście — powiedział major.

— A mój oddział?

— Niestety. Niedobitków włączyłem do swojej dywizji. Uformowałem z nich niepełne dwa plutony.

— Prawie nic... — Vandini przymknął oczy. — Szkoda ich.

— Mógłby nam pan opowiedzieć przebieg bitwy?

— Może kiedy indziej, potem — wtrącił się Halfest. — To mogłoby...

— Dostałem rozkaz — zaczął Vandini — by za wszelką cenę bronić wzgórz od południa.

Natarli na nas w nocy, najpierw zbombardowali wszystko i ostrzelali z dział, a potem rzucili czołgi. Spaliliśmy sporo, reszta musiała się wycofać. Wtedy znowu położyli na nas ogień, tylko tym razem bardziej skuteczny, i znowu zaatakowali. Robili tak z pięć razy. Za szóstym doszli już prawie do połowy stoku, wtedy poderwałem resztę oddziału do ataku, to już był raczej gest rozpacz niż przeciwdziałanie. Gdzieś blisko mnie wybuchł granat. To wszystko.

Mówił coraz szybciej, nerwowo. Oczy miał zamknięte. Na chwilę znalazł się znowu na polu bitwy. Tępe ryje miażdżących wszystko czołgów, ryk samolotów, płonąca ziemia. Zaczyna mu się automat. Repetuje kilka razy, potem odrzuca daleko — niepotrzebne żelastwo. Wyrwa szeregowcowi miotacz. „Naprzód! Naprzód!” Nie słyszy własnych słów. Cekaemista rozpaczliwym gestem pokazuje, że nie ma już amunicji. Bagnety. Wskoczyć z okopu, prosto na czołgi, bieg, spazmatyczny skurcz mięśni. Aby tylko zdążyć. Strzał, strumień ognia oblewa stalowego potwora. Wybuch. Ognisty kołowrót. Ziemia, wyrwana spod stóp, potworną siłą zwala się na bezwładne barki i plecy. Półotwarte, oślepie oczy pokrywa powoli warstwa opadającego pyłu. I cisza...

Cisza. Tylko gdzieś daleko grają ukryte w trawie cykady. Powoli rozluźnił napięte kurczowo mięśnie. Oddychał głęboko.

— Ma pan kilka ran od odłamków — mówił Halfest — ale żadne ważne narządy nie zostały uszkodzone. Wylize się pan z tego szybko.

— Dobrze... A co działo się potem?

Randin poruszył ramionami.

— Przejechali po pana oddziale, przelali się za grzbiet góry. Na szczęście właśnie wtedy nadeszliśmy tam i zaatakowaliśmy ich z marszu, gdy rozbijali obóz. Mogę pana pocieszyć, że w tej bitwie ponieśli znacznie większe straty niż my.

— Dobrze... — powtórzył machinalnie Vandini.

Chwila milczenia.

— Kiedy będę mógł wrócić na front? — zapytał Halfesta.

— No cóż... — zastanowił się porucznik — minie co najmniej tydzień, zanim będzie pan mógł wstać z łóżka.

— Na pewno wstanę wcześniej.

— Nie ma takiej potrzeby — wtrącił się Randin. — Nie rozpoczniemy działań ofensywnych wcześniej niż za dwanaście dni. Musimy się dobrze przygotować do ostatniego skoku.

— Więc to już teraz?

— Tak. Ruszamy do ostatecznej ofensywy.

Vandini uśmiechnął się szeroko.

— Więc nareszcie... Głupio by było zginać tak blisko końca.

Przymknął oczy i po chwili spał już zdrowym, głębokim snem.

\* \* \*

Prezydent Althion nie próbował już kryć swego zdenerwowania. Nie ukrywał go też generalissimus Martio ani nikt inny z uczestników tajnej narady sztabu głównego. Tylko pułkownik Narylin siedział niewzruszony, rozparty wygodnie w fotelu, a jego tępa twarz nie

wyrażała niczego poza niewzruszoną wiarą w ostateczne zwycięstwo i lepsze jutro VII republiki.

— Sytuacja, panie prezydencie, jest tragiczna — stwierdził generalissimus podchodząc do wielkiej mapy. — Ponosimy klęskę za klęską. Zdobycie wzgórza Linare przed dwoma tygodniami kosztowało nas siedmuset żołnierzy i kilkadziesiąt czołgów. Udało nam się je utrzymać tylko przez kilka godzin.

— Kontratak? Pisał pan w raporcie, że grupa Vandiniego została doszczętnie rozbita.

— Tak, to prawda. Ale wkrótce potem nasze oddziały zostały zaatakowane zniemacka przez inną bandę, o której obecności w tym rejonie nawet nie wiedzieliśmy.

— Jak to — nie wiedzieliście! To co, u cholery, robią wasi ludzie?

Martio przetarł palcami obrzmiałe bezsennością powieki. Nie miał czasu na odpoczynek, dopiero przed kilkunastoma minutami wrócił z terenu walk i chociaż podróż tę odbył zbudowanym specjalnie dla niego helikopterem, dała mu się ona porządnie we znaki.

— Nasi ludzie nie mogą już poruszać się inaczej niż w sile najmniej plutonu eskortowanego przez wozy pancerne. Pojedynczy żołnierze są bezlitośnie mordowani przez wieśniaków. Straciliśmy w ten sposób wiele patroli. Miejscowi ludzie nie chcą nam udzielać żadnych informacji o partyzantach, nawet torturowani. To nie jest ta sama wojna, którą prowadziliśmy przed dwudziestoma laty. Teraz wszyscy są przeciwko nam.

Althion zacisnął szczęki.

— Trzeba być dla nich twardymi. Jak najtwardszymi — powiedział.

— Byliśmy dla nich twardzi przez wiele lat, panie prezydencie, i uzyskaliśmy tylko tyle, że są teraz odporni jak stal. Nie możemy walczyć jednocześnie z bandami i z ludnością.

— Nie mamy wyboru. — Prezydent wygodnie rozsiadł się w fotelu. — W każdym razie mamy przynajmniej pewność, że Vandini zginął?

— Chyba tak...

— Zginął z pewnością, panie prezydencie — wtrącił się pułkownik Biganov. — Widziałem jego trupa po bitwie o Linare.

— Szkoda, że nie mamy jego zwłok. No trudno. Wiadomość o jego śmierci powinna być dla nas cennym atutem.

Szkoda, że dopiero teraz do nas dotarła. Jutro ogłoszą to stacje telewizyjne i prasa.

— Nikt już nie ogląda naszej telewizji ani nie czyta naszych gazet, panie prezydencie.

— Nieważne. Vandini nie żyje, będą o tym wiedzieć. Taaak... za bardzo wyrósł, zbyt wielki zdobył sobie rozgłos wśród ludności.

— Niektórzy uważali go za kandydata na dyktatora w razie zwycięstwa rebeliantów — dorzucił brygadier Horę.

— Nie, tak wysoko by nie zaszedł — pokręcił głową Martio. — jeżeli już, ten fotel przypadłby raczej Randinowi albo Hakayanowi... — w tym momencie Martio zreflektował się, że snucie takich rozważań w obecności, jak by nie było, wciąż jeszcze sprawującego swój urząd prezydenta VII republiki Manwenu nie jest zbyt bezpieczne.

Althion splótł ręce na piersiach.

— Nie traćmy czasu na głupie gadanie — powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Mamy na głowie sprawę ogromnej wagi. Musimy jak najprędzej rozpocząć ofensywę przeciwko bandom.

— To niemożliwe, panie prezydencie. Nasze wojska gonią resztkami sił, podczas gdy oni stają się coraz silniejsi. Logiczniej byłoby skracać linię frontu wokół stolicy, tym bardziej, że i tak w całym kraju wybuchają rozruchy i musimy zostawiać za frontem oddziały pacyfikacyjne.

— Te rozruchy ucichną, jeśli zniszczymy bandy Randina i Hakayana.

Martio rozłożył bezradnie ręce i usiadł ciężko w fotelu.

— Gwardia jest w rozsypce. Nie podoła takiemu wysiłkowi.

Prezydent podrapał się nerwowo po szyi.

— W takim razie... postaram się o bezpośrednie wsparcie militarne Ziemian. Gdy przyślą swych żołnierzy, sytuacja zmieni się radykalnie na naszą korzyść.

— A jeżeli nie przyślą?

— Przyślą. Muszą przysłać. Sprzedałem im tę planetę dwadzieścia lat temu, biorą z niej wszystko, od uranu po korzenie aranii. Zwycięstwo rebeliantów to dla nich koniec. Nigdy do tego nie dopuszczą.

Nikt nie zaprzeczał. Przez dłuższą chwilę trwała cisza.

— A więc jutro, panowie — przerwał ją wreszcie Althion — proszę mi jutro przedstawić plan zlikwidowania band w ich siedliskach przy współpracy z Ziemskim Korpusem Interwencyjnym.

\* \* \*

Prezydent Althion mylił się jednak w swych rachubach; w chwili gdy nakazywał swym generałom podjęcie przygotowań do wejścia w góry, powstańcy podchodzili już pod gwardyjskie umocnienia na nizinach. Dzień wcześniej major Randin i pułkownik Hakayan zwinęli swoje obozy w lasach i rozpoczęli dwoma kolumnami marsz ku dolinom. Randin szedł na północ, wąwozem Ledi, by u jego wyjścia zaatakować Fort Althion, główną bazę wypadową oddziałów Gwardii prezydenta. Wąwóz zapewniał stosunkowo duże bezpieczeństwo marszu, ale fort uchodził w całym kraju za symbol potęgi dyktatora. W dodatku dywizja musiała atakować go z marszu, gdyż bunkry i okopy gwardzistów sięgały w głąb wąwozu, a nadzieję na powodzenie akcji dawało tylko natarcie z zaskoczenia.

Grupa Hakayana była liczniejsza, ale słabiej uzbrojona, zwłaszcza w broń pancerną. Zajmując bowiem południową część gór, staczała mniej walk z gwardią niż oddziały Randina, miała więc mniej okazji do zdobycia sprzętu. Przypadły jej do sforsowania umocnienia Gwardii pod Minthere. Były one słabsze od umocnień fortecznych Althionu, ale droga do nich wiodła po odsłoniętych stokach, narażając oddział na częste ataki lotnictwa. Jednocześnie więc grupa Hakayana miała przyjąć na siebie główne uderzenia Gwardii, odwracając jej uwagę od innych oddziałów. Randin zwolnił nieco marsz wiedząc o tym: chciał, by Hakayan zaatakował pierwszy. Hakayan zrobił zresztą to samo.

Za dwoma głównymi zgrupowaniami ruszyły dziesiątki innych, mniejszych, które niezdolne do przeprowadzania samodzielnie większych bitew, szarpały patrole i konwoje gwardzistów. Wkrótce też zaktywizowały swą działalność oddziały bazujące w dolinach, w ocalałych tam resztkach lasów.

— Zbliży się rozstrzygnięcie — powiedział Vandini do swych żołnierzy na ostatnim postoju, kilkanaście kilometrów przed fortem. — Jak zdobędziemy Althion, pozostanie nam już tylko marsz na stolicę i powieszenie prezydenta na latarni.

Ktoś zaśmiał się ponuro. Żołnierze nie byli w nastroju do żartów. Szli na samym czele kolumny i im właśnie przypadło zdobywanie fortu w pierwszej linii. Wiedzieli, że większość z nich zginie w tej bitwie. Że to nie oni będą wieszać Althiona.

— No a teraz w tył rozejść się, macie piętnaście minut na ostatni odpoczynek przed bitwą.

Dwuzereg rozsypał się na dziesiątki pojedynczych żołnierzy, którzy porozchodzili się na boki i zdejmując na chwilę broń siadali lub kładli się w wysokiej trawie.

Kapitan został sam na wiodącej środkiem wąwozu wstążce piaszczystej drogi. Przez chwilę wpatrywał się w jaśniejące powoli, opuchłe niebo. Do świtu pozostawało jeszcze ponad dwadzieścia minut. Noce na Manwenie zawsze były jasne i krótkie, jakby na złość powstańcom.

Usłyszał za sobą cichutki warkot motoru. Prawie niedosłyszalny. Dobra, gwardyjska maszyna — czasem przejedzie o kilkadziesiąt metrów nie zauważona.

Powiódł wzrokiem po linii horyzontu i odwrócił się. Na łącznikowym, zdobyczym motocyklu podjechał ku niemu porucznik Halfest. Zatrzymał się, zasalutował niedbale (taki był wśród powstańców fason: salutowało się zawsze niedbale, jakby od niechcenia) i powiedział głośno, trochę za głośno w tej porannej ciszy:

— Major pyta, czy nie zmienił pan swego zdania.

— Nie. Sam poprowadzę swych żołnierzy do ataku. To mój obowiązek.

— W takim razie przynoszę panu rozkaz majora, aby natychmiast opuścił pan pierwszą linię i zameldował się do służby sztabowej.

Vandini oparł rękę na lufie przewieszzonego przez plecy automatu i powoli podszedł do motocykla.

— Powiedz, że odmawiam wykonania tego rozkazu.

— Znakomicie — mruknął Halfest cicho, tak, by nie usłyszeli tego żołnierze.

Zsiadł z motocykla, oparł go na wysuniętej podstawie i stanął koło Vandiniego.

— INSTRUKCJA — powiedział ściszym głosem. — Doprowadzisz żołnierzy do drugiej linii umocnień. Kiedy zobaczysz atakujące czołgi, wrócisz się i przyczaisz w jednym z bunkrów. Trzyście minut po rozpoczęciu natarcia Randin ze sztabem znajdzie się na polu walki. Po wykonaniu żądania wrócisz do żołnierzy i poprowadzisz atak na sam fort.

KONIEC.

— Tak — odpowiedział cicho Vandini.

Halfest odwrócił się i podszedł do motoru wzruszając ramionami. Z daleka wydawało się, że bezskutecznie przekonuje Vandiniego do zmiany decyzji, tak właśnie miało to wyglądać.

— Radziłbym jednak panu zmienić zdanie — krzyknął Halfest i ruszyły znikając po chwili w głębi wąwozu.

Vandini usiadł na kamieniu obok drogi. Wysoko przeleciał zwiadowczy samolot; niedobrze, może dostrzec poruszenie w wąwozie. A gdyby tak spróbował zdjąć go z nieba?

Ręka machinalnie sięga po broń. Za późno, już zniknął, słychać tylko warkot silnika.

Zebrał żołnierzy i poprowadził ich na pozycje wyjściowe.

Cztery minuty przed świtem niebo wybuchło. Lejkowate wyjście z wąwozu pokryła gruba warstwa gotującego się pyłu, dymu i ognia. Wszystkie miotacze rakiet i działka, jakie miała do dyspozycji dywizja Randina, strzelały na przedpole, by rozryć ziemię, pozrywać z niej zasieki, wyłuskać i zdetonować miny. Jakieś działo strzeliło za krótko i pocisk eksplodował pośród żołnierzy. Rozległy się jęki — pierwsi ranni.

Vandini spokojnie zapalił papierosa, podniósł się z ziemi i przesunął automat z pleców do ręki. Wał ognia przetoczył się dalej, nie czyniąc prawie żadnych szkód gwardyjskim umocnieniom. Powstańcy nie mieli dział, które mogłyby naruszyć potężne bunkry. Jedynym ich atutem było zaskoczenie.

— Naprzód! — ryknął, usiłując przekrzyczeć huk wybuchów. — Naprzód!

Machnął lufą automatu i rzucił się pierwszy, pociągając za sobą falę żołnierzy.

— Naprzód! Za Manwen! Za ojczyznę!

\* \* \*

Przed siebie. Huk, krzyk, wybuchy i odgłosy strzałów. Stopy zapadają się w rozrytej pociskami ziemi. Co chwilę rozlega się eksplozja miny i któryś z żołnierzy pada. Inni przeskakują przez niego i pędzą dalej. Widać już pierwszy pas bunkrów — są puste, tylko w niektórych drżą iskierki pistoletów maszynowych.

Uderzenie w pierś. Pociski rozrywają skórę i odbijają się od czegoś twardego, co jest pod spodem. Rana zabliznia się błyskawicznie, zapełnia się ciastowatą masą krzepnącą w ciało. Nie ma śladów krwi na rozdartym mundurze. Dopadli pierwszych bunkrów, wytlukli tam nielicznych gwardzistów i pognali dalej. Dopiero ostry ogień cekaemów z drugiej linii

przydusił ich do ziemi. Vandini kazał żołnierzom cofnąć się, poukrywać i czekać na nadejście czołgów.

Niepostrzeżenie wycofał się do pierwszej linii bunkrów i wsunął się do jednego z nich. Oparł lufę karabinu o krawędź strzelnicy.

Przedpołem sunie kilka wozów pancernych i czołgów, przechodzi rozwinięta w tyralierę kompania piechoty. Strzelanina wzmaga się coraz bardziej. Zajeżdża ubłocony gazik; jedno koło wozu wpada w lej po rakiecie. Z samochodu wysiada kilku wyższych oficerów. Znajome sylwetki. Rozmawiają z ożywieniem. Randin odwraca się do przechodzących żołnierzy, krzyczy coś wymachując rękami.

Dlaczego? zastanawia się Vandini przykładając policzek do kolby karabinu. Celownik wędruje szybko po horyzoncie, by spocząć na wyprostowanej sylwetce dumnego oficera. Krótkie złożenie. Dlaczego? Nie może spudłować. Tacy jak on nie pudrują. Czarny krzyż celownika na głowie. Spust. Randin rozkłada szeroko ręce i ciężko wali się na ziemię.

\* \* \*

Las czarnych, powykręcanych drzew wyciąga się boleśnie ku sinofioletowemu, obrzmiałym powiekom nieba. Krwawe niebo Manwenu — napęczniały posoką bąbel, w którym od lat odbijają się tylko trupy. Trupy porozrywane pociskami, trupy powieszonych na osmalonych konarach, trupy rozstrzelanych. Na Manwenu od dawna nie umiera się normalną śmiercią.

Przed wieczorem minęli spaloną wioskę, w której początkowo zaplanowali postój. Wioska ta została zniszczona zaledwie na kilka dni przed zdobyciem fortu Althion; gwardziści doszli do wniosku, że trzeba dać nauczkę ludności, która udziela ciągłej pomocy powstańcom. Czarne szkielety okrągłych chat, swąd spalonego mięsa, tu i ówdzie zwęglony trup trzymający jeszcze karabin. Nie poddali się bez walki.

Vandini kazał rozbić namioty kilka kilometrów dalej, w umarłym lesie.

Kiedyś te rany zabliznią się, spalone drzewa obrosną fioletowym mchem i spróchnieją, użyźniając glebę pod nowy las, pomyślał Vandini przechadzając się wokół obozu. A z nas, to znaczy z nich, poprawił się w myśli, pozostaną pusto brzmiące imiona na kartach książek.

Zatrzymał się przy grupie powstańców grzebiącej zabitych. Wstrętna robota.

— Kapralu! — zawołał przyjrawszy się ich pracy. Podoficer podbiegł do niego salutując.

— A tamci? — Vandini wskazał na trupy gwardzistów poobdzierane z broni, butów i panterek, które potem matki i siostry żołnierzy farbowały na czarno w korze lahii.

— To przecież gwardziści. Może nawet z tych, którzy spalili tę wioskę.

— Zapamiętajcie, kapralu: tam już nie ma powstańców ani gwardzistów. Są tylko polegli.

— Major Randin kazał ich zostawiać, więc myślałem...

— Major Randin nie żyje. Teraz ja tu dowodzę. Pochowajcie ich.

— Tak jest, panie majorze.

Ruszył w kierunku obozu. Randin... jego Vandini nie mógł zapomnieć. Ta wykrzywiona bólem twarz, gdy przywoływał do siebie zdyszanego, okrwawionego Vandinięgo i przekazywał mu dowództwo.

Trzymał wtedy w dłoni stygnącą pięść Randina, mając przylepiony do twarzy grymas bólu, choć w duszy nie czuł nic. Potem sztucznie zbolałym głosem — to też nie należało do niego — powiedział, że musi wracać do walczących żołnierzy i włożywszy hełm pobiegł ku zdobywanemu fortowi.

Wtedy też po raz pierwszy zobaczył w oczach swych żołnierzy błysk uwielbienia dla siebie.

W obozie trwało niezwykle poruszenie. Żołnierze, zbici w dużą gromadę, kłębili się pomiędzy namiotami. Zbliżywszy się Vandini dostrzegł, że pośrodku tej grupy znajduje się ktoś, kogo poszturchują i okładają pięściami.

— Co się tu dzieje? — spytał wartownika.



— Złapaliśmy jeńca, panie majorze.

— Oficera?

— Nie, to cywil. Ale to Ziemianin.

— Skąd się tu wziął?

— Po prostu przyszedł. Chciał wejść na teren obozu. Twierdził, że musi koniecznie porozmawiać z panem majorem.

Vandini skierował się ku kłębowisku. W połowie drogi dopadł go porucznik Nadcen.

— Panie majorze, melduję, że...

— Już wiem.

— Nie możemy sobie poradzić z żołnierzami... O mały włos go nie zabili...

Vandini przyspieszył kroku. Dwóch rostrych żandarmów trzymało jeńca — choć nie zamierzał uciec — a pozostali próbowali utrzymać w bezpiecznej odległości żołnierzy, którzy obrzucali go stekiem najwymyślniejszych obelg. Gdy zobaczyli Vandiniego, uspokoili się trochę...

— Rozejść się! — rzucił. — Jeńca do sztabu na przesłuchanie. Jak jeszcze raz się coś takiego powtórzy, oddam paru pod sąd.

Żołnierze niechętnie rozstąpili się, szemrając i klnąc głośno. Vandini spojrzał na jeńca: był to typowy Ziemianin, nieco wyższy od przeciętnego Manweńczyka, ale też o wiele grubszy i bardzo niezgrabny. Skórę miał zupełnie białą, włosy jasne, szczeciniaste. Za grubymi szklami okularów tkwiły ruchliwe wyłupiaste oczka, którymi strzelał na wszystkie strony. Wyglądał na porządnie przestraszonego i nie stawiał oporu prowadzącym go żandarmom. Vandini odprowadził grubasa wzrokiem aż do szałasu, w którym urzędowało dowództwo.

— No, powiedziałem, rozejść się! To wojsko czy banda hołoty?

Czego on mógł szukać? zastanawiał się. Gdyby wpadł w ręce wieśniaków, już by nie żył. Powinien sobie zdawać sprawę, że Manwen to nie jest najbezpieczniejsze miejsce dla Ziemian.

Odczekał jeszcze kilka sekund i wszedł do szałas.

— Powtarzam to jeszcze raz — mówił Ziemianin stojąc na środku izby. — Muszę koniecznie rozmawiać z dowódcą zgrupowania.

Mówił dość płynnie i poprawnie, choć z bardzo dziwnym akcentem.

— Ale będziesz rozmawiać ze mną — zasyczał jeden ze sztabowców, podchodząc do jeńca. Prawdopodobnie uderzyłby go pięścią w twarz, gdyby nie obecność Vandiniego.

— Muszę rozmawiać z majorem Randinem, po to przyleciałem tu z Ziemi. Od tego zależy los całego waszego powstania!

— Ja jestem tutaj dowódcą — powiedział Vandini.

Ziemianin odwrócił się.

— Major Randin? — zapytał.

Vandini podsunął mu krzesło.

— Major Randin poległ tydzień temu, ja jestem jego następcą. Major Vandini. Niech pan siada.

Ziemianin bezwiednie wykonał polecenie. Vandini obszedł go i usiadł na stole.

— Więc słucham, co mi pan chce powiedzieć?

— Wybaczy pan, panie majorze, ale dla dobra sprawy... Lepiej by było, gdybym rozmawiał z panem majorem w cztery oczy.

Vandini zastanawiał się chwilę.

— Dobrze. Niech panowie wyjdą — rzucił do sztabowców.

Jeden z oficerów:

— Panie majorze, to może być podstęp...

— Nie sądzę. Wyjdźcie panowie. I nie ważcie się podsłuchiwać.

— Więc? — ponowił pytanie po ich wyjściu.

Ziemianin nerwowo obtarł spocone czoło wymiętą chustką.

— Jestem profesor Jack Kannen, z ziemskiego Komitetu Pomocy Manwenowi.

— O?! Ziemianie chcą pomóc Manwenowi! Wystarczy, jeśli się wreszcie od nas odpieprzą.

— Działamy w opozycji do rządu Ziemi. W naszym układzie żyje wielu ludzi, panie majorze. Różnych ludzi. Chcemy wam pomóc. Wasze powstanie jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Vandini sięgnął po papierosa.

— O ile wiem, zwyciężamy na wszystkich frontach.

— Tak, bo nasz rząd na to pozwolił. Poświęcili Althiona, żeby uspokoić ludność waszej planety. Chcą rozsadzić powstanie od wewnątrz.

— Jak?

— Mają wśród powstańców wielu swoich ludzi. Z tego, co wiemy, przed paroma tygodniami przetrucili do was robota, czy raczej swego rodzaju cyborga. Miał on podszyć się pod poległego oficera i dzięki pomocy przekupionych Manweńczyków dostać się do dowództwa powstania, w przyszłości zaś zająć miejsce Althiona. Nie muszę chyba panu tłumaczyć, że jest on absolutnie posłuszny rządowi Ziemi.

— Ma pan pewność, że jest już tutaj?

Cichy, powoli narastający szum w głowie.

— Tak, wiemy na pewno, że znajduje się już wśród powstańców. — Kannen zapala się, mówi coraz szybciej. — Zastąpił jednego z poległych oficerów i prawdopodobnie dowodzi w tej chwili dużą jednostką powstańczą.

Szum przeradza się w przeraźliwy, natarczywy gwizd.

— Skąd to wiecie?

Dwa obce głosy prowadzące ze sobą ożywioną rozmowę stają się coraz dalsze, coraz trudniej słyszalne. Coraz głośniejszy gwizd.

— Mamy zupełnie pewne przecieki z kręgów rządowych. Właściwie nie jest to robot, lecz wyposażony w mechaniczne systemy stabilizacyjne sztucznie wyhodowany Manwencyk z odpowiednio wypranym mózgiem i magnetyczną, kontrolowaną pamięcią. Może ma on pewne namiastki własnej psychiki, ale te ślady osobowości milkną, gdy do mózgu dochodzą instrukcje wysyłane przez ludzi kontrolujących jego postępowanie...

Usta Kannena — poruszające się szybko, rytmicznie. Pulsowanie w głowie.

— ...i dlatego musiałem was koniecznie uprzedzić. Jesteśmy prawie pewni, że tym robotem jest dowódca jednego z waszych największych zgrupowań, major Hakayan. Musicie go zniszczyć, i to szybko. Gwardia Althiona jest w rozsypce. Jego żołnierze rzucają broń i uciekają. Kto dotrze pierwszy do stolicy, zostanie przez ludność i powstańców obwołany nowym prezydentem. Jeżeli będzie to Hakayan — koniec z wami.

Potworny dźwięk zdaje się rozsadzać czaszkę i nagle — cisza.

„INSTRUKCJA AWARYJNA A-7; DEKONSPIRACJA...”

Palce zaciskają się kurczowo. Karabin z ramienia na biodro, lufa w brzuch, odbezpieczyć, spust — ułamek sekundy. Rozsadzający łomot serii, automat szarpie się w dłoniach, krzyk. Rozpruty, charkoczący trup, czerwone bebechy rozchłapane na ścianach.

...KONIEC”.

Oparł się ciężko o blat stołu. Do szafasu wpadli żołnierze z bronią gotową do strzału.

— Co się stało?

Vandini podnosi głowę. Jego twarz jest spokojna.

— Nic, schowajcie broń. Rzucił się na mnie z nożem.

— Mówiłem, panie majorze...

— Zawsze mówiłem. — Chorąży Zill wzrusza ramionami. — Ziemię trzeba rozwałać od razu.

Vandini wyprostował się i przewiesił automat przez ramię.

— Sprzątnijcie to — wskazał głową na Kannena. — Szczęście, że zdążyłem od niego wyciągnąć parę ważnych informacji. Oficerowie służbowi!

— Tak, panie majorze.

— Alarm bojowy. Natychmiast zwijać obóz, przygotować oddziały do wymarszu. Idziemy na stolicę.

— Ale, panie majorze... Żołnierze muszą odpocząć.

— Odpoczną w Manaken. Na razie jeszcze nie pora. Od tego, jak szybko dotrzemy do stolicy, zależy los Manwenu. Dowódca grupy zmechanizowanej i kapitan Halfest — do mnie! Wyszedł z izby.

— Ale co się właściwie stało?

— Gwardziści rzucają broń i uciekają. Jeżeli damy im czas na odpoczynek, mogą z powrotem skoncentrować swoje oddziały i przejść do kontrofensywy.

— Panie majorze, dowódca oddziałów zmechanizowanych, kapitan Hartsone, melduje się na rozkaz.

— Dobrze. — Vandini wziął kapitana za ramię i odprowadził na bok. — Ile wozów ma pan w tej chwili gotowych do drogi?

— Dwanaście ciężarówek i osiem tych zdobycznych transporterów z fortu, poza tym łaziki i motocykle.

— Dojedziemy na nich za jednym zamachem do Manaken?

— To przecież prawie tysiąc kilometrów! Nie mamy tyle paliwa.

Vandini nerwowo przetarł palcami powieki.

— Musimy jak najszybciej przerzucić do Manaken możliwie największą ilość żołnierzy.

— Całego zapasu z fortu starczyłoby na doprowadzenie do Manaken czterech... no, najwyżej pięciu transporterów z ludźmi i sprzętem.

— Pięć transporterów... to jest ponad dwustu pięćdziesięciu ludzi... Dobrze. Przygotujcie je do drogi. I jeden motocykl.

— A co z resztą?

— Zostawić. Albo spalić.

— Tak jest.

Vandini obrócił się do Halfesta.

— Wybierzesz kilkunastu żołnierzy najlepszych w walce wręcz, w strzelaniu i przede wszystkim gotowych za mną skoczyć w ogień. Na ich czele postawisz jakiegoś wiernego mi podoficera.

— Któregoś z „naszych” żołnierzy?

— Nie, normalnego, wiernego powstaniu patriotę. Może być głupi, nawet powinien, żeby się niczego nie domyślił. Przyślesz go do mnie.

— Myślę, że nadawałby się do tego kapral Vent z trzeciego szwadronu.

— Może być on. Wszystkich tych żołnierzy przenieść z dotychczasowych jednostek do mojej osobistej ochrony.

— Tak.

— Po wykonaniu tego rozkazu weźmiesz od Hartsone’a motocykl i pojedziesz do Hakayana. Gdyby cię pytali, wiesz ode mnie tajny list do dowódcy zgrupowania. Zabijesz go, a potem wiesz, jak się da. Staraj się dostać do pałacu prezydenckiego, będę tam na ciebie czekał. Gdyby cię złapali, pamiętaj, że nigdy z tobą o tym nie rozmawiałem.

— Tak jest — kapitan (do niedawna jeszcze porucznik) trzasnął obcasami i pobiegł ku oddziałom. W spokojnym jeszcze przed chwilą obozie wrzała praca: setki obudzonych

niespodziewanie żołnierzy uwijało się przy pakowaniu namiotów i plecaków. Choć znać było na ich twarzach potworne zmęczenie, żadnemu nie wymknęło się z ust nawet jedno słowo niezadowolenia.

Przy magazynach Vandini spotkał swego zastępcę — majora Parnavio.

— Dwie pierwsze kompanie, które będą gotowe do drogi, wyślij do parku mechanicznego. Tam są przygotowane dla nich transportery. Niech nie biorą namiotów ani zbędnego wyposażenia, tylko broń automatyczną, granaty i jak najwięcej amunicji. Jadę z tymi oddziałami. Ty obejmiesz dowództwo nad resztą. Poprowadzisz ich na Manaken, możliwie najszybciej.

— Rozkaz.

Vandini spojrział na zegarek. Przymknął oczy i przez chwilę obliczał w myślach drogę, którą miał do przebycia, i szybkość zdobywczych transporterów. Z obliczeń tych wynikało, że dotrą one do stolicy następnego dnia, na krótko przed świtem.

\* \* \*

Althion wzdrygnął się lekko, kiedy lekarz wbił mu strzykawkę w skłute przedramię i zaczął powoli wciskać tłoczek. Gdy skończył, prezydent powiedział do niego:

— Możesz iść dokąd ci się podoba. Nie będę już więcej potrzebował twojej pomocy.

Osobisty lekarz prezydenta skłonił się pokornie i wyszedł z gabinetu. Althion odsunął fotel od biurka, podniósł się i leniwie przeciągnął czekając, aż środki pobudzające zaczną działać. Powoli, zmęczonym krokiem zaczął się przechadzać po marmurowej czarnobiałej posadzce. Jeszcze raz obrzucił wzrokiem bogate ściany pokoju, z którego przez dwadzieścia lat niepodzielnie rządził planetą.

Trzasnęły drzwi. Althion obrócił się na pięcie.

— Jeszcze pan tu jest? — zapytał zdziwiony.

— Powiedziałem, że nie ucieknę. — W drzwiach stał sekretarz prezydenta, Danlin. Wszedł do środka zamykając starannie drzwi.

— Liczy pan, że pana zabiorę ze sobą?

— Nie. Zamierzam tu zostać.

— Pan zwariował, Danlin. No ale to pańska sprawa. Skoro tak bardzo chce pan wisieć na latarni.

Danlin zaśmiał się. Nie wyglądał na drżącego o swą przyszłość. Podeszedł do okna i otworzył je szeroko. Na dworze zapadł już zmierzch.

— Jakie są nowiny? — zapytał Althion.

— Nie mogą być już gorsze niż do tej pory. Cała planeta jest w rękach rebeliantów; wszystkie ważniejsze miasta, drogi, porty i lotniska. Fort Tire broni się jeszcze w okrążeniu, ale to nie potrwa długo.

Zza okna dobiegł odgłos serii karabinowej.

— A Gwardia?

— Gwardii już nie ma. Ci, którzy nie zginęli, zdezerterowali.

— Durnie. Wieśniacy będą ich tropić po lasach. Lepiej byłoby dla nich umrzeć, niż dostać się w ręce powstańców. Na co oni liczą?

— Pewnie, że uda im się dotrzeć do portów i uciec jakąś tratwą na wyspy.

Manwen miał tylko jeden wielki kontynent; pięć szóstych globu zajmował ocean, z którego wypiętrzało się kilka bezludnych prawie archipelagów. Od wieków służyły one za azyl uchodźcom z kontynentu.

— Niech próbują. — Althion poruszył ramionami. — Gdzie jest Martio?

— Uciekł.

— A Biganov?

— Uciekł.

— A Narylin? Też uciekł?

— Zginął w walce. Już trzy dni temu. Zapomniał pan?

— A rzeczywiście, zapomniałem. Stary osioł Narylin przynajmniej pozostał do końca wierny swym ideałom. Może i lepiej dla niego, że poległ. Całe życie poświęcił rewolucji, byłoby mu przykro, gdyby na starość dowiedział się, że je zmarnował.

— Rewolucja była dwadzieścia lat temu.

— Tak. Teraz jest następna. Za kilkanaście lat będzie kolejna. Jedna rewolucja wynosi człowieka do władzy, druga zrzuca go z fotela. Zostają tylko stosy trupów, a najlepiej wychodzą na tym wszystkim Ziemianie.

Strzały i wybuchy za oknem przerodziły się w regularną strzelaninę.

— Ciągną stąd te swoje pierwiastki promieniotwórcze, czy jak oni to nazywają... A propos, co słychać w kopalniach? Praca nie ustała ani na chwilę, wydobywanie wzrasta?

— Tak.

— Dopóki na tej ziemi zostało choć trochę uranu — nie dopuszczają, aby coś się zmieniło. Biedny narodek. Durnie. — Althion oparł się ręką o ścianę obitą miękkim materiałem. W mięśniach poczuł przypływ rzeźkości — efekt zastrzyku.

— Chętnie bym tu sobie porządził jeszcze z dziesięć lat. Myślałem, że Ziemianie mi pomogą, przecież sprzedałem im Manwen... Ale oni już go widocznie kupili od tego, kto mnie zastąpi. To bardziej opłacalna transakcja. Kanonada za oknami zdawała się słabnąć.

— Zdaje się, że pańska wierna straż pałacowa kończy swój żywot.

— Tak. Pora uciekać, wkrótce wpadnie tu motłoch. Ziemianie mi nie pomogli, ale myślę, że pozwolą mi spędzić u siebie stare lata.

— Nie.

Althion spojrział na niego zdziwiony.

— Nie dostaniesz się już na Ziemię — wyjaśnił Danlin.

Althion roześmiał się. Wyjął z kieszeni srebrny klucz i wsunął go w szczelinę pod malutkim posążkiem na biurku. Jedna ze ścian rozsunała się na boki, ukazując przeszkolone drzwi do eleganckiej kabiny przypominającej windę.

— Nie wiedziałeś o tym, co? Teleporter. Wchodzisz do środka, naciskasz guziczek i już jesteś na Ziemi. Jeden z tych ich cudownych wynalazków.

— Jesteś głupi, Althion. A jak myślisz, jak ja przybyłem na Manwen?

— Ty...?

— Oczywiście. Przysłali mnie z Ziemi. Żebym cię pilnował.

W rękę Danlina załśnił mały, ziemski obezwładniacz.

— Ty musisz tu zostać, Althion. Ci ludzie chcą mieć jakąś satysfakcję, zadośćuczynienie za te miliony wymordowane przez twoich gwardzistów i za wszystko to, co działo się po rewolucji. Jesteś dla nich ucieleśnieniem tego wszystkiego i musimy cię poświęcić, żeby się trochę uspokoili.

Althion rozejrzał się nerwowo. Najszybciej jak umiał, sięgnął do kieszeni po pistolet; błysk obezwładniacza. Prezydent osunął się na podłogę.

— Idą po ciebie, Althion — powiedział Danlin podnosząc z podłogi klucz, który wypadł z zeszytywniałych palców prezydenta. — Wrócę na pewien czas na Ziemię, ale nie zabawię długo. Po prostu nie ma tu bezpiecznego ukrycia. Ale zjawię się znowu, gdy już będziesz trupem.

Wszedł do kabiny. Althion, niezdolny się poruszyć, patrzył, jak szczelina w ścianie zamyka się nie pozostawiając po sobie śladu.

Zaczął się zastanawiać, czy zdąży odzyskać władzę nad mięśniami, nim do gabinetu wpadną jego byli poddani. Nie chciał, by dostali go bezbronnego jak niemowlę.

Strzały odzywały się coraz rzadziej. Strażnicy pałacowi kończyli swą służbę — jako ostatni, wierni mu ślepo do końca.

\* \* \*

Transportery sunęły szybko kilkanaście centymetrów nad szklistą powierzchnią pustej autostrady. Pędzili całą prędkością, jaką dało się wycisnąć z motorów, mijając od czasu do czasu małe ubogie wioski — przeważnie spalone albo rozsypujące się ze starości. Mijali też maszerujące drogą oddziały partyzantów albo cywilów, którzy po zniknięciu gwardzistów wyszli ze swych ukryć i kolorowymi, rozgadanyimi gromadami szli ku stolicy. Widząc transportery z żołnierzami „z gór” cywile machali rękami i krzyczeli, żeby ich podwieźć do Manaken. Niektóre grupy usiłowały nawet zastępować im drogę, ale rezygnowały na widok dystynkcji Vandiniego i karabinów jego żołnierzy.

Vandini prawie cały czas stał na pomoście pierwszego transportera z dłońmi opartymi na poręczy, wpatrzony w drogę. Jeżeli schodził z tego posterunku, to tylko po to, aby porozmawiać ze strudzonymi żołnierzami. Nie potrzebował zresztą podnosić w nich ducha; mimo zmęczenia byli szczęśliwi, pewni, że już wkrótce wrócą do domów.

Do miasta dojechali niedługo przed świtem, tak jak Vandini przypuszczał. Nie zauważeni przez nikogo przemknęli przez opustoszałe dzielnice slumsów i wjechali pomiędzy betonowe mrówkowce.

Stolica Manwenu przedstawiała żałosny widok. W mieście nie ocalała ani jedna szyba, niektóre domy były spalone, zawartość sklepów poniewierała się na trotuarach i jezdniach wśród poprzewracanych samochodów. Po ulicach snuły się grupki wrzeszczących, pijanych ludzi, którzy uciekali na widok gwardyjskich transporterów.

Silnik pierwszego poduszkowca zacharczał rozpaczliwie i wóz opadł ciężko na ulicę.

— Panie majorze, koniec paliwa — zameldował z wnętrza wozu Hartsone.

Vandini odwrócił się.

— Potrzebuję kogoś, kto dobrze zna miasto! — zawołał.

— Ja znam! Mieszkałem tu kilka lat.

— Ja się tu urodziłem!

— I ja!

— Dobrze! — Vandini uciszył ich ruchem dłoni. — Dowódcy plutonów do mnie!

Zsunął się z pomostu i przerzuciwszy nogi przez pancerną płytę, zeskoczył na ziemię.

Zza zakrętu wyszedł chwiejnym krokiem obdarty cywil z przewieszonym przez ramię automatem. Zobaczywszy żołnierzy wznosił do góry obie pięści i ryknął:

— Zwycięstwo! — Po czym chwycił się latarni, żeby nie upaść. Dopiero w tym momencie Vandini zauważył, że na latarni wisi jakiś człowiek ze związanymi z tyłu rękami i przyczepioną do nóg deską z napisem „Zdrajca”.

— Zabierzcie mu broń — powiedział Vandini wskazując na trzymającego się latarni pijaka — bo zrobi komuś krzywdę.

Żołnierze właśnie zaczęli wychodzić z transportera, prostując obolałe nogi. Kilku z nich podeszło do pijanego cywila i zabrało mu automat.

— No, no! — opierał się tamten, gdy prowadzili go za ręce. — W imię powstaniaaaa!

Vandini z rozmachem strzelił go w pysk.

— Kto?! — ryknął.

Cywil zastygł z otwartymi ustami.

— Nazwisko!

— Bant... Bantanto... robotnik miejski numer siedemset dwanaście tysięcy czterysta dwadzieścia pięć.

— Co tu się dzieje?

— Zwycięstwo... — Wytrzeźwiały nagle cywil rozejrzał się ze zdziwieniem.

— Gdzie gwardziści?

— Wiszą.

— A prezydent?

— Prezy...? Prezydent! Boże, zapomniałem na śmierć! — zaczął się szarpać — mój automat! Do szturmu!

— Chyba nic z niego nie wydusimy — stwierdził kapitan Arzent.

— Puście go, niech idzie do jasnej cholery. Panowie!

— Vandini odwrócił się do oficerów — powstanie zakończyło się zwycięstwem, ale trzeba jeszcze zrobić porządek w tym mieście. To znaczy wziąć za mordę ten pijany motłoch, zanim z nadmiaru szczęścia nie powyrzyna się nawzajem. Kompania kapitana Arzenta zajmie natychmiast pałac prezydencki i usunie z niego to bydło. Podobnie robi też kapitan Hank, zajmując stację radiowo–telewizyjną i sąsiadującą z nią drukarnię. Postara się zebrać pracowników i jak najszybciej je uruchomić. Jeden pluton pod dowództwem porucznika Zoego zajmie centralną siłownię miejską oraz rozdzielnię wody i głoosu. Gdybyście napotkali jakieś jako tako zorganizowane i trzeźwe oddziały, powiedzcie im, że przechodzą pod dowództwo majora Vandiniego i skierujcie do zaprowadzenia porządku na ulicach. Cywilów rozbrajać. Starajcie się nie używać broni, raczej jakoś przemówić im do rozsądku.

Vandini przetarł oczy, chociaż nie czuł się senny.

— Obsługa techniczna i jedna drużyna z piątego plutonu niech zostaną przy transporterach. Czy są jakieś pytania?

Cisza.

— W takim razie proszę przystąpić do wykonywania zadań. Kapitanie Hartsonie, pan postara się jakoś uruchomić transportery, przynajmniej niech je pan doprowadzi na główny plac miasta i ustawi na środku. Trzeba będzie urządzić jakiś wiec, zajmie się pan tym. Kiedy wszystko będzie gotowe, niech się pan zamelduje w pałacu prezydenckim, tam będzie nasza tymczasowa siedziba.

Odszedł kilka kroków i przez chwilę patrzył na rozchodzące się w różnych kierunkach plutony. Potem przeniósł wzrok na żołnierzy ze swojej obstawy, skupionych przy pierwszym transporterze.

— Aha, kapitanie Hartsonie! Przy okazji — wskazał palcem na latarnię — zdejmijcie tego nieszczęśnika.

— Tak.

Vandini rozejrzał się.

— Idziemy — rzucił do Venta.

Znał miasto dość dobrze, choć nie pamiętał skąd. Nie chciał zjawiać się w pałacu, zanim Zand i Arzent nie zrobią tam porządku, poszedł więc okężną drogą, przez Plac Althiona i Aleje Rewolucji. To znaczy, pomyślał, przez były Plac Althiona i Aleje poprzedniej rewolucji.

Im bliżej centrum, tym bardziej stawały się widoczne zniszczenia dokonane w mieście. Większych nie mogłyby spowodować nawet kilkudniowe walki uliczne — a przecież wszystkie wypadki w stolicy rozegrały się w ciągu zaledwie kilku godzin.

Ludzie w mieście to zupełnie inna kategoria niż ci z dalekich wiosek, myślał. Oni pierwsi poczuli rękę dyktatora i ostatni się spod niej wyzwolili. To, co dla wieśniaków urzeczywistniało się najściem pacyfikacyjnego oddziału Gwardii, oni ciągle mieli wokół siebie. Zamiast szansy oporu albo przynajmniej bohaterskiej śmierci — bulgocące, zbydłęciałe bagno. Oto ich wyzwolenie: najchętniej zniszczyliby wszystko, łącznie z sobą. Trzymani całe życie na łańcuchu, mieli tę jedną noc dla siebie. Taka okazja zdarza się raz na dwadzieścia lat: palić, mordować, tłuc, a potem włamać się do gorzelni i schlać na umór. Nieszczęsne bydło.

Po placu kręciło się kilku ludzi, przebierając pośród zalegających ulicę szczątków. Ktoś popijał ramię z nadtłuczonego kubka. Na odgłos ich kroków, chrzęszczących na potłuczonym szkle, odwrócili głowy. Ktoś pomachał ręką, krzyknął coś przyjaźnie.

Doszli do pałacu prezydenckiego. Pod ogrodzeniem kłębili się mieszkańcy miasta. Vent z kilkoma żołnierzami wsunął się do przodu.

— Z drogi! — ryczał tłukąc kolbą opornych — idzie major Vandini. Słyszycie? Van–di–ni!

— Van–di–ni! Niech żyje! Van–di–ni zwycięzca! — podjął tłum.

Na twarzy majora pojawił się sztuczny uśmiech. Podniósł ręce, dziękując za owację. Z trudem dopchnęli się do bramy. Wartownik wyprężył się sprężyste i zsalutował — już nie tak niedbale, jak zwykle robili to powstańcy, ale po „gwardyjsku”.

Gdy tylko znaleźli się za bramą, uśmiech znikł z twarzy Vandiniego, zastąpiony nie mniej sztucznym wyrazem zmęczenia. Jeszcze raz obejrzał się przez ramię na skłębiony przed bramą wiwatujący tłumek.

A ty kim jesteś, pomyślał. Jednym z nich, czy Ziemianinem? Chyba ani jednym, ani drugim.

Pod drzwiami czekał już na niego kapral Arzent.

— Melduję wykonanie rozkazu, panie majorze. Zdążyliśmy w ostatniej chwili, właśnie szykowali się do podpalenia pałacu. Na szczęście po drodze spotkaliśmy spory oddziałek powstańców, pomogli nam bardzo.

— Co to za jedni? — spytał Vandini. — Od Hakayana?

— Nie, z lasów. Dotarli do miasta kilka godzin przed nami. Kiedy usłyszeli o panu, przeszli pod naszą komendę.

— Dobrze.

Znaleźli się w obszernym holu. Marmurowa posadzka zasypana była chrzęszczącym pod stopami szkłem i potłuczonymi stiukami. Pod ścianą kłębiły się pozrywane zasłony, strzępy sztandarów i kawałki boazerii. U stóp szerokich schodów leżał podeptany portret Althiona.

— Cholera — powiedział Vandini rozglądając się po odartych do gołego muru ścianach. — Cały pałac tak wygląda?

— Cały, panie majorze.

Weszli na piętro. Ściany korytarza podziurawione były gęsto kulami. W wielu miejscach na podłodze widniały plamy krwi.

— Musiała tu być niezła strzelanina.

— Tak, panie majorze. Trupy już powynosiliśmy.

— Dużo ich było?

— Dużo. Bronili się do ostatka.

— A Althion?

— Nie znaleźliśmy go, ale na pewno nie żyje.

— Skąd pan wie?

— Mieliśmy naocznych świadków. Rozerwali go na strzępy. Jedną rękę znaleźliśmy na schodach, poznaliśmy ją po sygnecie, dziwne, że nikt tego sygnetu nie ukradł. A reszta byłego prezydenta — Arzent wzruszył ramionami — też się gdzieś tu wala.

— Panie majorze — odezwał się Zand, który nagle wyłonił się z bocznych drzwi. — Telefony są sprawne. Właśnie połączyłem się z kapitanem Hankiem. Mówi, że nie może znaleźć obsługi stacji radiowej ani telewizyjnej, ale drukarnię może uruchomić choćby zaraz; papier i farba jest, maszyny sprawne, i ma w oddziale kilku żołnierzy, którzy się na tym znają.

— Znakomicie. Połączcie mnie z nim zaraz — odwrócił się do Arzenta. — I każcie się rozejść tej hołocie spod bramy, powiedzcie, żeby wrócili do swych normalnych zajęć i że wkrótce na Placu Althiona odbędzie się wiec, na który powinni przyjść wszyscy.

— Tak.

Wszedł za porucznikiem do obszernego gabinetu, nieco mniej zniszczonego od innych. Wykładziny na ścianach były podziurawione kulami i w powietrzu unosił się jeszcze zapach



prochu, ale meble ocalały prawie nietknięte. Zand podszedł do masywnego biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

— To gabinet prezydenta — powiedział naciskając klawisze. — Tu go znaleźli. Wywlekli go od razu na korytarz i dzięki temu nie zdążyli zniszczyć gabinetu. O, jest.

Podał mu słuchawkę.

— Hank?

— Przy aparacie.

— Mówi Vandini. Słyszałem, że może pan uruchomić drukarnię.

— Tak, panie majorze.

— Znakomicie. Macie tam kogoś z maszyną do pisania?

— Chwilę, panie majorze. — Hank odłożył słuchawkę. Po chwili: — Tak, panie majorze.

— Dyktuję: Obywatele... Nie, skreśl to. Rodacy. Nadeszła tak długo oczekiwana godzina wolności...

Hank powtarza na głos jego słowa. W głębi słuchawki odzywa się klekot maszyny.

— ... Reżim Althiona i popierających go Ziemian został obalony raz na zawsze i nie wróci już nigdy. Niech żyje wolny, suwerenny Man wen. Już?

— Tak.

— Od nowego wiersza: W tej radosnej, ale i trudnej chwili wzywam was, mieszkańcy Manaken, do zachowania spokoju i bezwzględnego podporządkowania się zarządzeniom władz powstańczych. Wzywam was, abyście wrócili na swoje stanowiska i podjęli pracę dla dobra odrodzonego Manwenu. Wykrzyknik albo nawet dwa. Podpisane: major Vandini, tymczasowy komendant miasta. Wydrukujcie to w jak największym nakładzie i rozrzucajcie po mieście.

Odłożył słuchawkę nie czekając na rytualne „Tak jest”. Obszedł biurko i usiadł w fotelu Althiona.

— Tutaj jest spis numerów, z którymi połączona jest sieć telefonów w pałacu — powiedział Zand wyjmując z kieszeni małą książeczkę. — Znaleźliśmy to w wartowni na dole.

— Dobrze. Zawołajcie do mnie kaprala Venta.

Zand wyszedł. Vandini rozparł się w fotelu i zaczął penetrować biurko Althiona. Wyciągnął pierwszy z brzegu dokument.

Raport 33 917. Walki trwają nadal na całym prawie obszarze kraju. W dniu wczorajszym i dzisiejszym poległo 417 gwardzistów. W odwecie spalono dwadzieścia cztery wsie, które prawdopodobnie udzielały pomocy rebeliantom...

Przypomniała mu się spalona wioska, w której ostatnio obozowali. Podniósł wzrok. Ściana rozsunała się bezszelestnie, ukazując małe przeszklone drzwi, które po chwili otworzyły się. Wyszedł zza nich niewysoki, dość otyły mężczyzna w czarnym powstańczym mundurze z dystynkcjami kapitana.

— Jestem Danlin — powiedział podchodząc do Vandiniego. — INSTRUKCJA: Natychmiast rozkażesz Ventowi...

Mówił szybko, nerwowo, nachyliwszy się nad Vandinim, który siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym bezmyślnie w trzymany w ręku papier. Podniósł oczy dopiero, gdy Danlin powiedział: — KONIEC.

Otworzył usta, lecz w tej chwili otworzyły się drzwi gabinetu.

— Kapral Vent melduje się na rozkaz.

— Wejdźcie, kapralu.

Vandini rozpiął dwa guziki koszuli. W gabinecie było gorąco.

— Pierwsza rzecz: to jest kapitan Danlin, pełnomocnik majora Hakayana. Macie go słuchać tak samo jak mnie.

— Tak, panie majorze.

Vandini podniósł się z fotela i podszedł do kaprala.

— Chcę wam powierzyć pewną misję. Jest ona trudna i odpowiedzialna.

— Dołożę wszelkich starań.

Vandini uśmiechnął się smutno.

— Gwardia nie zdążyła zniszczyć wszystkich swoich archiwów, znaleźliśmy je teraz. Jest w nich, między innymi, spis agentów gwardii w szeregach powstańczych. Znaleźliśmy także instrukcję, jaką dano im na wypadek obalenia reżimu Althiona: kazano im przeniknąć do nowych władz, opanować je i działać na szkodę Manwenu, w interesie Ziemi.

Vent zaciął wargi, wbijając wściekłe spojrzenie w ścianę.

— Ci ludzie przeniknęli już do naszego sztabu. Są wysokimi oficerami, dlatego nie można się z nimi rozprawić tak, jak na to zasługują. Gdybyśmy z kapitanem Danlinem próbowali ich po prostu aresztować, pociągnęliby za sobą część żołnierzy i w efekcie doszłoby do bratobójczej walki, a do tego nie możemy dopuścić. Agentów Ziemi trzeba po prostu zlikwidować, bez rozgłosu, pozorując zamach niedobitków Gwardii.

Położył Ventowi dłoń na ramieniu.

— Czy macie tak pewnych ludzi, aby wykonać to zadanie?

— Tak, panie majorze.

— Nie chcę was zmuszać do podjęcia go. Jeżeli nie...

— Wykonam to zadanie, panie majorze. Kim są ci ludzie?

Vandini uśmiechnął się.

— Wiedziałem, że mogę na was liczyć, Vent. — Podszedł do biurka. — Chodzi o majora Parnavio, kapitana Hartsone'a, kapitana Volihio, porucznika Nherna, a także o porucznika Bithra i Rigalda z korpusu Hakayana.

Dzwonek telefonu. Vandini podniósł słuchawkę do ucha, przez chwilę słuchał stojąc nieruchomo. Twarz mu pobladła.

— Kto? — zapytał nieswoim głosem.

Znów chwila ciszy i trzask odkładanej słuchawki.

— Major Hakayan nie żyje. — Na twarzy Vandiniego pojawił się wyraz potwornego bólu.

— Zabójca uciekł nie rozpoznany. Żołnierze Hakayana szukają go, ale nawet jeśli znajdą...

— Vandini ukrył twarz w dłoniach.

Vent ponownie wściekle zacisnął zęby.

— Wykonam rozkaz, panie majorze! — Obrócił się do drzwi.

— Aha, i postawcie przy drzwiach dwóch swoich żołnierzy.

— Już to zrobiłem, panie majorze.

— Znakomicie — powiedział Danlin, kiedy Vent wyszedł. — Teraz jeszcze wyślesz kogoś do kopalni, żeby ich tam przypilnował. Praca nie może ustać ani na moment. Ja na razie wracam, następnych instrukcji dostarczę ci za kilka godzin.

Danlin znikł za rozsuwającą się ścianą. Vandini usiadł za biurkiem. Schował leżący na nim papier do szuflady, wyjmując inny dokument. Przebiegł go niedbale wzrokiem, zatrzymując się na nazwisku Vandini. Zaczął czytać.

Największym chyba sukcesem — pisał autor raportu — jest śmierć kapitana Vandiniego, jednego z najpopularniejszych przywódców rebeliantów. Zginął na Linare, podczas bitwy. Jego zwłoki żołnierze znaleźli na poboju, w pobliżu naszego czołgu, który udało mu się spalić z ręcznego miotacza tuż przed śmiercią. Zabrawszy trupa na dół, chcieliśmy obwozić go po okolicznych wioskach, co wywołałoby znakomity efekt psychologiczny. Niestety, przeszkadzili nam w tym ziemscy doradcy wojskowi, którzy zupełnie niespodziewanie zjawili się na poboju i bez żadnych uprawnień zabrali zwłoki Vandiniego, co więcej, zabronili naszym żołnierzom zbliżać się do tej części poboju, gdzie je znaleziono. Pojazdy ich

jeszcze wielokrotnie lądowały w tym rejonie, ponieważ jednak czynili to zupełnie bezprawnie, a nawet grożąc naszym żołnierzom bronią, zwracam się z prośbą o upomnienie przedstawicielstwa Ziemi przy rządzie Manwenu...

Schował papiery do biurka i wyszedł z gabinetu. Zszedł na dziedziniec, gdzie wciąż trwał ożywiony ruch. Któryś z żołnierzy Venta podbiegł do niego i zameldował, że kapitan Hank uruchomił stację radiową.

— Czy w związku z tym nie wyda pan major żadnych specjalnych rozkazów?

— Nie, niech nadaje, co uzna za stosowne. Możecie odejść.

Żołnierz trzasnął obcasami.

Vandini minął bramę i odesławszy eskortę przydzieloną mu przez Venta, zaczął powoli schodzić w dół ulicy.

Teraz ulica była już pusta. Sprawiała nawet wrażenie, jakby ktoś ją sprzątał. Niektóre okna pozasłaniane były dyktą, a z jezdni odgarnięto gruz i szczątki samochodów na boki, tworząc miejsce dla powstańczych pojazdów. Na rogu jakaś tłusta kobieta sprzedawała gorącą zupę. Kilka osób stało obok, siorbiąc z blaszanych manierek.

Vandini sięgnął ku naramiennikom i zaczął z nich odrywać gwiazdki. Na szczęście dały się zdejmować i zakładać bez większego trudu. Zostawił sobie tylko po jednej — wolał uchodzić za kaprala niż za majora. Prawdopodobnie po raz ostatni mógł sobie pozwolić na taki „spacer”, bez ochroniarzy i wiwatującego tłumu.

Mijani na ulicy cywile uśmiechali się do niego i dziękowali głośno. Ktoś wcisnął mu do ręki kufel piwa, jakaś dziewczyna wyciągnęła go dając mu kwiaty. W mieście było jeszcze niewielu powstańców i mieszkańcy wszystkich fetowali w ten sposób.

— Kapralu! — wyrwał go z zamyślenia czyjś ostry głos. Odwrócił się. Za nim stał, mierząc go złym spojrzeniem, jakiś zirytowany porucznik.

— Od kiedy to, kapralu, przestaliście oddawać honory wyższym od siebie stopniem?

Vandini zasalutował od niechcienia.

— Przepraszam, panie poruczniku — powiedział. — Nie zauważyłem pana.

Obrzucił oficera wzrokiem — nie był to żaden z jego ludzi. Prawdopodobnie pochodził z jakiegoś małego oddziału, który na wieść o klęsce Althiona ruszył na stolicę.

— Jak to?! Nie zauważacie oficerów? — wrzasnął porucznik. — Skąd wy właściwie jesteście?

— Z osobistej ochrony majora Vandiniego.

Porucznik jakby oklapł, choć wyraźnie starał się tego nie dać po sobie poznać.

— Na drugi raz lepiej uważajcie — rzucił i odszedł szybko.

Idiota, pomyślał Vandini.

— Cymbał.

Odwrócił się. Pod ścianą sąsiedniego domu siedział na żelaznej skrzynce po amunicji chudy, szpakowaty mężczyzna. Ubrany był w starą gwardyjską kurtkę z pozrywanymi dystynkcjami, sweter i cywilne spodnie. Ręce splecione miał pod głową opartą o mur.

— Okropny cymbał — powtórzył.

— Myśli pan o nim? — spytał Vandini pokazując za oddalającym się porucznikiem.

Mężczyzna skinął głową.

— Też tak uważam — powiedział Vandini i usiadł naprzeciw nieznanemu na jakimś poniewierającym się szczątku mebla.

— Widać, że dopiero co dostał ten stopień. I że mało wahał prochu. U nas w oddziale też był jeden taki, oficer kasynowy.

— Pan brał udział w powstaniu?

Nieznajomy wskazał palcem na szramę przecinającą oba policzki i usta.

— Brałem. Ale nie w tym. Byłem sierżantem w gwardii Althiona. Dwadzieścia lat temu. No co, kapralu, teraz szybko pan spłynie, jak ci wszyscy cywile? A może zastrzeli mnie pan jako zdrajcę narodu i sympatyka obalonego reżimu?

— Skąd panu to przyszło do głowy? Althion przecież przez wiele lat cieszył się poparciem ludzi. Wszyscy mu ufali. Dawno rozstał się pan z Gwardią?

— Zaraz po rewolucji. Uznano mnie za niepewnego, rozumie pan.. I tak cudem uniknąłem rozstrzelania.

— Więc czego się pan boi? Takich jest wielu. W moim oddziale też są dawni gwardziści. Althion był kiedyś uważany za wielkiego wyzwoliciela, któż mógł przypuszczać, że okaże się zdrajcą?

— Mógł, mógł każdy, kto miał choć trochę oleju we łbie. Ojciec, który kiedyś popierał Diara, powiedział mi, jak szedłem do Gwardii: „Wszyscy oni zawsze mówili to samo. Zawsze byli odnowicielami i zawsze gówno z tego wychodziło. Nie ryzykuj dla nich swojego życia”. Ale ja wtedy go nie słuchałem, tak jak dzisiaj nikt nie chce słuchać mnie. Każdy musi się sam przekonać.

— Więc dlaczego nie przystąpił pan teraz do powstania?

— Właśnie dlatego, kapralu. Raz już w życiu nadstawiałem karku za darmo, teraz kolej na innych idiotów. Nie wierzę w to wszystko. Myślę, że każdy facet u władzy staje się skurwysynem, nawet jeśli przedtem był z niego kryształowo czysty człowiek. Trzeba mu ciągle patrzeć na ręce, inaczej nic z tego. A zresztą — Ziemia.

— Co Ziemia?

— Przecież oni nie pozwolą, aby u nas coś się zmieniło. Wyprzedzają nas techniką o dobre kilkadziesiąt lat. Gdy tylko coś będzie nie po ich myśli, przyślą tu swoje superbombowce i rozpieprzą wszystko w pył.

Vandini nerwowo zacisnął palce. Nie wiedział, co powiedzieć. To był moment, w którym jego dwie natury — ziemską, mechaniczną, i jakieś resztki osobowości żywej istoty — rozpadły się definitywnie.

— Może nie pozostaje nic innego, jak strzelić sobie w łeb? Tylko polegli zachowują honor. Żałuję, że to pijane bydło nie rozwaliło mnie jak tylu innych. Pewno nie znają innego lekarza w dzielnicy, więc byłem im potrzebny.

— Pan jest lekarzem?

— Tak, chirurgiem. Kiedyś pracowałem w szpitalu, ale wylali mnie.

— Niech pan posłucha. — Vandini pochylił się w kierunku rozmówcy. — Niech pan zgłosi się jutro w pałacu prezydenckim do kapitana Hartsone’a. Jak pan się nazywa?

— Inver More.

— Jest pan potrzebny ojczyźnie. Trzeba doprowadzić do porządku służbę zdrowia. Szef resortu to wysokie stanowisko. Mam duży wpływ na majora Vandinięgo.

More zaśmiał się głośno. Od dłuższego czasu przypatrywał się naramiennikom Vandinięgo.

— To nie są dystynkcje kaprala — powiedział wskazując palcem na ślady po odczepionych gwiazdkach. — Dopiero teraz to zauważyłem. Pan jest majorem, a w tym mieście jest teraz tylko jeden wojskowy w tym stopniu.

— Tak, ja jestem Vandini. Więc jak, panie More? Proponuję panu stanowisko szefa resortu w nowym rządzie. Będzie pan mógł sam pilnować, żeby nie powtórzyło się to co przedtem.

Inver potrząsnął głową.

— Wybacz pan, majorze, ale nie. Nie nadaję się do rządzenia.

Podniósł się ze skrzyni z zamiarem odejścia.

— Ale chciałbym wierzyć — powiedział odwracając się — że uda się panu wyjść z tego zaczarowanego kręgu. Niech pan nie pozwoli swojej eskorcie odciąć się od ludzi. To najważniejsze.

Vandini patrzył w ślad za odchodzącym, dopóki ten nie zniknął za zakrętem. Potem podniósł się i szybkim krokiem ruszył do pałacu. Po drodze minął jeszcze grupę kilkunastu ludzi skupionych wokół wystawionego na ulicę radiodbiornika. Vandini poznał płynący z niego głos kaprała Gerda z kompanii Hanka.

— ... Zawsze był w pierwszej linii, nawet kiedy mu to nakazywano — nie opuszczał żołnierzy. Kiedy został ranny w bitwie pod Linare, jego pierwsze słowa po odzyskaniu przytomności brzmiały: „Kiedy będę mógł wrócić na front?” Zawsze pełen był niemalże ojcowskiego ciepła, nawet w stosunku do jeńców. Pewnego razu, na przykład...

Minął to miejsce szybko. Przed bramą przyczepił znowu swoje gwiazdki do naramienników. Minął salutujących mu żołnierzy i pobiegł do gabinetu, wzywając do siebie Venta.

Na biurku leżała jeszcze przyniesiona przez Danlina lista ludzi, których należało się pozbyć natychmiast pod jakimkolwiek pretekstem. Zmiał ją i wyrzucił do kosza. Wyciągnął z szuflady arkusz papieru listowego z herbem Althiona i zaczął na nim pisać nową listę.

kpt Danlin  
por. Halfest  
por...

Gdy Vent wszedł do gabinetu, lista liczyła już siedemnaście nazwisk.

— Słuchaj, Vent — zapytał. — Czy wytypowałeś ludzi do przeprowadzenia akcji?

— Tak, panie majorze.

— Zmieniam rozkaz. Ludzie, których nazwiska podałem wam przedtem w obecności Danlina, to nasi najwierniejsi oficerowie, oddani powstaniu. To Danlin jest agentem Ziemi. Nie byłem tego zupełnie pewien, dopiero teraz uzyskałem niezbite dowody. Przypuszczam, że jest on zamieszany w zabójstwo Hakayana. Chciał, żebyśmy pozbyli się najlepszych ludzi, na szczęście niełatwo mnie oszukać. Listę tych, których powinniście zlikwidować, mam tu. — Podał mu zapisaną przed chwilą kartkę. — O tamtej lepiej zapomnijcie. Wykonać jak najszybciej.

— Tak jest, panie majorze.

— Danlina trzeba zlikwidować, jak tylko go znajdziecie, natychmiast. To bardzo niebezpieczny człowiek, Ziemianie wyposażyli go w kilka swoich najnowszych wynalazków.

— Tak jest.

— Możecie iść.

— Panie majorze, pod drzwiami czeka kapitan Hartsone. Czy mam go wpuścić?

— Tak.

Kroki, trzask otwieranych i zamykanych drzwi, i znowu kroki, tym razem inne, bardziej energiczne.

— Zrobiłem, jak pan kazał, panie majorze. Wszystko gotowe. Na placu zbudowaliśmy podest na zestawionych transporterach, założyliśmy aparaturę nagłaśniającą, nawet reflektory. Zebrało się już dobre kilkaset tysięcy ludzi, coraz trudniej ich opanować. Myślę, że powinien się pan tam jak najszybciej zjawić.

Vandini zastanowił się.

— Znakomicie — powiedział po chwili, podnosząc się z fotela — pośpieszmy się.

— Pod bramą czeka łazik — mówił Hartsone już na korytarzu. — Zajęliśmy koszary Gwardii. Broniło się tam jeszcze kilku facetów, poddali się na sam widok mundurów. Stąd ten cały sprzęt.

— Szybciej — ponaglił go Vandini. — Nie zdaje pan sobie nawet sprawy, jak wiele zależy teraz od pośpiechu.

Wybiegli z pałacu i wsiedli do samochodu, który natychmiast ruszył z całą prędkością.

\* \* \*

Ściana rozstała się bezgłośnie i wyszło z niej trzech ludzi. Jednym z nich był Danlin. Wszyscy mieli na sobie czarne powstańcze mundury, przerobione z mundurów gwardyjskich.

Danlin rozejrzał się zdziwiony po gabinecie. Podeszedł do biurka, lecz nic na nim nie znalazł. Fakt, że Vandini zaczął podejmować samodzielne kroki, zaniepokoił go.

— Wracajcie — rzucił do swoich towarzyszy. — Musimy zmienić program. Niech natychmiast wezmą robota na dokładny, wewnętrzny nasłuch. W razie czego przejmować bezpośrednie sterowanie.

Odczekał, aż obaj zniknęli w teleporterze i otworzył drzwi gabinetu.

Chciał minąć wartowników swobodnie, jak gdyby nigdy nic, ale kiedy przechodził obok, jeden z nich chwycił go od tyłu za gardło. Nie miał nawet czasu się bronić. Czuł, jak zrywają mu oznaki i pas z kaburą pistoletu. Ostatnią rzeczą, która zachowała mu się w umyśle, gdy rzucili go na brudną podłogę, przystawiając lufy karabinów do potylicy, był potworny strach. Bał się jeszcze chwilę potem, gdy już potworny wstrząs wyrzucił go wysoko w górę, w gasnącą powoli, brzęczącą milionem dzwoneczków ciszę.

\* \* \*

Łazik zatrzymał się. Drogę przegradzali mu stłoczeni, krzyczący coś ludzie. Nie zauważyli nawet samochodu, odwrócenie do niego plecami.

— Cholera — zaklął Vandini. — Każda chwila jest ważna.

Hartsone i dwaj żołnierze wysiedli z łazika, zaczęli rozpędzać tarasujących drogę ludzi na boki. Nadbiegło kilku żandarmów, Hartsone zaczął im coś tłumaczyć, pokazując na przemian to łazik, to znów niewidoczny z tego miejsca plac. Gdy po chwili zjawili się następni żołnierze, zaczęli razem torować drogę dla samochodu.

Wreszcie droga była wolna. Łazik posuwał się powoli wśród tłumu, otoczony przez żołnierzy. Vandini zacisnął zęby patrząc na zegarek. Szpaler w końcu poszerzył się nieco, samochód nabral prędkości, by po chwili ostro zahamować przy ustawionych w czworobok transporterach.

Vandini wspiął się na pancierz jednego z wozów i stanął na ustawionym tam podwyższeniu. Ktoś podał mu mikrofon.

Oślepiło go światło kilku lotniczych reflektorów ustawionych na dachach pobliskich budynków, chociaż dzień był wyjątkowo pochmurny. Wokół rozległ się triumfalny ryk setek tysięcy ludzi.

Vandini podniósł mikrofon, otworzył usta... nagła eksplozja światła w mózgu słowa zamierają w gardle z niedosłyszalnym charkotem bolesny spazm naprężonych do granic wytrzymałości mięśni potworny jęk STEROWANIE BEZPOŚREDNIE świadomość zapada się głęboko na dno czaszki niemo obserwuje jak kierowany cudzą wolą mózg wyrzuca do góry zwiniętą triumfalnie pięść jak z gardła wydobywa się ochryply krzyk

— „Rodacy!”

ryk tłumu zapomniawsz Vandini jesteś tylko robotem malutką kukielką na scenie wszechświata twoja szczątkowa świadomość ostatni spadek po tamtym Vandinim przestała być potrzebna

jesteś robotem kukłą o tyle doskonalszą niż Althion czy Danlin że bez własnej woli.

— „Nadeszła tak długo oczekiwana godzina wolności!!”

czyj głos odbijają potężnym echem gigantofony czemu wydobywa się ze ściśniętego gardła nie tak miało być przemoc się powiedzieć im wszystko niech poznają prawdę

szczętki świadomości zapadają się coraz głębiej ryk tłumu zaciśnięta pięść opada powoli w dół ustaje ból mięśni koniec walki przegrałeś Vandini  
ryk tysięcy gardeł nie milknie ani na moment wzbija się ponad dachy domów roznosi daleko miarowym skandowaniem  
— Van — di — ni — Van — di — ni — Van — ...  
Tłum, płaczący ze szczęścia, wita nowego prezydenta.

styczeń 1982

Łąka

Trawa, rozgrzana słońcem, wydawała z siebie jedyny w swoim rodzaju zapach, jaki można poczuć tylko raz w roku. Zapach lata. Wszystkie parki i łąki zaroily się od opalonych na brąz rozkrzyczanych dzieci, goniących się bez przerwy, rzucających piłkami i gumowymi pajakami. Cały skwer przy Rodison Street pełen był ich wrzasku i śmiechu.

Tylko pięcioletni Jim siedział na uboczu, na ławce, w cieniu rozłożystego kasztanowca. Siedział i smutnym wzrokiem przyglądał się rozbawionym rówieśnikom i wylatującej co chwila ponad krzaki żółtoczerwonej piłce. Jego opiekunka siedziała obok, pochłonięta od dobrych kilku minut jakimś tanim romansem w barwnej okładce, do tego stopnia, że zapomniała zupełnie o Jimie i o całym świecie.

Piłka znowu wystrzeliła do góry, przy akompaniamencie dochodzących zza krzaków dziecięcych śmiechów, tym razem jednak spadła nie tam, gdzie powinna, i potoczyła się prawie do samych stóp Jima.

Jim miał wielką ochotę podnieść się i odrzucić piłkę. Kątem oka spojrzał na opiekunkę; czytała. Zsunął się z ławki i wziął piłkę w rękę.

— Hej, chudeusz! Oddawaj to! — Zza krzaków wyszedł jasnowłosy chłopiec w krótkich spodenkach.

Jim spojrzał na niego nienawistnie. Nadal trzymał piłkę w ręku.

— Słyszysz, zdechlak? Rzuć to — poparł jasnowłosego drugi chłopak. Za nim stanęło kilkoro innych dzieci.

Jim położył piłkę na trawie, cofnął się kilka kroków i z całej siły kopnął ją z rozbiegu. Poszybowała gdzieś w bok, obracając się wokół własnej osi i kozłując po ziemi.

Jasnowłosy chłopak zaczął się śmiać.

— Zde-chlak, zde-chlak! — wrzeszczał trzymając się za brzuch. — Nawet piłki kopnąć nie umie!

Jim odwrócił się i podszedł do swojej ławki. Nagle poczuł silne uderzenie w plecy, od którego aż ukląkł na trawie. Odwrócił się.

Jasnowłosy chłopak podbiegł właśnie i zręcznie chwycił piłkę odbitą od pleców Jima. Rzucił znowu i — bęc! — tym razem trafił Jima prosto w nos. Dzieci śmiały się.

Łzy zakreśliły się Jimowi w oczach. Podniósł się i zaciskając pięści rzucił na jasnowłosego.

— Zdechlak mnie goni, Zdechlak mnie goni! — wrzeszczał chłopak grając mu na nosie.

Jim zacisnął zęby, biegł, ktoś znowu rzucił w niego piłką, tym razem trafił go w rękę. Jim zmienił kierunek i pobiegł za nim. I jeszcze raz.

Nagle dobiegł go krzyk opiekunki, którą coraz głośniejsze śmiechy oderwały od lektury:

— Jim! O Boże, Jim, zatrzymaj się natychmiast! Łobuzy! Wynoście się stąd!

Kątem oka dostrzegł biegnącą w jego kierunku pannę Teller. Niemal w tym samym momencie został uderzony piłką w tył głowy, ale już prawie tego nie poczuł. Nagle zabrakło mu tchu, nogi zrobiły się miękkie jak z waty, przed oczyma zawirowały złote kręgi. Potworne klucie w piersiach, po lewej stronie, pulsowanie w uszach...

— Jim! Jim!

Nogi uginały się pod nim coraz niżej, coraz wolniej. Świat rozpływał się powoli, ciemniał... Twarz blisko pachnącej, świeżo ściętej trawy i jeszcze tylko kilkanaście centymetrów...

Słońce pochylało się coraz niżej ku zachodowi, oświetlając ciepłymi promieniami wielkie żółte kwiaty pokryte rosą. Jim podniósł głowę z trawy. Był znowu na Łące.

— Cześć, Jim. — Will siedział pod drzewem jedząc ogromną poziomkę.

Jim przeciągnął się. Zerwał jeden z kwiatów i przez chwilę wypijał z niego rosę, która smakowała jak lemoniada w drugstworze pana Smitha.

— Cześć, Will.

— Dziś jest trochę chłodniej — powiedział Will w zamyśleniu. — Ale słońce wciąż wysoko. Będziesz jeszcze musiał tam wrócić. Co masz ochotę dziś robić?

— Na razie nic. Chciałbym tak leżeć i patrzeć na słońce.

Zerwał sobie poziomkę i ugryzł ją.

— Powinniśmy dziś wpaść do Sowy — powiedział Will. — Chyba na imieniny. Zapraszała cię.

Sowa mieszkała na drugim końcu Zaczarowanego Lasu i bardzo często obchodziła imieniny.

Jim lubił, kiedy Sowa wydawała w swojej dziupli przyjęcia. Przychodził na nie Miś i wielki mądry Sum, a czasem przylatywały też ptaki, które uczyły Jima fruwać nad Zaczarowanym Lasem.

Podniósł się.

— Idziemy do Sowy — powiedział. — Widzisz to drzewo? Kto drugi, ten frajer!

Rzucili się przed siebie, nie trując wcale trawy ani kwiatów. Jim przybiegł pierwszy. Śmiali się idąc przez las śpiewających drzew i pili po drodze rosę z kwiatów. Gdy wreszcie przyszli do Sowy, okazało się, że właśnie rozpoczyna się imieninowe przyjęcie i Sowa rozdaje wszystkim prezenty. Potem jedli słodkie konfitury słuchając opowieści Suma i trwało to wszystko długo i Jim znowu był szczęśliwy jak nigdy.

— O Boże, o mój Boże, pani Teller, jak pani mogła... O mój Boże, Jim... — jęczała matka Jima.

— Ależ pani Hudson... — usiłowała tłumaczyć się opiekunka.

— Niech pani nic nie mówi, niech pani milczy, to wszystko przez panią!!! — wrzeszczała histerycznie matka. — O mój Boże, mój biedny Jim!

— Cicho! — syknął ktoś z pochylonych nad nim ludzi. — Niech pani wreszcie przestanie. Zdaje się, że wraca do przytomności.

Jim otworzył oczy i poruszył zsiniałymi wargami.

— Jim... o Boże, Jim... — Matka zaczęła płakać. Pochyliła się nad nim. Jim z trudem uniósł głowę. Był jeszcze bardzo słaby. Tętnienie w uszach cichło bardzo powoli, ciągle jeszcze zagłuszając większość odgłosów świata.

Przy krawężniku alejki zatrzymał się wezwany ambulans.

— Mają tempo — mruknął ktoś pod nosem, patrząc na zegarek. Od momentu utraty przez chłopca przytomności do wezwania karetki upłynęły niecałe dwie minuty.

\* \* \*

To zdarzyło się po raz pierwszy, kiedy miał trzy lata. Jechał z mamą autobusem, gdy nagle poczuł tętnienie w uszach i osunął się na podłogę. Na Łące słońce właśnie wschodziło, a Will i Sowa czekali na niego pod poziomkowym drzewem.

Rodzice pomyśleli wtedy, że po prostu za długo przebywał na słońcu albo za wiele biegał. Upłynęło chyba z pół roku, i dawno już zdążyli o tej sprawie zapomnieć, gdy Jim przeniósł się na Łacę po raz drugi, a potem trzeci i czwarty. Wtedy rodzice zaczęli się niepokoić. Zaprowadzili go do lekarza. Lekarz badał Jima bardzo długo i starannie. Potem poprosił do



siebie rodziców i długo coś im tłumaczył. Ojciec wyszedł z gabinetu błądy jak ściana, a matka miała w oczach łzy. Przytuliła Jima do siebie w taki dziwny sposób i zaczęła płakać.

Potem Jim często przenościł się na Łąkę i wiedział już, że któregoś dnia zostanie tam na zawsze, kiedy słońce schowa się za horyzont. Wystarczyło, żeby trochę pobiegał albo nawet długo chodził, a już zaczynało się znajome klucie w piersiach, tętnienie w uszach; tracił wtedy równowagę i przytomność. Matka zabraniała mu wychodzenia na dwór, mógł tylko siedzieć w cieniu i patrzeć, jak inne dzieci się bawią. Mimo to bywał na Łące coraz częściej.

Nieraz mama zabierała go daleko, do różnych doktorów, którzy najpierw oglądali go długo, przykładali mu do piersi i pleców różne zimne, metalowe płytki i kolorowe kable podłączone do wielkich białych maszyn, a potem rozkładali bezradnie ręce i mówili jakieś słowa, których Jim nie rozumiał.

Któregoś dnia, kiedy wracali od jednego z nich, zapytał w autobusie: „Mamo, kiedy ja wreszcie umrę?” Matka rozplakała się na dobre i przez całą drogę powtarzała mu, żeby nie mówił głupstw. Zupełnie nie wiedział, dlaczego płakała.

\* \* \*

Tego dnia Jim długo nie mógł zasnąć. Leżał z zamkniętymi oczyma i rękami podłożonymi pod głowę, wsłuchując się w głosy rodziców dobiegające wraz ze smugą światła zza wpuł domkniętych drzwi pokoju.

— John, sam wiesz, wiesz dobrze, że to jest już jedyna nadzieja — mówiła matka. W jej głosie chyba jeszcze nigdy Jim nie słyszał tyle zdecydowania i siły. — To ostatnia szansa. Nie możemy jej zmarnować. Jeśli się nie zgodzisz, sama zbiorę te pieniądze.

— Ależ kochanie, trzeba się dobrze zastanowić. Może to jakiś zwykły szarlatan, wydrwigrosz?! Może to jego całe leczenie operacyjne tych... jak im tam, cholera, nieważne — może to tylko wielkie oszustwo, które ma mu przynieść mnóstwo forsy kosztem nas i Jima? Wiesz, że naukowcy...

— Och, John, przestań! Naukowcy już dawno skazali Jima na śmierć!

— Nie krzycz tak, on śpi.

— A poza tym — matka ściszyła głos — on nie jest szarlatanem. Jest przecież profesorem, pracował nad tym wiele lat. Wiem, wiem, twoi naukowcy uważają go za szaleńca, braci Wright też uważano za wariatów. Ale szarlatani zawsze obiecują wszystko, czego zapragniesz, a on (szelest papierów) zobacz sam, nie ukrywa, że szansę są małe. Widzisz — około trzydziestu procent. Ale to są jedyne szansę Jima, rozumiesz, John?

— Nawet gdybyśmy sprzedali wszystko, co mamy, nie wystarczyłoby na tę operację. A jeżeli nawet, to powiedz mi, co zrobisz ze zdrowym Jimem, bez domu, samochodu — wszystkiego? Co mu dasz jeść?

— Jakoś damy sobie radę, John. Zdobędziemy te pieniądze choćby spod ziemi. A potem zaniemiemy je Stortsowi i on wyleczy Jima. Jestem pewna, że mu się to uda. Posłuchaj, John...

Głosy rodziców zniżyły się do szeptu i płynęły obok zasypiającego Jima szeleszczącym strumieniem, w którym jak refren kołysanki powtarzały się słowa: „Ludzie pomogą, John, pomogą...”

W ciągu paru najbliższych tygodni w domu bez przerwy trzaskały drzwi. Przez pokoje przewijały się dziesiątki ludzi, znajomych i nieznajomych; przynosili ze sobą błyskające białym światłem aparaty, takie jak u wujka Billy’ego, albo podobne do nich podłużne przedmioty, które wydawały z siebie cichy terkot. Kilka razy widział siebie w telewizji, w swoim mieszkaniu, z mamą, która coś mówiła. Aż pewnego dnia wsiedli wszyscy do samochodu i jechali długo, prawie cały dzień.

Potem Jim już niewiele pamiętał. Jakieś długie, białe korytarze, jakaś wielka sala, dziwne białe światło płynące zewsząd i oświetlające wszystko. Pamiętał, że ubrana na biało siostra przyłożyła mu do twarzy gumową maskę, i że zasnął.

\* \* \*

— Obudził się!!! — krzyknął wesoło ojciec, spojrzawszy nagle na Jima. — Jim!

Trwający ułamek sekundy błysk. Jeszcze jeden, i następny, i znowu. Wokół jego łóżka było pełno ludzi.

— Jestem tak bardzo, tak bardzo szczęśliwa — mówiła uśmiechnięta matka do jakiegoś człowieka, który podsuwał jej pod nos podłużny przedmiot. Po jej policzkach płynęły łzy, ale nie były to te łzy, do których Jim już się przyzwyczał. — Taka szczęśliwa...

— No oczywiście, spodziewam się teraz większej liczby pacjentów. Ceny zabiegów, niestety, nie mogę obniżyć — mówił do innego podłużnego przedmiotu siwy, łysiejący mężczyzna w białym fartuchu.

— Jim! Jim! Jesteś zdrowy, wiesz? Będiesz mógł teraz biegać, grać w piłkę...

— Jak nigdy... nigdy w życiu...

— ...jak wszystkie inne dzieci, Jim, nie cieszysz się?

— Oczywiście, pewnych trudności technicznych na razie nie udało się rozwiązać...

— Jak nigdy...

— A co sądzi pani o...

— ...co jednak nie powinno...

— ...Jim!

— Przecież on tego nie rozumie — zwrócił ktoś uwagę ojcu.

I wtedy właśnie Jim zrozumiał wszystko. Wtedy zrozumiał, że Łąka przepadła już na zawsze, że nigdy nie zobaczy Willa ani Sowy, ani Suma, i nigdy już nie będzie jadł ogromnych poziomek w Zaczarowanym Lesie, a potem pomyślał o tych głupich dzieciach, dla których zawsze będzie Zdechlakiem, Chuderlakiem–Jimem, Niedołęgą–Jimem, i o ich żółto–czerwonej piłce. I kiedy tak myślał o Willu i o Łące, nagle spod jego powiek spłynęły po policzkach ogromne gorące łzy. Ale wszyscy dokoła byli zbyt szczęśliwi, żeby je dostrzec.

Za otwartym oknem monotonnie szumiał świat. Tak bardzo dorosły i tak potwornie smutny.

marzec 1982

#### NOTATNIK (IV)

Misterich wyszedł z więzienia. Poszedł najpierw do kumpla i spał się u niego na smutno. Teraz wracał, siedząc na niewygodnym fotelu w metrze. Oparł się plecami o okno i wyciągnął nogi w poprzek przejścia, kładąc je na drugim fotelu.

— Mógłby pan zabrać nogi?

Nad nim stał elegancko ubrany mężczyzna, obok ładna, zadbana dziewczyna.

— Spierdalaj — wybełkotał Misterich otwierając leniwie oczy.

— Licz się ze słowami, pijana świnió — powiedział szorstko elegant.

— Spierdalaj — powtórzył Misterich. — Dobrze ci, co, łachudro? Buciki, spodnie w kancik, panienska...

— Zamknij dziób!

— Trzy lata, skurwysynu, w pierdłu siedziałem, żeby taka menda mogła spokojnie na dziwki chodzić, i żeby miała za co, ty mydłku cholerny, jeszcze mi będziesz rozkazywać?! Będę trzymał nogi, gdzie mi się spodoba, gnojku. O!

Postawił zabłocony but na lśniących kamaszach faceta. Tamten z rozmachem uderzył go w brzuch, a potem kilkakrotnie pięścią w twarz. Misterich zwinął się, usiłując zatamować rękami krwotok z nosa.

— Przepraszam cię, kochanie — powiedział elegancki mężczyzna do dziewczyny, gdy przeszli do drugiego wagonu. — Poniosło mnie. Nic mnie bardziej nie denerwuje niż takie pijane świnię.

Władca szczurów

— No, właz — wybełkotał Niven podnosząc z trudem stalowy właz do tunelu. — A może cię strach obleciał?

Ciężka pokrywa upadła z łoskotem na podłogę. Niven zatoczył się ciężko i żeby nie stracić równowagi, ukląkł obok okrągłego otworu, nachylając się.

— No? — zapytał Seth patrząc na Mina tęym wzrokiem.

Min, pijany jak obaj jego koledzy, skierował swój reflektor w dół. Ostre światło wyłoniło z mroku stalową drabinę wmurowaną w beton.

— Ja się boję? Co? Ja? No, zobaczycie!

Usiadł na krawędzi włazu puszcżając nogi w głąb betonowej studni.

— Przyprawdę wam starucha za łeb, zobaczycie! Za łeb!

— Dobra, dobra. Złaż.

Min ostrożnie wymacał stopą szczebel i zaczął powoli schodzić. Trwało dobre kilkanaście minut, zanim znalazł się na dole.

— Zobaczycie! Za łeb! — krzyknął jeszcze raz ku maleńkiemu okrągłemu światełku nad głową, potrząsając pięścią. Podniósł przytroczony do pasa reflektor i skierował go przed siebie. Stał naprzeciw tablicy z napisem ABSOLUTNY ZAKAZ WSTĘPU. Chyba już szóstej z kolei, ustawionej na drodze do podziemi.

Oderwał dłonie od drabinki i spróbował zrobić krok, lecz zatoczył się twarzą na tablicę. Po drodze z baru nieco wytrzeźwiał, ale nadal miał kłopoty z zachowaniem równowagi. Stał przez chwilę nieruchomo, wreszcie potrząsnął kilkakrotnie głową i skierował reflektor w bok. Korytarz wypełnił się piskiem uciekających przed światłem szczurów.

— Staruchu! Drzyj! Idę po ciebie! — ryknął Min i oderwawszy się od ściany ruszył przed siebie, zataczając się co chwila.

Powietrze w podziemiach było stęchłe i przesycone odorem błotnistej brei, w którą zapadały się ciężkie buty gwardzisty. Czuł, jak narasta w nim niepokój. Najchętniej zawróciłby i uciekł. Skręcił kilka razy w boczne odgałęzienia korytarza i natrafił na następną studnię, którą zszedł znowu kilkanaście metrów niżej. Jeszcze na drabinie poślizgnęła mu się noga i upadł w cuchnący szlam. Reflektor zgasł.

Zamroczyło go na moment i chwilę tę natychmiast wykorzystwały szczury, oblażąc go naraz ze wszystkich stron. Czuł ich miękkie futerka, ich chude, łaskoczące łapki i ogonki. Chciał rzucić je z siebie, ale szczurów z każdą chwilą przybywało. Zdawało mu się, że ściany pograżonego w ciemności korytarza zwały się nagle na niego lawiną popiskiwań i ruchliwych pazurków pokrywających ręce, nogi, piersi, sięgających oczu...

Krzyknął i usiadł otrząsając się z obrzydzeniem. Zaczął po omacku szukać reflektora, a równocześnie próbował odpędzać natrętne gryzonie. Jego palce zagłębiły się w błocie, nie znajdując niczego. Ogarnęło go przerażenie. Ukląkł i posuwając się na czworakach, rozpaczliwie obmacywał ukryty pod błotem beton.

W pewnym momencie poczuł na rękach lodowato zimny strumień wody. Bez chwili wahania nabrał jej w dłonie i chlusnął sobie na twarz. Powtórzył to kilkakrotnie, a potem pochylił się nad błotem i zwymiotował.

Potrząsnął głową i jeszcze raz przemył twarz wodą. Korytarz przestał się kołysać i zataczać.

Odetchnął głęboko zatęchłym powietrzem i strząsnął z siebie szczury. Przypomniał sobie, że latarka przytroczona jest do pasa. Sięgnął ku niej i omiół korytarz światłem. Fala szarych futerek odpłynęła w popłochu, piszcząc przeraźliwie.

Szczury z każdym dniem podchodziły coraz wyżej. Kiedyś były na powierzchni rzadkością — teraz wciskały się wszędzie, panoszyły się w magazynach, sklepach i mieszkaniach. Żadna akcja deratyzacyjna, choć podejmowano je raz po raz, nie mogła temu zaradzić.

Zeżrą nas w końcu, pomyślał podnosząc się z trudem. Znowu strach. Chciał rzucić reflektor i broń i uciekać z tego przekłętego, dławiącego smrodu. Zrobiłby to nie bacząc nawet na ośmieszenie się przed kolegami, gdyby tylko wiedział, którędy wracać. Korytarz we wszystkich miejscach wyglądał tak samo, rozgałęziając się i łącząc w niezbadany labirynt.

Opanował się jednak czując, że jeśli podda się panice, będzie nieodwołalnie zgubiony. Szedł dalej, klnąc swą głupotę, przez którą, dla idiotycznego zakładu, narażał życie w podziemiach metropolii. On, strażnik praw miasta, zabraniających nawet przebywania w pobliżu wejść do lochów. Strach i bezsilna wściekłość. Nie myślał już nawet o schwytaniu Starca, jak to przechwalał się przed półgodziną w knajpie, raczej bał się spotkania z jego ludźmi. Na wszelki wypadek wydobyl z kabury mordercy i odbezpieczył go.

Krąg światła wydobyl z ciemności nierówne litery, napisane odręcznie białą farbą na ścianie:

## MASAYAH A KOVI

Przełknął ślinę. Pod napisem z warstwy błota wyrastało ocembrowanie kolejnego włazu. Ukłękł i ostrożnie zaczął unosić stalową pokrywę. Poruszała się lekko i bezgłośnie. Zgasił reflektor i podniósł ją do końca. Ze studni, która otworzyła się pod nim, biła delikatna poświata. Zszedł po drabince, zamykając za sobą właz.

Cementowa podłoga była tu sucha i czysta i buty Taiera, czego nie zauważył, zostawiały na niej wyraźne, czarne ślady. Odetchnął głęboko świeżym, czystym powietrzem i powoli, starając się stąpać jak najostrożniej, ruszył w kierunku światła bijącego zza załomu korytarza.

Kilkadziesiąt metrów dalej korytarz zamieniał się w elegancki, obłożony plastikiem hali. Min przystanął w miejscu, gdzie cień ustępował miejsca światłu płynącemu z sufitu. Usłyszał nagle kroki. Cofnął się i upadłszy na ziemię przytulił mocno do ściany.

Z bocznego korytarza wyszło dwóch ludzi. Szli swobodnie, rozmawiając cicho, ale z ożywieniem. Ubrani w seryjne, fabryczne drelichy, bez broni, wyglądali zupełnie inaczej, niż kapral Taier mógł przypuszczać na podstawie otrzymywanych od czasu do czasu instrukcji. Bo nieprzystosowani czasami wychodzili z podziemi, by zaopatrzyć się w żywność i ubrania, i zadaniem Gwardii było zatrzymać przynajmniej jednego z nich. Ale na razie nikomu się to jeszcze nie udało.

Ludzie zniknęli za zakrętem. Min biegł na palcach długimi krokami, trzymając mordercy tak, aby móc go użyć w każdej chwili.

Zbiegł schodami dwa poziomy niżej. Znalazłszy się tam, znowu usłyszał kroki. Ukrył się w małym, bocznym korytarzyku.

Korytarzem szło kilku mężczyzn, wśród nich wysoki siwy starzec z długą brodą. Na jego widok Minowi serce podskoczyło do gardła. Zacisnął palce na kolbie mordercy, podnosząc go powoli do oka.

Starzec zbliżał się coraz bardziej. Min wiedział, że strzał z tej odległości musi być skuteczny, ale nie naciskał spustu. Coś go powstrzymywało. Żaden z nieprzystosowanych nie nosił broni, mógł teraz wystrzelać ich wszystkich i wrócić do koszar w glorii pogromcy Starca i jego ludzi. Powoli jednak odciągnął bezpiecznik.

Starzec był już tylko o kilka metrów, spojrzał nagle w jego kierunku. Min bezwiednie opuścił lufę mordercy. W tym momencie starzec nagle coś dostrzegł, drgnął i zrobił

rozpaczliwy, przeczący ruch ręką, otwierając usta. Patrzył gdzieś ponad głową Mina, w korytarzyk. Jednocześnie Taier usłyszał za sobą ciche, szybkie kroki, ale zanim zdążył się odwrócić, poczuł uderzenie czymś ciężkim w głowę i stracił przytomność.

\* \* \*

Unosiła go ciepła, pachnąca fala, popychając delikatnie ku brzegowi. Chciał walczyć, aby nie zostać wyrzuconym na ląd, ale nie mógł się poruszyć. Czuł tylko kołysanie, wonną bryzę na policzkach i cichy szum przelewających się przez niego fal, aż wreszcie któraś osadziła go na rozgrzanej słońcem plaży i cofnęła się z sykiem. Spod powiek umknęły ostatnie barwne motyle snu, drżąc delikatnie, gdy usiłował schwytać chociaż jednego.

Wciąż jeszcze uśmiechając się do siebie otworzył oczy. Wysoko nad nim tkwił szary sufit, poprzecinany liniami jarzeniówek okrytych stalową siatką. Uniósł się na łokciu. Leżał na zimnej, cementowej podłodze piwnicy, obok stalowego włazu, wiodącego do podziemi. Do ściany przytwierdzona była gwoździami tablica z jaskrawoczerwonym napisem ZAKAZ WSTĘPU. Przypomniawszy sobie, co działo się z nim poprzedniego dnia.

Podniósł się z trudem. Zakręciło mu się w głowie, poczuł nagle mdłości i silny ból w karku. Przywarł dłońmi i czołem do ściany i czekał przez chwilę, aż nudności i zawroty głowy ustąpią.

Stalowy wąż w podłodze zakrywał wejście do podziemi miasta. Schodził tam... i co potem...? Może wyciągnęli go Niven i Seth? Nie, nie ma ich tu. Pewnie znudzili się czekaniem i poszli gdzieś trzeźwieć.

Pamięć wyostrzyła się. Wchodząc do podziemi złamał stanowczy zakaz. Jeżeli Niven i Seth zameldują o tym... Nieważne, jak się tu znalazł, przede wszystkim musi wracać do koszar, zanim skończy się przepustka i zanim koledzy zameldują o jego zaginięciu w podziemiach.

Oderwał się od ściany i zaczął iść ku wyjściu. Z początku bardzo chwiejnie, dopiero po kilku krokach udało mu się złapać równowagę. Z potwornym wysiłkiem wspinał się po stromych metalowych schodkach i wyszedł na ulicę. Była jeszcze prawie pusta. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta nad ranem.

Gardło miał wyschnięte i spieczone. Kilka metrów przed sobą dostrzegł dystrybutor z napojami. Wrzucił doń wszystkie drobne monety, jakie pozostały w kieszeniach po wczorajszym pijaństwie, i pił jedną szklankę musującego napoju za drugą. Pomogło.

Wsiadł do odrapanego wagonu, który przejeżdżał ulicą. W wozie były tylko trzy osoby. Jakiś mężczyzna, pijany, spał z twarzą przyciśniętą do okiennej szyby. Dwoje pozostałych odsunęło się od Mina najdalej, jak to było możliwe. Na następnym przystanku wysiedli.

Bydlaki, pomyślał. Nie chciało mu się wstawać. Nieraz ludzie obchodzili go z daleka, i nieraz solidnie pobił kogoś obnoszącego się demonstracyjnie ze swą nienawiścią do przedstawicieli prawa. Dopiero po dłuższym czasie zorientował się, że jego mundur jest sztywny i lepki od brudu, i że cuchnie przeraźliwie. Gdyby spotkał go teraz jakiś patrol, nie wymigałby się od paru dni paki. W brudnym mundurze, bez hełmu, bez...

Zlepione błotem włosy zjeżyły mu się na głowie. Broń! Nerwowo sięgnął do kabury. Morderca tkwił na swoim miejscu.

O mały włos nie przejechał właściwego przystanku. W ostatniej chwili rozpoznał budynki za oknem i zerwał się z fotela. Drzwi wozu zatrzasnęły się o kilka centymetrów za nim. Pragnienie i szum w głowie zmniejszyły się na tyle, że powstrzymał się od wkroczenia do koszar główną bramą, przy której zawsze kręcili się oficerowie.

Najszybciej jak umiał, obszedł koszary i podszedł do tylnej bramy. Wyciągnął z kieszeni przepustkę przesiąkniętą brudną wodą.

— O rany. — Zaspany wartownik przyglądał się przez chwilę Minowi. — Coś ty robił?

— Nie twoja sprawa — odburknął Taier i czym prędzej pobiegł do swej sali. Wszedł bezceremonialnie trzaskając drzwiami, i zapalił światło.

— Co za cholera!! — ryknął obudzony znieczulaka Niven, rzucając w niego butem. — Zgaś to!

— Słuchaj. — Min pochylił się nad nim. — Meldowaliście, że schodziłem do podziemi?

— Odpierdol się — jęknął Niven obracając się na bok i zakrywając głowę kocem. — I zgaś światło. Co?! — ocknął się nagle i usiadł na łóżku.

— Czy mówiliście komuś, że schodziłem do podziemi?

— Nie.

Min odetchnął.

— Ale już to chcieliśmy zrobić. Myśleliśmy, że cię tam szlag trafił. Jakżeś wylazł?

— Zgaśże, kurwa, to światło! — ryknął ktoś z końca sali.

— Dobra, już dobra, zaraz! Nie drzyj gęby! — Potem ci opowiem — rzucił do Nivena.

Wyciągnął z szafki czysty mundur i świeżą bieliznę, po czym, upominany coraz natarczywiej, zgasił światło, wyszedł z sali i ruszył do łaźni.

Zdjął z siebie brudne ubranie i wrzucił je do ścieracza. Z rozkoszą wszedł pod strumień chłodnej wody, drapiąc szczotką swędzące od brudu ciało. Potem zakręcił wodę, włożył na siebie świeży mundur i przespał te kilkadziesiąt minut, jakie zostały do pobudki, na niepościelonym łóżku.

\* \* \*

Po rannym apelu i rozdzieleniu zadań podszedł do niego szeregowiec Berg.

— Major cię wzywa — powiedział i pomaszerował w swoją stronę. Min poczuł, jak oblewa go fala gorąca.

Więc jednak powiedzieli. Parszywce, musieli powiedzieć.

Nogi miał jak z ołowiu. Zastanawiał się, czy major zadowolony jest tylko obcięciem mu poborów, czy wlepi mu także kilka dni koszarняка. W Gwardii co prawda od dawna nie było prawie żadnej dyscypliny, ale akurat w tej jednej sprawie — ścisłego separowania się od jakichkolwiek wpływów miasta, a co dopiero podziemi — surowo karano wszelkie wykroczenia przeciw regulaminowi.

Stał przed drzwiami gabinetu Tensara, prostując się mimo woli. Wszedł.

— Kapral Min Taier melduje się na rozkaz.

Tensar stał przy regale, bokiem do drzwi. Obrócił się powoli.

— Znakomicie. Usiądźcie, kapralu.

Wykonał posłusznie polecenie.

— Czy chcielibyście, kapralu, zostać porucznikiem? — spytał Tensar sadowiąc się za biurkiem.

— Nie bardzo rozumiem, panie majorze...

— Pytam, czy chcecie zostać porucznikiem?

— Tak, oczywiście, panie majorze.

— Więc słuchajcie, kapralu. Macie ogromną szansę.

A więc nie o to chodziło. Taier rozpiął kołnierzyk mundurowej koszuli.

— Wracam z posiedzenia sztabu. Podjęliśmy ważną decyzję. Jak wiecie, kapralu, w podziemiach naszego miasta żyją jednostki, podkreślam, nieliczne osobniki, nie przystosowane do życia w społeczeństwie. Schronili się tam buntownicy i wrogowie. Coraz bardziej nasilają swoją działalność, wysyłają swoich agentów i agitatorów do miasta. Otóż uznaliśmy, że nie można tego dłużej tolerować. Jutro podjęta zostanie zakrojona na wielką skalę obława. Przeszukamy całe podziemia i wywlecemy z nich wszystkich buntowników.

Tensar odchylił się w fotelu i spojrzał na Mina spod przymrużonych powiek.

— Wybrałem was do tego zadania z całej jednostki. Mam nadzieję, że nie popełniłem błędu.

— Zrobię wszystko co w mojej mocy, panie majorze.

— Akcja ma się rozpocząć o godzinie piętnastej. Wy, z piętnastoma ludźmi — tu macie ich imienną listę — zejdziecie do podziemi godzinę wcześniej. Zejdziecie jakimś niewielkim wejściem w piwnicy któregoś z domów na pierwszym poziomie, takich zejść jest tam kilkaset, nigdy ich nie można upilnować. Uważajcie, żeby nikt was nie zauważył. Waszym zadaniem jest dotrzeć do kryjówki bandytów i rozbić ich, zanim dokonają tego inne oddziały. Przede wszystkim musicie schwytać ich przywódcę, George'a Sandora, byłego gwardzistę. Nazywają go Starcem albo Władcą Szczurów. Słyszeliście o nim z pewnością.

— Tak, panie majorze.

— Muszę go mieć tutaj. Żywego. Jeżeli to się powiedzie, możecie, kapralu, liczyć na wszystko. Ale jeżeli wpadnie w ręce jakiejś innej jednostki — to marny wasz los.

Rozumiecie?

Min zwilżył językiem zaschnięte wargi.

— Tak. Rozumiem, panie majorze — dodał po chwili, gdyż za pierwszym razem odpowiedź zabrzmiała niezbyt przekonująco.

— No to spiszcie się dobrze. — Tensar zapalił papierosa. — Pamiętajcie, że to pierwszorzędna robota. Frontowa robota. Jutro zgłosicie się do magazynu po broń i amunicję. Gdybyście czegoś jeszcze potrzebowali, zameldujcie mi. No a na razie udajcie się na swój posterunek — tylko pamiętajcie, kapralu, ścisła tajemnica!

\* \* \*

Min Taier urodził się w Nayrenie i nigdy w życiu nie opuszczał jego granic. Od dzieciństwa, spędzonego w zakładzie wychowawczym, wpajano mu, że powinien być z tego dumny. Że powinien być dumny ze swoich przodków, którzy kiedyś przybyli na tę zimną, niezycziwą planetę i zbudowali przykryte kopułą miasto, i z tych, którzy mieszkając w tym mieście, od wieków przyczyniali się do jego sławy i potęgi. I że winien jest posłuszeństwo i wierność Dyrektoriatowi, który dba o rozwój i sławę Nayrenu. Wierzył w to wszystko i dlatego wstąpił do Gwardii.

Ale dawno już spostrzegł, że rzeczywistość jest inna od tego, co mu mówiono. Nie przeszkadzało mu to szczególnie, przyzwyczaił się, że co innego mówiono na odprawach, a co innego przy barze. Potęga Nayrenu minęła już dawno i bezpowrotnie. Największa niegdyś z ziemskich kolonii pustoszała coraz bardziej. Ci, którzy mogli, uciekali do starej ojczyzny albo do innych kolonii. Starzy umierali i nie miał ich kto zastąpić. Wszelka produkcja, z wyjątkiem fabryk automatycznych kontrolowanych przez główny komputer miasta, ustała. Ludzie włóczyli się beznadziejnie po ulicach, znudzeni i zniechęceni do życia. Ilość samobójstw przekroczyła ilość narodzin, zakłady dla psychicznie chorych wypełniły się. No i szczury: wciąż było ich więcej, coraz bezczelniejszych, jakby już się szykowały do pożarcia gnijącej metropolii.

Rozmyślenia przerwał mu nagły pisk hamującego pojazdu. Odwrócił się. Wokół stojącego samochodu gromadzili się ludzie. Poprawił kask, zacisnął w dłoni pałkę i zbliżył się do zbiegowiska.

— No, już, rozejść się! — wrzasnął zamierzając się pałką. — Tłumek rozstał się, ale nie rozszedł. Bądź co bądź była to jakaś sensacja.

— Rzucił mi się pod koła, panie gwardzisto. Nic nie mogłem zrobić — zaklinał się zdenerwowany kierowca. — Wyskoczył nagle... Boże, że też musiał akurat pod mój wóz.

Min spojrział na niego znudzonym wzrokiem. Nie chciało mu się nawet wyjąć z kieszeni notatnika i zapisać — zgodnie z regulaminem — nazwiska kierowcy i samobójcy. Bo że było to samobójstwo, nie miał wątpliwości.

Zza zakrętu wytoczył się ambulans, niegdyś biały, teraz poszarzały i odrapany jak wszystko. Dwa roboty wyciągnęły bezwładne ciało spod kół i przeniosły do wnętrza sanitarki.

— Nie żyje — oświadczył jeden z nich zamykając tylne drzwi. Ambulans odjechał, skręcając na pas prowadzący na niższy poziom.

.Min spojrział na zegarek. Już od dwóch minut miał prawo zejść z posterunku.

— Jedź do diabła — machnął ręką na kierowcę i obróciwszy się na pięcie ruszył ku barowi, w którym zawsze po służbie zbierali się z przyjaciółmi.

— I co? — spytał zwyczajowo Seth, oparty niedbale łokciami o brudny stolik.

— Nic. — Taier usadowił się obok niego. — Jakiś wariat rzucił się pod samochód. To wszystko.

Seth przeciągnął się i krzyknął na robota za barem:

— Jeszcze dwie. Bez wody.

Zdażył popić, pomyślał Min. Pewnie zszedł z posterunku przed końcem służby. W tym cholernym mieście chyba nikt nie robi tego, co do niego należy. Poza robotami.

Barman postawił przed nimi dwie szklaneczki napełnione przezroczystym płynem. Seth wypił swoją jednym haustem.

Co mi się dzisiaj zebrało na takie rozmyślenia, zastanawiał się Min wlewając wódkę do gardła. Zróbże coś z sobą, zachowuj się jak człowiek.

Odstawił kieliszek.

— Wiesz — powiedział Seth — czasem nawet wydaje mi się, że zaczynam rozumieć tych facetów, co skaczą z okien albo rzucają się pod samochody. Kiedy człowiek rozejrzy się wokół, to rzeczywiście mu się wszystkiego odechciewa. No bo powiedz, Min, po cholere? Pewnego dnia każdy z nas powędruje do regeneratora. Dlaczego by już nie dziś? Co się męczyć?

— Ty się o to pytasz? — Taier wzruszył ramionami. — Ty, sierżant Gwardii? Celem naszego życia jest służba narodowi.

— Nie pieprz. Narodu nie ma. Kto ma głowę na karku, ten spierdala stąd jak się da, a inni włączą się bez sensu i celu. Przez kilka ostatnich lat chyba tylko raz widziałem człowieka, który wiedział, po co żyje. Zamknąłem go za spiskowanie przeciw władzy. Rozwalili go jeszcze tego samego dnia.

— Spiskował, więc mu się należało — powiedział po chwili Min bez przekonania. — Tak by w każdym razie powiedział major Tensar.

— Dlaczego ci faceci z rządu nic nie robią? Pokazują się tylko od czasu do czasu na uroczystościach. Czemu nie dadzą ludziom żadnego sensownego zajęcia. A cholera...

Seth rąbnął pustą szklanką w stolik, rozbryzgnęła się na kawałki.

— Wiesz, że idziemy na akcję? — zapytał po chwili.

— Jaką akcję? — Min udał zdziwienie.

— To znaczy... nic pewnego, ale... mają nas wysłać do podziemi. Żebyśmy rozwalili tych „nieprzystosowanych”. Oczywiście pełne oporządzenie, maski, gaz... Jak będzie trzeba, mamy strzelać.

Znów chwila ciszy.

— Wiesz co, Seth? W Nayrenie zrobiono już wiele złych i głupich rzeczy, ale ta akcja to... Przecież oni nikomu nie przeszkadzają. Zamknęli się w tych podziemiach, chcą tylko uciec. Dlaczego nie zostawić ich w spokoju?

Seth podniósł głowę i spojrział Minowi w oczy.

— Uważaj, Min. Nigdy nie wolno być tak pijanym, by mówić takie rzeczy.

— Nie jestem pijany.

— Tym bardziej uważaj. Ja nie będę ci świnił, ale możesz trafić na takiego, co będzie chciał mieć jedną belkę więcej — a on cię sypnie bez mrugnięcia okiem.



Niedbałym gestem strzelił palcami na barmana, który po chwili postawił przed nimi następne dwa kieliszki.

— Po to jesteśmy, żeby rozwalać łby takim, co się nam nie podobają — dokończył po chwili, upiwszy trochę.

Rozległ się cichy szelest kotary zakrywającej wyjście na zaplecze baru i wyszła stamtąd jaskrawo umalowana dziewczyna w czerwonej sukience, za nią jakiś gwardzista, który „kierował się ku drzwiom. Dziewczyna stanęła przy barze, oparta o szynkwias w charakterystyczny sposób i zaczęła lustrować salę znudzonych wzrokiem.

Min przyglądał jej się przez chwilę.

— Chcesz się pobawić? — zapytał Seth.

Min skinął głową, chociaż właściwie nie miał na to szczególnej ochoty.

— Ale nie mam pieniędzy — dodał po chwili.

— Mogę ci pożyczyć. Zostało mi jeszcze trochę, a sam już zdążyłem się załatwić. Hej, ty — machnął na dziewczynę ręką.

— Ile? — zapytał Min, gdy się zbliżyła.

— Dwieście.

— Sto — powiedział, podnosząc się.

— Dwieście.

Wzruszył ramionami i usiadł.

— Dobra, niech będzie sto.

Min wziął od Setha banknot i wsunął jej w rękę. Troskliwie schowała go do torebki.

Za aksamitną kotarą ciągnął się szary, brudny korytarz. Z nie mytych od lat ścian łuszczyły się płaty farby. Poprowadziła go wąskimi schodkami na górę, do małego, obskurnego pokoiku. Ściągnęła sukienkę i położyła się na materacu. Pod tyłek podłożyła sobie zrolowany koc.

— No?

Była stara, brzydka, twarz miała zniszczoną, pokrytą grubą warstwą zaschłego makijażu. W Nayrenie innych nie było. Kiedyś usiłowano wprowadzić na użytek Gwardii specjalnie skonstruowane, mechaniczne dziewczyny, ale na dłuższą metę okazało się to nieopłacalne. Jedyne chyba wypadki, kiedy człowiek okazywał się tańszy od robota.

Leżała przez cały czas jak kłoc, nie zwracając na niego większej uwagi. Załatwił to szybko. Podniósł się i wyszedł do małej łazienki. Pochylił się nad wanną, przepełnioną obrzydzeniem i niesmakiem. Zupełnie nagle przypomniał mu się ten zakrwawiony trup samobójcy na dziesiątym poziomie i pijany Seth, który czekał na niego na dole, i wypełnione szczurami i cuchnącym błotem korytarze pod miastem.

Pochylił się jeszcze niżej i zwymiotował. W twarz uderzył go odór alkoholu i kwasów żołądkowych.

\* \* \*

Białe litery na murze: MASAYAH A KOVI. „Masayah”. Cudowne, magiczne słowo. Musi tam wrócić, i to natychmiast. Przeplukał usta wodą.

— No jak? — zapytała, gdy wyszedł z łazienki. — Może chcesz jeszcze?

O mało nie zwymiotował ponownie. Zbiegł po schodach, minął Setha, ściągając ze stolika nie dopity kieliszek wódki i wybiegł z baru. Zachwiał się wciągając do płuc świeższe powietrze ulicy. Niebo — sztuczne niebo przywiezione z Ziemi, takie samo na wszystkich poziomach miasta, ciemniało już i pojawiły się na nim pierwsze gwiazdy.

Nie wiedział co, ale coś się z nim stało. Nigdy dotąd nie był tak przygnębiony i nie czuł takiego obrzydzenia jak w tej chwili. Nigdy nie zastanawiał się nad miejscem, w którym spędził całe życie.

Z półotwartego okna na drugim piętrze dochodził pijacki śmiech dziewczyny, rozbrzmiewając w ulicy. Zatknał kciuki za pas i ruszył ku przystankowi linii prowadzącej na najniższy poziom mieszkalny miasta.

Wysiadł z pustego wagonu na przedostatnim przystanku i wszedł między bloki. Drzwi podziemnej hali były uchylone. Zbiegł po metalowych schodkach i odszukał w podłodze wąż do podziemi.

\* \* \*

— Wiedziałem, że przyjdiesz — powiedział Starzec. — Wejdz i usiądź.

Miał więcej niż sześćdziesiąt lat i długą, siwą brodę. Pod czarnym, ubłoconym płaszczem nosił stary, wytarty mundur ze złotym emblematem „Guard” na lewej piersi.

— Nazywają mnie Starcem — powiedział. — Albo Władcą Szczurów. Naprawdę nazywam się George Sandor.

— Jestem Min Taier. Kapral Min Taier, z szóstej brygady Gwardii. — Usiadł na miękkim fotelu, rozglądając się ciekawie po pokoju. — Nie spodziewałem się, że tu mogą być jakieś pomieszczenia mieszkalne. I to tak eleganckie. Sandor uśmiechnął się.

— Ja też nie przypuszczałem, że może tu cokolwiek być, kiedy trzydzieści lat temu zszedłem do podziemi. Myślałem, że zgniję w błocie wyższych korytarzy. Zupełnie przypadkiem trafiłem tutaj. Kiedyś miały tu być poziome mieszkalne. Miały ciągnąć się najgłębiej jak tylko można. Zaczęto je budować, gdy Nayren był u szczytu swej potęgi i zakładano jego dalszy rozwój. Ale zbudowano tylko kilka sektorów i wryto długi tunel w głąb planety. Potem Dyrektoriat kazał przerwać prace i zapomniano o tych korytarzach. Dopiero my je odkryliśmy i znaleźliśmy tu azyl.

— Wielu was tu mieszka?

— Nie. Trzeba było dużej odwagi, żeby zejść na tę drogę. Poszło za mną kilkudziesięciu ludzi, którzy chcieli ze sobą coś zrobić. Z początku musieliśmy walczyć o wszystko i ciężko pracować, żeby przeżyć. Teraz już jest lepiej, urządziliśmy się jakoś. Czasem trafiają do nas tacy, którzy narazili się Dyrektoriatowi i zdążyli uciec twoim kolegom. Jest nas... może ze dwustu, nigdy nie liczyłem.

Umilkł i pochylił lekko głowę. Min ostrożnie wziął ze stołu kubek z musującym płynem i umoczył w nim wargi.

— Nayren gnije — powiedział po dłuższym milczeniu. — Zżerają nas szczury. Wegetujemy jeszcze tylko dzięki automatom regenerującym żywność i powietrze. Wszyscy uciekli... Czy po to ludzie przybyli tu z Ziemi, po to ryli w skałach wykopy pod pierwsze budynki, żeby to wszystko tak się skończyło?

— To choroba dusz, Min. Choroba, którą przywlekliśmy jeszcze z Ziemi i którą zaniesiemy do najdalszych krańców wszechświata. Ci, którzy uciekli z Nayrenu w kosmos, zawlekli ją tam ze sobą i ich dzieci będą uciekać przed tym samym koszmarem, przed którym oni chcieli się schronić. I tak coraz dalej, bez końca...

Sandor podniósł głowę i zmierzył Mina przenikliwym spojrzeniem.

— Jesteś gwardzistą — powiedział. — Wiem, co to znaczy, bo sam nim kiedyś byłem. Wychowano cię w domu opiekuńczym, gdzie od dziecka ładowano ci do głowy różne bzdury. Dlatego możesz tego nie wiedzieć: Nayren mógł być dalej potęgą. Nie zżerałyby go dziś szczury, a my nie siedzielibyśmy w lochach. Gdyby nie to, że kiedyś władzę objęło tu sześciu podłych durniów. Stłumili wszelką wolną myśl, spalili książki, pomordowali przeciwników. Pewnie, nie mogliby tego zrobić, gdyby ludzkich dusz już wtedy nie toczyła choroba. Ale oni zniszczyli wszystko, co mogło Nayren ocalić; wtrącili go w otchłań. Oni i ich synowie, którzy rządzą dziś.

Min otworzył usta i zamknął je nic nie mówiąc. Patrzył w podłogę.

Sandor podniósł się i podszedł do drzwi.

— Chodź za mną — rzucił przez ramię.

— Nie byliśmy tu pierwsi — mówił, gdy szli korytarzem. — Ta planeta była kiedyś zamieszkała. Żyła tu kiedyś wielka, wspaniała cywilizacja. Pobudowała drogi i miasta, podmorskie bazy i statki kosmiczne... Sam to pewnie zresztą zobaczysz. Zginęło po nich prawie wszystko, tylko drążąc wykopy pod miastem znaleziono miejsce, w którym skupione jest wszystko, czym oni byli. Może właśnie dlatego Dyrektoriat kazał zakończyć prace i zabronił wstępu do podziemi?

Szli długo, schodząc z jednego poziomu na drugi, coraz niżej i niżej, aż znaleźli się w ciasnym, wydrążonym w lepkim wilgotnym gruncie chodniku. Strop podierały betonowe stemple.

— Nawet w najbardziej ponurym świecie, kiedy życie staje się nie do zniesienia, zawsze musi być coś, co pozwoli znaleźć w nim choć odrobinę piękna. My znaleźliśmy je tam. — Sandor wskazał głową ciemną przestrzeń za piaszczystym nasypem przegradzającym chodnik. — Kiedy byłeś wczoraj nieprzytomny, kazałem cię tam zanieść. Dlatego wiedziałem, że wrócisz, bo do piękna zawsze się wraca. Ale jeśli teraz nie chcesz, nie musisz tam wchodzić.

— Wejść.

— Czekam tu na ciebie.

Min wspiął się na nasyp. Skierował w głąb pieczary reflektor, ale światło utonęło w mroku, rozpraszając się. Ostrożnie zsunął się na dół.

Stanął na szklistej, gładkiej podłodze, która zadźwięczała melodyjnie pod jego obcasami, gdy zrobił kilka kroków. Omiótł reflektorem pole wokół siebie. Pieczarę zalegała dziwna, chłodna mgła, w której gubiło się światło. Spojrzał w dół: pod przejrzystą taflą kłębiła się ta sama mgła co wokół i nad nim. Czuł się jak zawieszony we wnętrzu kryształu.

Zgaślił reflektor i przyknał oczy, opuszczając ręce wzdłuż ciała. Czekał tylko chwilę: chłodna fala wy płynęła nagle spod ścian i zacisnęła się wokół niego delikatnym uściskiem. Uniosła go w górę, kołysząc lekko, i zasypiając czuł jeszcze, jak jego stopy powoli unoszą się do poziomu głowy.

\* \* \*

Trzy barwy: czerwień, zieleń i żółć. Trzy kolorowe plamy wypełniające przestrzeń. Łączą się ze sobą tworząc kolorowe smugi, mieszają się w setki, tysiące nowych barw, odcieni. Ocean kolorów wirujących wokół z zawrotną prędkością i narastający szum morza. Fala z impetem rozbija się o falochron i umyka zostawiając po sobie opalizującą mgiełkę. Barwy bledną, znikają, z ciemności wyłania się teraz czyjaś wysoka postać — różna od człowieka i zarazem bardzo do niego podobna. Wyciąga drugie białe ręce, jest coraz bliżej. Twarz bez nosa i ust, okolona długimi srebrnymi włosami. Nie mówi nic. Przemyka obok.

Wciąż do przodu, szalony pęd. Kryształowe miasta i rzeki o błękitnej wodzie, tysiące myślących istot. Gęste, puszyste lasy pełne zwierząt, szmaragdowa toń mórz. Niewysłowione piękno tworzone tysiącami lat.

Planeta coraz bardziej oddala się od macierzystej gwiazdy. Coraz ciemniej. Gina zwierzęta, wody pokrywają się lodem. Kryształowe miasta pustoszeją. Od powierzchni planety odrywa się srebrzysta iskierka, druga, dziesiąta, setna, stutysięczna. Miliony iskierek unoszą mieszkańców planety daleko, w przepastne głębie kosmosu. Miliony lat zmieniają kryształowe miasta w pył, w nicość. Tylko lodowa pustynia. MASAYAH A KOVI.

Z pustki jak żarłoczne owady spadają na opuszczony glob stalowe maszyny. Ludzie z Ziemi. Wryli w jego skorupie długie korytarze. Wstrzyknęli weń setki tysięcy metrów sześciennych betonu. Z daleka przywieźli materiały budowlane i maszyny. Nad budynkami postawili

ogromną kopułę. Wybudowali filtry do oczyszczania powietrza i wody, regeneratory pokarmu, wielkie elektrownie i fabryki. Stal, beton, szkło, plastik. Trzydzieści siedem poziomów, czterysta stałych linii komunikacyjnych. Betonowe kaskady szos. Ustabilizowana liczba trzydziestu milionów mieszkańców. Plastik, szkło, beton, stal. Nayren — Nowa Ziemia, ziemia nadziei, ziemia marzeń. Wszystkie nieprawości zostały za nami! Białe wagony mkną z jednego krańca miasta na drugi. Pracują regeneratory. Pracują maszyny — coraz wolniej... pisarz z trzynastego poziomu kończy swą dwudziestą powieść. Na jedenastym facet zdradza żonę. Na dwudziestym ósmym ktoś popełnia samobójstwo. Ktoś znudzony demoluje automaty. Drugi, dziesiąty, dwusetny... Znudzeni młodzi ludzie niszczą powoli miasto, które ich urodziło i wychowało. Palą domy, sklepy, przewracają samochody, niszczą komputery. Porządni obywatele mają tego dosyć: nowy rząd obiecuje rozprawić się z wandalizmem. Powstaje Gwardia. Gwardzista uzbrojony jest w mordercyk i pałkę: stalową pałkę pokrytą białą gumą, o długości osiemdziesięciu centymetrów, albo też jest to obłana gumą stalowa rurka z odrobiną rtęci w środku, dziewięćdziesięciocentymetrowa, ze zgrubieniem na końcu. Pałką bić można od dołu, z boku lub z góry. Można rozbić głowę albo uderzając z góry na skos rozbić łuk brwiowy, wybić oko i zmienić pół twarzy w krwawą miazgę. Można uderzyć w obojczyk i złamać go. Przy pewnej wprawie można uderzyć zgrubieniem pałki w usta bitego, łamiąc mu szczęki i wybijając zęby. Można bić w nasadę nosa, w brzuch, w splot słoneczny albo w jądra. Można też uderzyć od dołu na skos, na odlew, z całej siły w gardło, co jeśli nie zmiążdży krtani powodując śmierć, obezwładni ofiarę na dłuższy czas. Leżącego bije się po plecach, żebrach i po głowie. Krótsza pałka dobrze nadaje się do przesłuchań, bije się wtedy mocno po plecach lub jeśli nie chce się zostawić śladów, po tylnej, górnej części uda. Do przesłuchań jednak lepiej się nadają specjalne aparaty przypalające prądem elektrycznym lub duszące powoli.

Porządni obywatele śpią.

Od powierzchni planety odrywają się srebrzyste iskierki. Niosą ludzi dalej w głąbie kosmosu. Wciąż dalej, aby umknąć przed tym, co niosą ze sobą.

STOP — POZIOM 30 — SEKTOR A — APARTAMENT 3

CZAS — ZERO

Ściany pokoju kipią od złota. Hebanowe meble sprowadzone aż z Ziemi. Kryształowy żyrandol. Na ścianach drogie obrazy w starodawnych oprawach.

— Hahaha!! — śmieje się tubalnie trzeci dyrektor, Marer Bad, trzęsąc tłustym brzuchem. — Dobrze! Dobrze!

Prawą ręką obejmuje w pasie dziewczynę. Nalewa sobie koniaku i wlewa go łapczywie do gardła.

— Dobrze! Tu wszystko jest możliwe, ale tego jeszcze nie było! — plasnął łapą o kolano.

— Co się dziwić. — (Vindor, drugi dyrektor, minister bezpieczeństwa). — Tu wszyscy kradną wszystko. Kazałem go oczywiście rozwalić za „działanie na szkodę miasta”, ale co to da. Najciekawsza rzecz... — Vindor ściera pot z czoła. Z rozpiętego kołnierza koszuli wylewa się jego tłuste, obwisłe podgardle. — Najciekawsza rzecz, że najwięcej kradną najbogatsi.

— Z tego by wynikało — (Cod Baient, piąty dyrektor) — że my jesteśmy największymi złodziejami wszechświata.

— My nie mamy co kraść. Tu wszystko jest nasze. Opatrzność postawiła przed nami dziejową misję doprowadzenia Nayrenu do dawnej potęgi. — Vindor obciera dłonią zatłuszczone wargi. Opada ciężko na miękkie poduchy, pociągając chichoczącą dziewczynę za sobą.

Obraz poszerza się i oddala lekko. Pośrodku sali wielki stół zastawiony gęsto najwyszukańszymi potrawami. Przez umysł Mina przepływa fala wściekłej zazdrości; całe miasto od lat żywi się trzy razy dziennie ohydną, zieloną papką, płynącą z regeneratorów.

Wokół stołu, na miękkich pufach sześciu mężczyzn. Twarze pracownicy wbijane w pamięć obywateli, te same od wielu lat. Spasione władzą, obwisłe, mętne, przepity i znudzony wzrok. Sześć dziewczyn — szczupłe, piękne dziewczyny jak modelki z okładek starych magazynów. Skąd jeszcze wzięły się takie w tym mieście?

Przy drzwiach jeszcze ktoś. Schylony potulnie, nieśmiało, jakby zawstydzony tym, co widzi. Zimne światło lśni na złotych guzikach galowego munduru. To Sen Dai, główny szef Gwardii.

Vindor rzuca mu przypadkowe spojrzenie.

— Pan jeszcze tu?

— Tak, panie ministrze. — Sen wypręży się na baczność. — Jeszcze, jeżeli chodzi o akcję Veenleaz...

— Jaką znowu akcję?

— Postanowiliśmy przeprowadzić akcję przeciwko buntownikom kryjącym się w podziemiach miasta. Uznaliśmy, panie ministrze, że są niebezpieczni dla ludności...

Vindor wzrusza ramionami.

— Więc przeprowadźcie ją. Nic mnie to parszywe miasto nie obchodzi, byle tylko nikt się w nim nie buntował. Możecie iść.

— Tak jest, panie ministrze.

— Mój kochany stryjek, który mi załatwił tę posadę — Vindor obraca się do stołu — zawsze powtarzał: „Sprowadzić życie do poziomu wegetacji. Odebrać ludziom wszystko, niech wszyscy żrą tę samą bezsmakową papkę z regeneratorów, niech pracują, bawią się, chłają na umór i nie myślą. Pijany nie jest niebezpieczny — zanoszący się śmiechem głos oddala się coraz bardziej, rozlewa się w głuche echo. — Dać im więcej alkoholu, więcej narkotyków, niech zapomną o wszystkim! To jedyny, najlepszy sposób — zamienić życie w wegetację. W wegetację...”

Obraz kołysze się, jest coraz bardziej zamglony, w końcu rozplywa się powoli. Zostaje tylko kołysanie morza i cichy szum przelewających się fal. Coraz cichszy. Teraz tylko zapomnieć o wszystkim, choć na moment. Na kilka minut zapomnieć o całym parszywym świecie. Niech odpłynie jak najdalej, niech zniknie.

Pogrążył się w głębokim, kojącym śnie.

\* \* \*

Pełen jeszcze sennej błogości otworzył oczy. Leżał na wznak na chłodnej podłodze. Mgła nad nim kłębiła się nieprzerwanie, rozjarzona płynącą nie wiadomo skąd błękitną poświatą.

Podniósł się szybko. Rozpierała go wściekłość i energia. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni był tak pełen zapału. Pomacał dłonią ciężką kaburę mordercy i zacisnął zęby. Zastanawiał się tylko chwilę. Wspiął się na czerniejący przed nim wał ziemi. Sandor siedział oparty o ścianę, oczy miał zamknięte, usta szeroko otwarte. Spał.

W pierwszej chwili chciał go obudzić i powiadomić o swych zamiarach, ale cofnął rękę. Tłumaczenie mu teraz wszystkiego nie miałooby sensu. Strata czasu.

Machinalnie spojrzął na zegarek: była trzecia nad ranem. Ostrożnie, starając się stąpać jak najciszej, Min przeszedł obok śpiącego i skierował się ku przejściu na wyższe poziomy.

Znalazłszy się na górze, puścił się szalonym pędem ku wyjściu. Zdziwieni ludzie odwracali za nim głowy, ale w tej chwili było dla niego ważne tylko jedno: zdążyć.

Nieco ochłonał dopiero na ulicy. Zwolnił trochę, szedł teraz szybkim, sprężystym krokiem. Ulica była pusta, miasto spało jeszcze apatycznym, pijackim snem. Tylko on jeden szedł ku przystankowi, rozglądając się po ciemnych oknach. „Hej, wy, obudźcie się! — miał ochotę krzyknąć. — Jest jeszcze w tym parszywym świecie coś, o czym nikt dotąd nie wiedział. Sandor miał rację, słyszyście, życie nie musi być takie, to także i wasza wina. Obudźcie się!”

Ale w pogrążonej w półmroku ulicy nikt by do niego nie podszedł, nikt by mu nie odpowiedział. Nawet jeżeli gdzieś jeszcze znajdowała się druga istota trzymająca się na nogach i zdolna jako tako myśleć, to na widok lśniącego kasku i żółtoczarnych naszywek „Guard” schowała się głęboko.

Pusty wagon zatrzymał się, dmuchnąwszy nań falą gorącego powietrza, i otworzył ochoczo drzwi, jakby zapraszał do swego wnętrza. Min wsiadł. Wagon powlókł się dalej, potwornie powoli. Min zacisnął dłonie na poręczy fotela, dopracowując gorączkowo szczegóły swego planu.

Nareszcie wagonik zatrzymał się przy koszarach. Min wyskoczył na trotuar i ruszył ku głównej bramie. Sięgając po przepustkę spojrzął na zegarek — od jego przebudzenia minęło zaledwie pół godziny.

\* \* \*

Zaspany wartownik niedbale skinął mu głową. Przeszedł przez pusty dziedziniec, kierując się ku magazynom. Energicznie otworzył drzwi.

Magazynier spał, rozłożony wygodnie na zestawionych krzesłach. Zgodnie z regulaminem — w dyżurce zawsze ktoś musiał się znajdować.

Obudzony podniósł się ciężko, opuszczając nogi na ziemię.

— Co, już? — spytał. Przeciągnął się i spojrzął na Mina spode łba. Zmarszczył brwi.

— Myślałem, że przyszli mnie zmienić. Czego chcecie, kapralu?

— Jak to? Major Tensar miał was uprzedzić.

— Major? O czym znów?

— Jestem Min Taier.

Magazynier podniósł się i jeszcze raz spojrzął na niego badawczo.

— I co z tego?

— Miałem dziś po trzeciej odebrać od was broń dla oddziału specjalnego na akcję „Veenleaz”.

Magazynier poskrobał się w głowę, sprawdzając na wszelki wypadek jeszcze raz papiery w szufladzie.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

Min z irytacją uderzył pięścią w otwartą dłoń.

— Sartio nic wam nie przekazał?

— Nie.

— To połączcie się z nim szybko. To sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Magazynier wzruszył ramionami i posłusznie usiadł przy aparacie telefonicznym. Niechętnie zaczął wystukiwać odpowiedni numer.

Min usiadł naprzeciw niego, opierając pięści na biodrach. Magazynier rozmawiał przez chwilę, po czym wzruszył ramionami i odłożył słuchawkę.

— Sartio jest pijany i śpi, a żadnego z jego zastępców nie można w ogóle znaleźć. Guzik mnie to obchodzi, nie dostałem żadnego rozkazu.

— Pewnie Sartio o nim zapomniał. Jak rany, doniosę na niego i go zdegradują. Należy się draniowi. Człowieku, ja nie mogę czekać ani minuty.

Magazynier znowu wlepił w niego tępy wzrok.

— Coś taki szybki? Poczekaj z godzinę, nic ci się nie stanie. Bez rozkazu ci przecież broni nie wydam.

— Posłuchaj — zaczął mu perswadować Taier. — Możesz przecież wydać mi sprzęt teraz, nikt się o tym nie dowie. Za dwie godziny dostaniesz normalną drogą rozkaz, schowasz go do szuflady i wszystko będzie w porządku.

— Nie, bez rozkazu nie mogę...

— Kiedy ostatni raz była tu kontrola?  
— Chyba rok temu. — Wzruszył ramionami tamten. — Ale bez roz...  
— A poprzednia?  
— Ho, już nie pamiętam. Ale...  
— To myślisz, że ci zrobią kontrolę akurat w ciągu tych dwóch godzin? Bądźże człowiekiem.  
Magazynier zamyślił się.  
— Nie — powiedział w końcu po dłuższej chwili. — Nie mogę.  
— Trudno, w takim razie — Min sięgnął po telefon — zadzwonię do Tensara. On cię przekona?  
Zaczął nerwowo wystukiwać numer. Pierwszy lepszy, jaki mu przyszedł do głowy.  
— Zaczekaj. — Magazynier nacisnął przycisk rozłączenia. — Po cholere od razu do Tensara? Chcesz mi narobić kłopotu?  
— Nie chcę, ale...  
— Ale robisz!  
— Skoro nie dajesz się przekonać!  
— Poczekaj. Dobra, pamiętasz dobrze, co miało być w tym rozkazie?  
— Oczywiście.  
— I jak chcesz to zabrać?  
— Mam wziąć też i furgonetkę.  
— A jak cię ktoś skontroluje?  
— Kto?  
— Nie wiem, jakiś oficer.  
— Jaki znów oficer? Wszyscy oficerowie śpią. Mam trzydziestu ludzi zebranych w wyznaczonym punkcie i muszę wziąć dla nich broń.  
— No, dobra. — Magazynier podniósł się. — Weź to żelastwo, tylko żeby potem nie było z tego jakichś...  
W piętnaście minut potem zatrzasnął tylne drzwi furgonu załadowanego bronią i amunicją i wsiadł do szoferki. Chciał już ruszyć, kiedy zauważył przy bramie stojącego oficera. Cholera by go nadała, pomyślał. Jeżeli ruszę z miejsca, z pewnością będzie chciał mnie skontrolować.  
Czekał kilka minut, ale oficer nie odchodził. Mogło to trwać parę godzin. W końcu jednak najwyraźniej znudziło mu się sterczenie przy bramie i rozejrzawszy się, ruszył zdecydowanym krokiem ku Minowi. Czyżby go zauważył?  
Taier zacisnął ręce na kierownicy i skulił się w kabinie szoferki, wstrzymując oddech. Oficer przeszedł obok samochodu i wszedł w drzwi kasyna.  
Min odetchnął. Zapalił silnik i wytarł dłonie o spodnie. Kierownica była śliska od potu. Wcisnął gaz nie włączając świateł i minął bramę, nim wartownik zdążył wyjść ze swej budki.

\* \* \*

— Gdzie Sandor? — zapytał gorączkowo, próbując znieść po drabinie ciężką skrzynię, trzymając ją na barku i podpierając jedną ręką. Szło mu to kiepsko, doszedłszy do połowy omal nie spadł.  
— Pomóż, do cholery! — syknął na kilkunastoletniego chłopaka, który nadszedł korytarzem i przyglądał mu się ciekawie. Przynaglony, posłusznie wyciągnął ręce przejmując od Mina część ciężaru.  
— Gdzie Sandor? — powtórzył zdyszany Min, gdy po chwili skrzynia znalazła się na dole.  
— Myślę, że w swoim pokoju — odpowiedział spokojnie chłopak. — Co to jest?  
Min podniósł skrzynię i ruszył z nią przed siebie.  
— Na górze jest jeszcze sześć. Kilku ludzi musi ze mną pójść, sam nie dam sobie rady.

Zacisnął zęby i przystanąwszy na chwilę, podniósł kolanem skrzynię, która zaczęła mu się wysuwać z rąk.

— Słuchaj, ilu tu jest ludzi zdolnych do noszenia broni?

— Broni?

— No, ilu jest mężczyzn?

— Nigdy nie liczyliśmy. Może stu, może więcej.

— Dobrze. Biegnij i zwołaj ich wszystkich. Powiedz, że Sandor ich wzywa.

Chłopak nadal szedł obok niego.

— Słuchaj, nie przejmuj się moim mundurem. To ważna sprawa, ważniejsza, niż możesz sobie wyobrazić.

— Nie przejmuję się. Widziałem cię przedtem, jak rozmawiałeś z Sandorem. Ale nie można tak nagle odrywać ludzi od ich zajęć.

— Do cholery! A cóż oni mają za ważne zajęcia? — zirytował się Min.

— Piszą wiersze, malują. Tworzą piękno — uważasz, że to mało?

— To bardzo dużo, ale jeżeli się nie oderwą od tworzenia piękna, to za parę godzin wszyscy zginiecie. Więc idź i powiedz wszystkim, że są w ogromnym niebezpieczeństwie i że Sandor ich wzywa. Natychmiast.

To już były te drzwi. Walnął w nie kolanem, po czym nacisnął łokciem przycisk zamka i wszedł.

Sandor siedział w fotelu, bokiem do drzwi, i rozmawiał z jakimiś ludźmi. Było ich troje, dwóch mężczyzn i kobieta, siedzieli na szerokim tapczanie. Odwrócili się wszyscy jednocześnie.

Min postawił skrzynię na podłodze i uklęknąwszy obok, wycierał rękami spływający mu na oczy pot.

— Co się stało? — zapytał Sandor.

— Za kilka godzin zacznie się wielka akcja przeciwko wam. Wszystkie oddziały Gwardii będą przeszukiwać podziemia, każdy zakamarek. Musicie się bronić.

Sandor zwiesił głowę.

— Miałem nadzieję, że Dyrektoriat już o nas zapomniał. Nie przypominaliśmy mu przecież o swoim istnieniu.

— Ich nigdy to nie obchodziło. Ale szef Gwardii poczuł się zagrożony w swojej pozycji i zaprzagnął czymś się przysłużyć zwierzchnikom.

— Widziałeś to tam, w grocie?

— Tak. Ale dostałem już rozkaz, by się do tego przygotować.

Sandor popatrzył na niego, potem na swoich rozmówców.

— W końcu to się musiało stać. Dobrze, że nas ostrzegłeś.

Min otworzył skrzynię. W środku równo ułożone spoczywały ciężkie mortyfikatory. Piętnaście.

— Mam tylko trzydzieści, więcej nie mogłem zdobyć. Reszta jest na górze, i amunicja na kilka dni strzelania. Trzeba to tutaj przynieść. Nauczę was, jak się tym posługiwać. Trzeba podzielić się na kilka oddziałów, które zablokują poszczególne wejścia. Resztę broni zdobędziemy na gwardzistach.

Sandor siedział nieruchomo, patrząc na niego lodowatym wzrokiem.

— Obsługa jest bardzo prosta, wystarczy odciągnąć bezpiecznik i nacisnąć spust. Z celowaniem nie będzie kłopotów, w korytarzu można strzelać na oślep. Magazynek ma pięć naboji, każdy wystarcza na trzy do pięciu minut ciągłego ognia. Tu jest pokrętło regulacji siły ognia.

Min przykręcił regulator do minimum i oparłszy lufę karabinu na kolanie, nacisnął spust. Cieniutki, świetlisty promyk przemknął nad głowami siedzących i uderzył w ścianę, wypalając w niej głęboki i szeroki na kilkanaście centymetrów otwór.



— Zasięg praktycznie nieograniczony...

— Schowaj to — powiedział spokojnie Sandor.

— Jak to — schowaj? Więc jak się chcesz bronić?

— Schowaj, powiedziałem. Nie będziemy się bronić.

— Jak to, nie będziecie się bronić? Chcesz oddać tych ludzi na śmierć?!

— Nie. Ale my szukamy piękna i szczęścia, a nie krwi.

Minowi opadły ręce. Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

— To utopia. Nie można żyć snem, na litość boską, Sandor! Oni nie będą mieli dla was litości, musicie walczyć. Trzeba wyjść z podziemi, poruszyć ludzi w mieście. Jak może sześciu durniów narzucać swą wolę milionom ludzi? Jeśli wszyscy otrząsną się z letargu, można będzie znów zmienić Nayren w potężne, kwitnące miasto. Czy to cię nic nie obchodzi?

Sandor odchylił głowę, kładąc ją na oparciu fotela.

— Nic nie rozumiesz — powiedział.

W tym momencie rozsunęły się drzwi, za którymi stali zgromadzeni wzburzeni ludzie. Sandor podniósł się z fotela i podszedł ku nim unosząc rękę do góry.

— Posłuchajcie mnie — przemówił starzec. — Nadszedł ten dzień, o którym wam wiele mówiłem. Musimy rozstać się z tym miejscem i iść dalej. Weźcie tylko to, co niezbędne. Nie mamy czasu nawet, by po raz ostatni wejść do groty. Może po drodze znajdziemy inną. Pośpieszcie się.

Zaczęli się powoli rozchodzić. Bez słowa. Wyszli też ci, którzy przedtem znajdowali się w pokoju Sandora.

— Co chcesz zrobić? — zapytał Min siadając na tapczanie.

Sandor nie odpowiedział. Zbliżył się do ściennej szafki i wyjął z niej stary, gwardyjski plecak spakowany do połowy.

— Kiedy wiele lat temu uciekałem w te podziemia — powiedział wreszcie — nie myślałem, że znajdę tu schronienie. Chciałem tu tylko odpocząć przed dalszą drogą. Wiedziałem, że gdzieś z dolnych korytarzy prowadzi wyjście na zewnątrz i szukałem go. Wiedziałem, że prędzej czy później przyjdą tu po mnie i szukałem, nawet wtedy, gdy już przyszli tu inni i zaczęliśmy nowe życie. I znalazłem to wyjście. Wąski, bardzo długi korytarzyk i podwójne drzwi prowadzące poza kopułę.

Przeszukiwał szuflady, wyciągał z nich różne drobiazgi i wrzucał je do plecaka. Z szafy wyjął jakieś niezręcznie uszyte ubranie z futra. Zaczął zakładać kilka kombinezonów, jeden na drugi.

— Wtedy zresztą znalazłem grootę... Nayrenowi wyrządzono wiele krzywd, ale to, że odcięto ludzi od groty, jest największą. Byłeś tam tylko raz... dwa, ale raz nieprzytomny. Ja bywałem tam prawie co dzień. Poznałem ich cywilizację, poznałem i dzisiejszy Nayren. Widziałem cię wielokrotnie, i wtedy, kiedy pierwszy raz schodziłeś do podziemi.

— To była wielka, piękna cywilizacja. Stworzyli mnóstwo wspaniałych dzieł... Przesiąkłem cały ich filozofią i sposobem myślenia. Oni nie znali walk, krwi i gwałtu... Wiesz, co powiedzieli opuszczając planetę? MASAYAH A KOVI — wrócimy, gdy noc się skończy. Rozumiesz?

— Rozumiem. Pomyślałem sobie teraz, że w sumie to nie jest w porządku. Zwykły, głupi funkcjonariusz, szczytem moich marzeń było zalać się w sztok. Ale zmieniłem się tylko dzięki działaniu groty. Ktoś mnie przerobił nie pytając o pozwolenie.

— Mylisz się. Grota nikogo nie zmienia. Pozwala tylko człowiekowi stać się tym, kim naprawdę jest. Gdybyś naprawdę był łajdakiem, wróciłbyś tu po to, by mordować. Chociaż ja sądzę, że nie ma ludzi z natury złych. Człowiek rodzi się dobry, zła uczy go życie.

Włożył na siebie futrzane odzienie i pelerynę, wrzucił do plecaka kilka puszek i tub z koncentratem.

— Pora iść — powiedział do siebie. Idąc ku drzwiom, niechcący zawadził nogą o skrzynię. Spojrzał smutno na równo ułożoną broń.

— I pamiętaj, Min, że z okładania się po szczękach nigdy jeszcze nic dobrego nie wyszło. W każdej rewolucji giną ci, którzy zginąć nie powinni. I ich krew ciąży na wszystkim, co będzie się robić potem, tak że w końcu wraca to samo, choć często w innej formie. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie.

\* \* \*

Ostre, dalekie gwiazdy powbijane w czerń nieba nie rozświetlały wiecznej nocy na planecie. Mróz przenikał cienkie ubranie Mina, wbijał się tysiącem lodowych igieł w twarz i dłonie, kłuł w płuca.

— Bądź spokojny — mówił Sandor. Ostatni ludzie wychodzili już z szerokiego, obetonowanego wjazdu. — Jakoś sobie damy radę. Szykowaliśmy się do tej wyprawy długo. Pójdziemy na południe, tam jest miejsce, w którym skupiają się resztki promieniowania ciepłego gwiazdy. Zbudujemy tam domy izolowane od mrozu, założymy hodowlę żywności... w tych skrzyniach jest wszystko co potrzebne. Z początku pewnie będzie trudno, ale damy sobie radę. Min milcząc patrzył za odchodzącymi.

— Tacy jak my zawsze muszą uciekać, Min. Nie pójdziesz z nami?

Min w zamyśleniu potrząsnął głową.

— Nie, to nie jest droga. Tam... — wskazał ręką rysującą się na horyzoncie ciemną kopułę Nayrenu. — Tam przecież...

Ostatni z odchodzących niknęli już w dali. Sandor położył mu dłoń na ramieniu.

— Pamiętaj, Min. Wrócimy, gdy noc się skończy.

Odwrócił się i poszedł za swoimi ludźmi. Min patrzył za nim, póki nie zniknął w ciemnościach. Potem wszedł do wjazdu i wrócił podziemnym korytarzem pod miasto. Szedł długo, jego buty zapadały się z mlaskaniem w błotniste szlam, szczury uciekały przed światłem jego reflektora. Gdy doszedł na poziom, gdzie mieszkali ludzie Sandora, było tam jeszcze pusto. Wyjął ze skrzyni mordercę, sprawdził go jeszcze raz. Na rozgałęzieniu korytarza ustawił barykadę z blaszanych pojemników po wodzie. Szkoda, że amunicja została na górze. W ładownicy miał trochę naboju luzem, zaczął je ładować do magazynków. Było mu trochę żal, że nikt, ani Sandor, ani mieszkańcy miasta, nie dowie się o jego śmierci. Potem oparł lufę mordercy o krawędź skrzyni i ułożył się wygodnie, mierząc w wylot zejścia z górnego poziomu. Zgasił światło we wszystkich korytarzach. Pozostało mu już tylko czekać.

luty 1982

## NOTATNIK (V)

Nigdy nie zauważaliśmy, że coś znajduje się pomiędzy sto czterdziestym siódmym a sto czterdziestym ósmym piętrem, mimo iż mieszkaliśmy w wieżowcu od urodzenia, mimo iż zbudowano go ponad sto lat temu. Winda jechała przez obetonowany kanał za długo, o wiele za długo. Zauważył to dopiero mój neurasteniczny brat (cały czas noszę się z myślą, żeby coś o nim napisać, ale moja sztywna forma nie potrafi tego udźwignąć). Kilka miesięcy nie mógł dla siebie znaleźć miejsca, kręcił się nerwowo, spalał w oczach. Mówił coś o nie zbadanym obszarze i dziewczynie, której twarz świeci w ciemnościach. Potem nagle zniknął. Po tygodniu zacząłem się niepokoić, w końcu wyłamałem drzwi do jego pokoju — na środku wybita była dziura, w głąb zwieszała się sznurowa drabinka. Wróciłem do siebie po latarkę i ruszyłem za nim.

## Głosy z oddali

— Panie Kingsay, klient do pana.

— Wpuść. — Kingsay odruchowo poprawił się w fotelu.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich niewysoki, lekko łysiejący mężczyzna około sześćdziesiątki. Ubrany był niechlujnie, co drugi guzik u przepoconej koszuli miał oberwany, spodnie poplamione. Wyglądał, jakby się nie golił ani nie mył głowy od dobrych kilku tygodni.

— Proszę. — Kingsay niechętnie pokazał mu krzesło naprzeciw biurka. Facet nie wyglądał zbyt interesująco. Prawdopodobnie, pomyślał Kingsay, jakiś spór z sąsiadami. Tego typu zlecenia otrzymywał najczęściej — spory z sąsiadami i śledzenie żon różnych zazdrośnych idiotów.

— Nazywam się John Marlin — powiedział klient siadając. — Słyszałem o panu jako o najlepszym prywatnym detektywie w Sydney. Sprawa, którą chcę panu zlecić, jest dla mnie niezmiernie ważna, ale wymagać będzie od pana dużo zachodu. Dlatego chciałbym, żeby na czas jej prowadzenia zrezygnował pan ze wszystkich innych powierzonych panu spraw.

Mówił twardo, tonem człowieka nawykłego do rozkazywania. Jednocześnie sięgnął do kieszeni po portfel i położył przed Kingsayem tysiąc dolarowy banknot.

— Oto zaliczka — powiedział.

Kingsay przyglądał mu się przez chwilę, po czym nachylił się nad biurkiem, naciskając czerwony taster.

— Dziękuję, Betty, możesz już iść do domu. Powieś na drzwiach tabliczkę „Biuro zamknięte”.

— Nie prowadzę w tej chwili żadnej sprawy — powiedział sadowiąc się wygodnie w fotelu. — Słucham pana.

— Szukam syna. — Marlin pochylił się lekko. — Niewykluczone, że znajduje się właśnie w Sydney. Nie mogę jednak sam prowadzić poszukiwań...

— Oczywiście. Rozumiem.

Marlin podał mu fotografię przedstawiającą piętnasto–szesnastoletniego chłopaka o jasnych włosach i pociągłej twarzy.

— Tak wyglądał, gdy miał szesnaście lat.

— Ile ma teraz?

— Akurat tyle samo. Ale proszę się za bardzo nie sugerować wyglądem. Może teraz wyglądać tak, jak na tym zdjęciu, czasem się to zdarza, ale to mało prawdopodobne...

— Pewnych cech wyglądu nie da się zmienić — zauważył machinalnie Kingsay, niezbyt rozumiejąc słowa Marlina. — Kąt twarzowy...

— W tym wypadku tak — przerwał mu Marlin. — Możliwe, że jest teraz nawet Murzynem.

Kingsay odłożył zdjęcie i spojrzał zdziwiony na swego klienta.

— Proszę mi dokładnie opowiedzieć o wszystkim, co wiąże się z tą sprawą.

— To bardzo nietypowa sprawa... Ale zacznę od początku. Mieszkam w Alabamie, tam też urodził mi się jedyny syn, Jim. Żona zginęła w wypadku samochodowym, gdy Jim miał trzy lata. Od tego czasu wychowywałem go sam. Ponieważ jestem człowiekiem bogatym, starałem się zapewnić mu jak najlepsze warunki. Chodził do najlepszych szkół, miał zawsze wszystko, czego chciał. W sumie był dobrym dzieckiem. Wszystko układało się jak najlepiej do momentu, kiedy na początku 1966 roku dostał powołanie do wojska.

— Marlin umilkł na chwilę, przypalając papierosa. — Mogłem go wyreklamować od służby, ale nie chciałem. Uważałem wtedy, że to jego obowiązek. Poza tym byłem dumny, że daję ojczyźnie obrońcę. Jim nie chciał lecieć do Wietnamu, o mało nie przystał do hipisów... Ale przekonałem go. Pięć miesięcy potem otrzymałem zawiadomienie, że Jim zginął w czasie lotu

bojowego, dwudziestego szóstego lipca 1966 roku, niech pan dobrze zapamięta tę datę. Wkrótce potem przysłano jego potwornie zmasakrowane zwłoki.

— I co dalej? — spytał Kingsay po dłuższym milczeniu.

— Pochowałem go obok matki. Przez długi czas byłem załamany. Dopiero w rok po śmierci Jima zetknąłem się z wyznawcami „Światła Życia”. Od nich dowiedziałem się, że mój syn żyje gdzieś nadal, i postanowiłem go odnaleźć.

— Chwileczkę. Nie bardzo rozumiem. Zwłoki, które przysłano z Wietnamu, nie były zwłokami pańskiego syna?

— Nie, to z całą pewnością był Jim. W pańskim rozumieniu tego słowa Jim umarł, ale była to tylko śmierć jego ciała. — Marlin pochylił się w kierunku detektywa. — Od szesnastu lat jestem gorliwym wyznawcą „Światła Życia”. Dzięki temu dowiedziałem się, że człowiek, który ginie młodo, nagłą śmiercią, nie umiera definitywnie. Jego dusza wciela się w następne ciało i żyje nadal, nie pamiętając swego poprzedniego wcielenia; nie traci jednak pamięci zupełnie, przechowuje ją nadal podświadomość. Kiedy taki człowiek znajduje swoje stare otoczenie, zaczyna sobie powoli przypominać poprzednie życie. Jak obudzony z głębokiego snu. Znam kilku ludzi, którzy kiedyś zginęli i po latach zostali odnalezieni przez swych dawnych bliskich. Tego samego dnia, kiedy Jim poległ, narodził się gdzieś na nowo, dokładnie w tej samej godzinie.

— Ach, tak. Zdaje się, że rozumiem, o co panu chodzi.

— Widzę, że nie przekonałem pana. Trudno. Może mnie pan uważać za szaleńca, ale płacę panu i chcę, aby pan go odszukał albo upewnił się, że nie ma go w Sydney. Musi pan sprawdzić wszystkich chłopców urodzonych dwudziestego szóstego lipca 1966 roku. Jeżeli któryś z nich jest Jimem, na pewno zareaguje na to, co jest związane z jego poprzednim życiem. Ale chcę, żeby pan zajął się tą sprawą naprawdę poważnie.

— Panie Marlin. To jest mój zawód. Przyjmuję honorarium, więc zgodnie z etyką tego zawodu zrobię wszystko co w mojej mocy, choć uważam, że niepotrzebnie traci pan czas i pieniądze.

— To moja sprawa.

— Tak właśnie uważam. Dołożę starań, aby zakończyć tę sprawę sukcesem. Ale chciałbym pana o jeszcze jedno zapytać: zakładając, że jest tak, jak pan mówi, czy zdaje pan sobie sprawę, jak małe są szanse znalezienia... tego chłopca?

— Wiem. Szukam już piętnaście lat, po całym świecie. I będę szukał, dopóki starczy mi sił i pieniędzy. Wierzę, że go odnajdę, panie Kingsay.

\* \* \*

To niemożliwe, pomyślał Kingsay porównując po raz nie wiadomo który obie fotografie. To musi być zbieg okoliczności.

Przed nim leżała na biurku odbitka karty z kartoteki imigrantów, w jej prawym górnym rogu przyklejone było zdjęcie kilkunastoletniego jasnowłosego chłopca o pociągłej twarzy. Obok położył fotografię otrzymaną od Marlina. Im dłużej je porównywał, tym bardziej był przekonany, że przedstawiają tę samą osobę. Odsunął zdjęcia od siebie i wyprostował się zapalając papierosa. Osiem dni, które minęły od czasu przyjęcia dziwnego zlecenia, Kingsay spędził pracowicie. Mimo iż ani odrobinę nie wierzył w sens tej roboty, przekopał wszystkie dostępne i niedostępne spisy ewidencyjne mieszkańców miasta. Odnalazł pięćdziesięciu dwóch obywateli płci męskiej, urodzonych dwudziestego szóstego lipca 1966 roku. Ten, którego zdjęcie było niemal identyczne ze zdjęciem Jima Marlina, nazywał się Philip Saitescu i przybył do Sydney przed trzema laty, wraz z rodziną emigrantów z Europy.

Kingsay podszedł do telefonu. Wystukał kierunkowy do Stanów Zjednoczonych, poczekał na sygnał i zaczął wybierać numer Marlina. Po trzech pierwszych cyfrach odłożył jednak

słuchawkę. Nie. Jeszcze nie. W głębi ducha nadal był przekonany, że to tylko przypadek. Musiał się najpierw upewnić. Znowu podszedł do biurka, pociągnął tęgi łyk zimnej już kawy i zaczął dokładnie studiować historię rodziców Philipa. Potem połączył się telefonicznie z agencją detektywistyczną w Londynie (ostatnie miejsce ich zamieszkania) i zażądał przysłania w tempie ekspresowym wszystkich dostępnych wiadomości o Bobie i Helenie Saitescu.

Gong u drzwi wejściowych zadzwieczał trzykrotnie. Chwila ciszy — i znowu. Ding, ding — dong. Helena Saitescu wyszła z kuchni, obcierając w pośpiechu ręce o skraj fartucha. Otworzyła. Na schodkach przed domem stał szpakowaty mężczyzna około pięćdziesiątki, opierający się na kuli. Ubrany był w nieco podniszczone spodnie i kurtkę koloru khaki. Przy jego prawej nodze stała walizka.

— Dzień dobry — powiedział. — Czy tu mieszkają państwo Saitescu?

— Tak. Słucham pana.

— Nazywam się George Rosthern. Czy zastałem pana Saitescu?

— Tak... proszę, niech pan wejdzie. Bob, ktoś do ciebie! — krzyknęła.

— O ile się nie mylę, mam przyjemność rozmawiać z panią Heleną?

— Tak, ale... Skąd pan nas zna?

— Słyszałem wiele dobrego o pani i o pani mężu...

Na drewnianych schodkach wiodących na górę pojawił się otyły mężczyzna w rozpiętej koszuli z podwiniętymi rękawami. Jego łysinę pokrywały krople potu. Spojrzał badawczo na gościa, potem na żonę.

— Ten pan... do ciebie.

— Słucham pana.

— Dzień dobry. Nazywam się George Rosthern. Dostałem pański adres od brata, prosił, aby pana odwiedzić.

Przez chwilę trwało milczenie. Kingsay przeraził się na moment, że agencja z Londynu podała mu jakieś złe informacje, i wtedy nagle Bob uniósł ze zdziwienia brwi.

— Rosthern? Pan jest bratem sierżanta Chicka Rostherna?

— Porucznika Rostherna. Tak, Chick dużo o panu opowiadał, prosił, żeby koniecznie pana odwiedzić, jeśli będę w Sydney.

— Proszę, proszę bardzo. — Saitescu pomógł Kingsayowi zdjąć kurtkę i delikatnie ujmując go za ramię, poprowadził do salonu. — Heleno, przyszykuj coś do jedzenia, pan pewnie jest głodny. I daj koniak. Albo zaraz, sam wezmę, niech pan spocznie.

Kingsay rozejrzał się po salonie. Nie był urządzony zbyt bogato, ot tak — przeciętnie. Gustownie, ale bez przepychu. Proste, funkcjonalne meble, świeże kwiaty w wazonach.

Gospodarz wrócił po chwili, niosąc butelkę koniaku i kieliszki.

— No tak, jak mogłem nie poznać. Jest pan bardzo podobny do Chicka. Boże, ile lat ja go już nie widziałem... Chyba ze dwadzieścia... co tam u niego słyhać?

— Niestety, Chick już nie żyje. — Kingsay opuścił głowę. — Umarł pół roku temu. Rak.

— Umarł... — Saitescu zamyślił się. — Mój Boże, wykuszamy się powoli.

— Mówił o panu dużo przed śmiercią... kazał mi przyrzec, że pana odwiedzę. Sam szukał, dowiedział się tylko, że mieszka pan teraz w Sydney, nawet odnalazł adres, ale nie zdążył już pana odwiedzić.

W tym momencie trzasnęły drzwi wejściowe.

— Cześć, kiedy obiad? Mogę iść jeszcze pograć w koszykówkę?

Kingsay odwrócił się nieznacznie. W przedpokoju stał jasnowłosy chłopiec.

— Philip! — krzyknął Saitescu. — Chodź tu!

— Tak, tato. Zaraz!

— To mój syn, Philip — powiedział do Kingsaya. — Philip, pamiętasz, jak opowiadałem ci o sierżancie Rosthernie, który wyniósł mnie w Normandii spod kul? To jest jego brat, George.

— Cześć — powiedział Philip podając Kingsayowi rękę. Spojrzał na niego i na moment znieruchomiał, przypatrując się prostokątnej blaszce wiszącej na piersi detektywa.

— Widziałeś to gdzieś? — zapytał Kingsay.

— Nie... — chłopiec powoli podniósł wzrok — to znaczy zdawało mi się, ale nie, nie przypominam sobie.

— A co to właściwie jest? — zainteresował się stary Saitescu.

— Nic szczególnego. Pamiątka.

Kingsay umoczył wargi w koniaku. Był to wojskowy znaczek identyfikacyjny, taki, jakie nosili Amerykanie w Wietnamie. Tak, to z pewnością Jim Marlin.

\* \* \*

— To już tu, Philip.

— Niech pan powie — rzekł chłopak, gdy stanęli przed furtką Willi Edwardsa — kim pan właściwie jest? Bo staremu to pan wcisnął jakiś kit?

— Tak. Wcisnąłem kit. — Kingsay zadzwonił. — Całe życie spędziłem w Sydney, ale przed twoim starym musiałem trochę poudawać. Szukałem ciebie.

— No, to już wiem, ale po co? — Furtka otworzyła się.

— To trudna sprawa, Philip. Wytlumaczę później, dobra?

— Niech będzie. Ale pan tajemniczy.

— Cześć. Wchodźcie, wszystko gotowe — przywitał ich Edwards.

Weszli do pokoju. Kingsay pokazał Philipowi uniesiony w górę kciuk. Ten odpowiedział tym samym. Cała ta zabawa najwyraźniej zaciekała chłopca.

Detektyw odszedł na bok i zapalił papierosa. Teraz cała robota należała do Edwardsa.

— Zgaś to — syknął Edwards wyłączając światło. — Albo wyjdź z pokoju, i tak nie jesteś potrzebny.

Kingsay stanął w przedpokoju, słuchając monotonnego głosu Edwardsa: „stajesz się ciężki, bardzo ciężki... nie masz siły się poruszać... powieki ci opadają... jesteś senny, bardzo senny...”

Po kilku minutach Edwards wychylił się z pokoju i skinął na Kingsaya.

Philip leżał nieruchomo na tapczanie. Oczy miał otwarte. Oddychał równo.

Edwards włączył magnetofon ustawiony na zapis, i drugi, z którego popłynął warkot helikopterowego silnika i dalekie odgłosy strzałów.

— Jimie Marlin — powiedział Edwards — czy znasz ten przedmiot? — Wsunął mu w dłoń wojskowy nieśmiertelnik. Philip przysunął go do oczu sztywnym, mechanicznym ruchem.

— To blacha — powiedział. — Nosiliśmy takie.

— Czy to twoja blacha?

— Nie, inny numer.

Z magnetofonu rozległa się głośna, długa seria cekaemu.

— Jim — Edwards pochylił się nad Philipem. — Jest teraz dwudziesty szósty lipca.

Dwudziesty szósty lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Masz na głowie hełm. Jest bardzo gorąco, spod hełmu płyną ci strużki potu. Cały mundur masz przepocony. Stoisz na lotnisku. Pamiętasz?

Cisza.

— Pamiętasz, Jim. Co teraz robisz?

— Wsiadamy do helikoptera... rozkaz: natychmiast startować. Karl coś pokazuje ręką...

Przez kilka minut Philip opisywał teren, nad którym leciał. Potem, gdy znalazł się nad dżunglą, umilkł. Kingsay w napięciu przyglądał się wirującym szpulom magnetofonu.

— Są! — krzyknął nagle Jim. — Widzę ich!

— Kogo?

— Wietnamców... całe mrowie...  
— Mów, co robisz.  
— Repetuję karabin... Dug, taśma, odsuń się! Strzelam! Uciekają, przewracają się, Dug, następna! — Philip mówił coraz szybciej, urywanym głosem. Na czole zalśniły mu krople potu, ręce miał zaciśnięte w pięści. Kingsay zagryzł wargi.  
— John, zniż, prawy trawers... uważaj, oni... Boże! Nie!!  
— Co się stało?! Co się teraz stało?!  
— Wirnik, trafili czymś! Urwana łopata! O Boże! Nie, jak boli! Boże...  
Ciało Philipa przeszył nagły wstrząs, wyprężył się i opadł bezwładnie. Po twarzy spływały mu wielkie krople potu. Oddychał ciężko.  
— Okay, Jim. W porządku, już w porządku. Jesteś spokojny. Licz teraz do dwudziestu. Kiedy powiesz „dwadzieścia”, obudzisz się spokojny i wypoczęty. Licz.  
— Raz... dwa...  
Edwards wyłączył oba magnetofony. Podniósł się i odsłonił okna.  
— W porządku, dziękuję — powiedział Kingsay, dając mu dwadzieścia dolarów.  
— Polecam się na przyszłość.  
— Za parę dni przyleci tu ten nadziany jankes, powtórzysz to przy nim.  
— ...dwanaście...  
— A kiedy on się tu zjawi?  
— Może już jutro. Niesamowite... wszystko się zgadza...  
— ...dziewiętnaście... dwadzieścia.  
Philip otworzył oczy.

\* \* \*

Kingsay wracał od Edwardsa spokojnym, pewnym siebie krokiem, trzymając ręce w kieszeniach. Szedł zamyślony najkrótszą drogą do domu. Wiodła przez plac, na którym regularnie co wtorek odbywały się targi starzyzną. Przepychał się przez tłum, wpatrzony w ziemię, zajęty swoimi myślami. Od czasu do czasu przystawał i rozglądał się, czy dobrze idzie.

W pewnej chwili zatrzymał się przy jakimś staruszku sprzedającym różne stare odznaki, głównie wojskowe — brytyjskie, amerykańskie, kanadyjskie, francuskie. Stało przy nim kilka osób. Kingsay nie wiedząc sam, dlaczego to robi, również zbliżył się do kramiku. Jego uwagę przyciągnął kilkucentymetrowej wielkości emblemat, spatynowany i sfatygowany. Ostrożnie wziął go do ręki.

— Co to jest? — zapytał czując falę gorąca ogarniającą piersi. Za wszelką cenę usiłował sobie przypomnieć, skąd zna ten kształt.

— Wie pan... sam nie wiem. Ktoś sprzedał mi to jako pamiątkę z drugiej wojny światowej. Mówił, co to za znak, ale zapomniałem.

Kingsay nadal oglądał trzymany w ręku emblemat. Wyglądał, jakby był wykonany ręcznie. Dziwny kształt, jakby litera „P” połączona u dołu z kotwicą.

Nie mógł sobie przypomnieć. Chciał już odłożyć kotwiczkę i odejść. Nagle przyszło mu na myśl...

Nie, powiedział do siebie, za dużo o tym myślałeś. Autosugestia. Przypomniał mu się Philip wpatrzony w blaszkę identyfikacyjną na jego szyi. Nie, idiotyzm.

— Co pan mówi? — zapytał handlarz.

— Ile pan za to chce?

— Czterdzieści centów.

Kingsay położył przed nim półdolarówkę i szybkim krokiem ruszył przed siebie. W mózg wwiercała mu się natrętna myśl: urodził się drugiego sierpnia 1944 roku. W czasie drugiej wojny światowej. Tu, w Australii, daleko od frontu.

W domu zaczął nerwowo grzebać w encyklopediach i słownikach. Gdzieś na półce odnalazł zakurzone opracowanie historii drugiej wojny światowej...

Było już ciemno, kiedy oderwał wzrok od książek. Pozbierał je i odłożył na półkę.

Potem przypomniało mu się, co miał zrobić. Sięgnął po telefon. Po dwóch minutach miał połączenie z Alabamą.

— Słucham, Marlin — odezwał się głos w słuchawce.

— Mówi detektyw Kingsay, z Sydney. Zrobiłem w pańskiej sprawie wszystko co możliwe. Niestety, nie znalazłem poszukiwanej przez pana osoby. Trzysta dolarów odliczam na pokrycie kosztów, resztę odeślę panu pocztą.

— Tak. Rozumiem — odrzekł po chwili Marlin.

— Jeżeli mogę... Oczywiście wiem, że nie jestem uprawniony do udzielania panu wskazówek, ale chciałbym panu coś doradzić.

— Słucham.

— Niech pan zaprzestanie poszukiwań. Myślałem nad tym długo. Nawet jeżeli by go pan w końcu znalazł, to nie ma sensu.

Trzask. Marlin odłożył słuchawkę.

Kingsay stał przez chwilę przy aparacie. Spozrzegł, że w zaciśniętej, spoconej pięści trzyma kotwiczkę. Otworzył dłoń i podniósł ją do oczu. Potem podszedł do gazowego kominka i wrzucił kawałek zaśnieżonego metalu w płomienie.

14 sierpnia 1982

## Labirynt

Piątek, 6.00–6.30

Ghart zawsze budził się zapuchnięty i niewyspany. Wyciągał rękę i wyłączał budzik, potem wstawał leniwie z materaca, szedł do kuchni. Stawiał na palniku stary czajnik bez pokrywki i palił na czczo papierosa przyglądając się tłustym zaciekom na ścianie. Ten pierwszy papieros miał zawsze jakiś inny smak niż następne. Potem Ghart wrzucał niedopałek do zlewu i szedł do łazienki. Tak było każdego ranka i ten dzień z początku niczym się nie różnił od poprzednich. Ghart wyszedł z łazienki, zjadł śniadaniową porcję koncentratów i popił kawą pigułkę pobudzającą. Z następnym papierosem w ustach poszedł ubrać się do pokoju.

Elen jeszcze spała, z twarzą wciśniętą w poduszkę. To lepiej. Rano zawsze miała twarz zniszczoną i zmęczoną. Nie uczesana, bez makijażu, nie wyglądała tak zachęcająco jak wieczorem. Pochylił się. W sumie Elen nie była zbyt piękna, a zrobiłby wszystko, żeby ją przy sobie zatrzymać.

Poznał ją w jakimś barze, siedziała czekając, aż ktoś ją poderwie. Jak wiele dziewczyn. Zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia poderwie ją kto inny, mimo że go kochała. Elen bardzo chciała mieć dziecko. Dziecko można mieć tylko z mężczyzną, który uzyskał pozwolenie na zawarcie małżeństwa, a Ghart takiego zezwolenia nie posiadał i nie miał widoków na jego otrzymanie.

Dzwonek. Podszedł do videofonu, wcisnął taster. Na ekranie ukazał się Oridhi.

— Cześć. Wreszcie jest coś dla ciebie, porządna sprawa. Czekam na ciebie na rogu 44 i 392 Alei. Duża biała willa.

— W tej luksusowej dzielnicy?

— Tak. Trafisz łatwo, pod domem stoi kupa radiowozów.

— Dziękuję, stary. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

— Dobra, pośpiesz się, bo cię ktoś uprzedzi.



Ekran zgasł. Ghart zaczął się w pośpiechu dopinać. Gdy wychodził, usłyszał za sobą głos Elen. Wrócił się nerwowo do pokoju.

— Co się stało?

— Nie pożegnasz się ze mną?

Ukląkł przy materacu. Założyła mu ręce na szyję i pocałowała go mocno.

— Do widzenia — powiedziała spuszczać oczy i natychmiast znowu odwróciła się twarzą do poduszki. Nigdy dotąd nie całowała go, gdy szedł do pracy.

Piątek, 6.55–7.34

— Cholera — powiedział Ghart z niesmakiem, przyglądając się zmasakrowanym zwłokom. — To musiał być jakiś psychopata. Wystarczy — dodał po chwili.

Umundurowany policjant pochylił się nad plastikowym workiem ze zwłokami i zasunął zamek błyskawiczny.

— Nie wyobrażam sobie człowieka, który mógłby coś takiego zrobić — stwierdził sierżant Gotschky.

— Bezpośrednią przyczynę śmierci trudno na razie ustalić. Kręgosłup złamany w wielu miejscach, czaszka zmiażdżona, zebra i kości kończyn pogruchotane, w wielu miejscach przebiły mięśnie i skórę, być może również jakieś narządy wewnętrzne, to wykaże sekcja — wyrecytował Oridhi monotonnym głosem. — Zbrodni, sądząc z pobieżnych oględzin, dokonano przez wielokrotne silne uderzenie ciężkim, tępym przedmiotem. Na mój gust wygląda to, jakby ktoś faceta najpierw zabił, a potem usiłował wklepać w podłogę.

Ghart podrapał się nerwowo po policzku. Zawsze gdy widział Oridhiego przy pracy, myślał sobie, że to właśnie on powinien być oficerem, a Ghart co najwyżej jego pomocnikiem. Ten facet połowę z czterdziestu lat swego życia przepracował w policji i znał swój fach o wiele lepiej niż większość oficerów. Ale cóż, zabrakło mu siły przebicia.

— Coś o nim wiadomo?

Oridhi przerzucił parę kartek w notesie.

— O ile to jest właściciel mieszkania — tak. Identyfikację trzeba będzie przeprowadzić przez sprawdzenie kodu genetycznego. Nazywa, to znaczy nazywał się Carlos Rast i był profesorem Centralnej Akademii Fizyki Stosowanej. Pracował w instytucie temporalistyki, był jego najlepiej opłacanym pracownikiem.

— Morderstwo na tle rabunkowym? Zaskoczył złodzieja i wtedy ten go...

— Nie sądzę. Sejf na dole pełen jest pieniędzy i biżuterii, nie nosi najmniejszych śladów, jakie musiałyby zostać po próbach jego otworzenia. Zresztą klucze od sejfu leżą spokojnie na biurku, w tamtym pokoju. Szuflady biurka są wyjęte, wszystko wyrzucone na podłogę, ktoś tam czegoś szukał, najwyraźniej w pośpiechu. Na razie brak tylko jego prywatnej karty kredytowej oraz robota.

— Co to za robot?

— Jeden z dziesięciu prototypowych egzemplarzy serii R. W hallu na dole leży rozbity robot naprawczy serwisu L.N.T. Rast wzywał go wczoraj około południa. Ponieważ robot zniknął, przysłali drugiego. Zawiadomili nas dziś o piątej nad ranem.

— Dopiero?

— Robot wrócił do bazy wieczorem, meldując o zniszczeniu jednego z pracowników firmy. Dłuższy czas usiłowali się połączyć z Rastem, a ponieważ nie odpowiadał, przysłali tu swojego człowieka.

— Gdzie on jest?

— Zabrali go, dostał szoku. Gdyby nie ten zniszczony robot, nie dowiedzielibyśmy się o morderstwie wcześniej niż za tydzień. Rast w zasadzie nie utrzymywał kontaktów towarzyskich i akurat miał jeszcze przed sobą osiem dni urlopu.

— Jakby chciał, żebyśmy szybciej się o wszystkim dowiedzieli — mruknął Ghart pod nosem. Odwrócił się. Dwóch ludzi w cywilu rozstawiało statywy kamery i emitery podczerwieni.

— Przepraszam bardzo, panie poruczniku. — Skinął głową. Odeszli kilka metrów. Ghart oparł się o boazerię. Wyczuł coś pod palcami, jakby osad. Odwrócił głowę. Cała ściana poznaczona była bryzgami zeschniętej krwi. Bezwiednie potarł boazerię palcami. Spod opuszków posypał się brunatny pył. Krew Rasta, czy kim tam jest ten trup. Cofnął dłoń, wycierając palce o spodnie.

— Video na dole, major Starks — powiedział jeden z konstabli wchodząc po drewnianych schodkach.

Ghart popatrzył ze zdziwieniem na Oridhiego. — Patrz... — Odwrócił się. Schodząc na dół podziękował jeszcze Oridhiemu gestem dłoni. Ten odpowiedział mu uśmiechem.

Kabina znajdowała się w hallu, odgradzona eleganckim przepierzeniem.

— Porucznik Ghart.

Starks na ekranie był niewyspany, nie ogolony i wściekły.

— Aha — mruknął pod nosem, wydymając dolną wargę. — Nie ma tam nikogo ze starszych oficerów?

— Nie. Zgodnie z regulaminem...

— Tak, tak. Znam regulamin. Meldujcie.

Ghart uśmiechnął się lekko, raczej tylko skrzywił wargi.

— Na razie jeszcze zwłoki nie zostały zidentyfikowane, ale wszystko wskazuje, że jest to właściciel willi, Carlos Rast. Zwłoki zmasakrowane, mord dokonano w sposób niezwykle okrutny. Zabezpieczamy właśnie ślady. Sejf jest nie naruszony, pieniądze i wartościowe przedmioty nie tknięte. Zginęła tylko karta kredytowa Rasta, poza tym wszystkie jego papiery są w nieładzie, ktoś tam czegoś szukał. To na razie wszystko, pracujemy dalej.

Starks skinął głową.

— W porządku. Przyślę tam kilku oficerów.

— Nie sądzę, panie majorze, żeby było to potrzebne — powiedział Ghart z naciskiem. — Zgodnie z regulaminem...

Zgodnie z regulaminem oficer, który pierwszy zjawiał się na miejscu przestępstwa, prowadził śledztwo. O tym, kto znajdzie się tam pierwszy, decydował zazwyczaj Starks lub któryś z jego zastępców. W tym wypadku Oridhi popełnił wykroczenie. Sam wezwał Ghana. Starks od dawna nie pozwalał Ghartowi objąć żadnej sprawy, ani nawet być asystującym.

— Powiedziałem już, że znam regulamin, i panu też radzę go poznać, poruczniku. Zwłaszcza punkt 67. To nie jest zwykła sprawa. Carlos Rast był, to jest... Carlos Rast to ważna osobistość. Śledztwo dotyczące go bezpośrednio nie może być prowadzone przez jedną osobę, lecz jako sprawa najwyższej wagi, przez specjalny zespół. Naturalnie, pan też w nim zasiądzie jako ten, który był pierwszy na miejscu przestępstwa — zakończył Starks. — Proszę natychmiast zameldować mi, kiedy zidentyfikujecie zwłoki.

Ekran zgasł. Ghart popatrzył chwilę na ciemnoniebieski prostokąt, mnąc w zębach przekleństwo. Odwrócił się energicznie i wyszedł zza przepierzeń. Cholera.

Zapalił papierosa i rozejrzał się po mieszkaniu. Było urządzone bogato i ze smakiem. Na wprost głównych drzwi znajdowało się wejście do salonu. Ghart obrzucił go wzrokiem. Ten Rast musiał być faktycznie nie byle kim, pomyślał. Kręcone schodki prowadziły na górę, a po drugiej stronie hallu w dół. Ghart dotknął kontaktu. Na dole znajdowały się metalowe drzwi. Otworzył je. Garaż. Na wprost drzwi do garażu były jeszcze jedne, których wcześniej nie zauważył, obite dźwiękochłonną wykładziną. Skrzyphiały w zawiasach.

Z obszernej sali wionął chłód. Cementowa podłoga pokryta była rudym plastikiem. Kilka drewnianych czy zrobionych z czegoś podobnego do drewna machin o dziwnych kształtach, kolekcja stalowych kleszczy zawieszonych na ścianie, dyby, „żelazna dziewica”, w kącie

metalowe krzesło ze skórzanymi paskami służącymi do przypinania ofiary. Kilka kabli zakończonych miedzianymi klamerkami i transformator wysokich napięć. Na podłodze gęsto rysowały się ciemniejsze plamy krwi.

Zamknął za sobą drzwi sali tortur i wrócił na górę. Przy drzwiach garażu leżał jakiś papier, spojrzął przelotnie: fragment reklamy „Rak to pewność i satysfakcja” — jakiś folder rzucony niedbale grzbietem do góry.

— Zidentyfikowali go — powiedział Oridhi. — To Rast.

Ghart podrapał się po głowie.

— Zamelduj o tym Starksowi — powiedział.

Przed domem zatrzymał się policyjny samochód.

Piątek, 10.00–11.55

— Wystarczy logicznie pomyśleć, panowie — Starks, mówiąc, bez przerwy drapał się po twarzy. — Jeden z pierwszych obywateli naszego państwa, członek Wielkiej Rady Naukowej, zostaje zamordowany. Morderca nawet nie dotyka zgromadzonych w domu pieniędzy ani kosztowności, interesują go tylko znajdujące się tam dokumenty. Wszystko wskazuje na to, że przestępstwo było długo przygotowywane. Morderca wybrał moment dający gwarancję, że zbrodnia przez dłuższy czas nie zostanie zauważona. Znał sposób przeniknięcia przez system alarmowy domu — co wskazywałoby na kogoś z jego przyjaciół. Krótko mówiąc uważam, iż jest to morderstwo na tle politycznym.

Sześciu ludzi siedzących wokół stołu milczało.

— Sprawdziłem dane o wszystkich, którzy znali osobiście Rasta — powiedział nadinspektor Vasd, zastępca Starksa. — Dwóch spośród nich opuściło wczoraj miasto. Myślę, że najciekawszy jest dla nas doktor Holden. Pojechał do Lacji. Niby to na kongres naukowy.

Starks znowu podrapał się po zaroście, aż Gharta przeszły ciarki.

— To może oznaczać, że był ich człowiekiem i że już stamtąd nie wróci... Trzeba sprawdzić wszystko, co wiąże się z jego osobą. Bądź co bądź mamy długie ręce.

— Kilka rzeczy nie pasuje mi do tej hipotezy, majorze — odezwał się Ghart. — Załóżmy, że przestępca chciał zabić Rasta i zabrać jakieś tajne dokumenty. Dlaczego w takim razie przez kilka minut dokładnie, metodycznie masakrował zwłoki? To wygląda na zbrodnię w afekcie albo od dawna przygotowywaną zemstę kogoś, kto Rasta potwornie nienawidził. Dalej: zniknął luksusowy robot będący własnością Rasta, sygnałny egzemplarz nowej serii koncernu L.N.T. Zginęła też jego prywatna karta kredytowa. Wreszcie, po co ktoś wzywał roboty z serwisu technicznego? Jeżeli zrobił to przestępca, a wszystko na to wskazuje, to niszcząc je doprowadził do wcześniejszego wykrycia przestępstwa.

— Być może sam Rast wezwał je wcześniej, zaskoczyły przestępcę i dlatego je zniszczył — odezwał się któryś z członków zespołu.

— Nie musiał, nie były dla niego groźne. Zresztą videofon w willi Rasta jest w pełni sprawny, a osoba składająca zamówienie nie użyła wizji. — Ghart odsunął się od stołu i rozparł wygodnie w fotelu.

Starks zamyślił się.

— Jasność w tej sprawie będziemy mieli po sekcji, jeżeli uda się dokładnie ustalić czas śmierci Rasta.

— Kazałem anulować kartę kredytową z poleceniem zatrzymania każdego, kto próbowałby się nią posłużyć.

— Słusznie — przytaknął Starks. — Głównym podejrzanym jest jednak Holden, uważam, że śledztwo powinno iść w tym kierunku. — Spojrzął na zegarek. — Chwila przerwy, panowie. Nie opuszczajcie budynku i bądźcie w pogotowiu. Pan, poruczniku, zajmie się wyjaśnieniem sprawy tego robota.

Ghart skinął głową. Podniósł się i ciężko podszedł do videofonu. Połączył się z Oridhim.

— Cześć. Mam prośbę.

— Tak.

— Potrzebuję informacji o tym robocie Rasta. Dowiedz się, co to było... Mógłbyś?

— Czemu nie. Zadzwoń do mojego pokoju za piętnaście minut.

— Dobra. O, wiesz co, spróbuj dorwać kogoś z jego konstruktorów. Umów go ze mną.

— W porządku. Na razie.

Ghart przetarł oczy, spojrzął na zegarek — 10.24. Wykręcił swój numer. Czekał chwilę, ale ekran pozostał ciemny, a z głośnika płynął monotony sygnał. Spróbował jeszcze raz — na nic. O tej porze Elen zazwyczaj była w domu. Postanowił coś przegryźć. Zjechał na dół, do bufetu.

Gdy wychodził z windy, podeszło do niego dwóch wojskowych w mundurach.

— Porucznik Ghart? Proszę z nami.

Wsiedli do czarnej limuzyny i ruszyli najszybszym pasmem.

— Mogę wiedzieć, dokąd jedziemy? — spytał Ghart po dłuższym czasie.

— Nie — odparł jeden z oficerów. Było to jedyne słowo, jakie padło z ich strony podczas kilkunastominutowej jazdy.

Zatrzymali się przed ogromnym wieżowcem, którego widok zawsze wywoływał u Ghana nieprzyjemne uczucie. Skierowali się do bocznego wejścia. Ghart starał się liczyć pietra, zgubił się około trzydziestego. Oficerowie doprowadzili go do czarnych drzwi i delikatnie wepchnęli do środka.

— Proszę, poruczniku. Niech pan usiądzie. — Za ogromnym biurkiem siedział suchy, szpakowaty mężczyzna w mundurze. Był to generał Aaron P. Mosby, jeden z najbardziej wpływowych ludzi w państwie.

— Mam do pana zaufanie — mówił generał — ale na wszelki wypadek wolałbym uprzedzić pana, że nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy.

— Oczywiście. Czy mogę zapalić?

— Proszę. Moje zadanie dla pana nie jest oficjalnym rozkazem, bo takich nie mam prawa panu wydawać. Niewykluczone, że nawet okaże się sprzeczne z rozkazami pańskich przełożonych. Proszę jednak to, co powiem, potraktować jako... prośbę o pewną drobną, przyjacielską przysługę. Chyba nie wątpi pan, że warto sobie zaskarbić moją przyjaźń?

Zawiesił głos, ponieważ jednak Ghart milczał, generał uśmiechnął się i mówił dalej. — Lubię takich ludzi jak pan. Kiedyś sam taki byłem... — pochylił się. — Chodzi o sprawę zabójstwa Carlosa Rasta. Major Starks, który, jak wiem, niezbyt pana lubi, za to sam jest jednym z ulubieńców ministra bezpieczeństwa, upiera się, że było to morderstwo polityczne. Starks to uparty facet i gotów to udowodnić. Tymczasem nam zależy na udowodnieniu, że śmierć Rasta absolutnie nie miała nic wspólnego z polityką. Po prostu zwykła sprawa kryminalna... dobrze by było zrobić z tego jakiś wielki skandal, to by chwyciło. Rozumie pan, poruczniku? To jest właśnie... ta moja prośba do pana.

— A jeżeli okaże się, że to naprawdę było morderstwo polityczne?

— Tak pan uważa?

— Nie wiem, staram się brać pod uwagę wszystkie możliwości.

Mosby uśmiechnął się lekko.

— I po co? Starks, na przykład, wziął tylko jedną. Tę, którą kazano mu udowodnić. My chcemy tylko, żeby pan udowodnił co innego.

— A gdyby mi się nie udało?

— Cóż... Ale uda się panu, prawda?

— Sądzę, że tak.

— Dobrze. — Mosby podał mu kartonowy bilet. — To jest numer, pod który może pan zadzwonić w potrzebie. Ale tylko wtedy, gdy będzie pan pewien skutków naszej interwencji. Do widzenia.

Wychodząc z gabinetu, Ghart schował kartonik do kieszeni. Pod drzwiami czekali oficerowie. Wszystko odbyło się identycznie jak przedtem, tylko w odwrotnej kolejności. Odwieźli go w milczeniu pod prefekturę i odjechali.

Po raz drugi usiłował dopchać się do bufetu, kiedy przypomniał sobie, że miał skontaktować się z Oridhim. Popędził na górę, wpadł do swojego gabinetu. Kilkakrotnie uderzył przyciski numerowe.

— Cześć. Musiałem coś jeszcze załatwić.

Oridhi spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Umówiłem cię z jednym z konstruktorów tego robota, ale... Starks...

— Starks może mi teraz skoczyć.

— Na razie wylał cię z zespołu śledczego.

— Kiedy?!

— Przed chwilą. Zabronił wam opuszczać budynek, zobaczył, że gdzieś jechałeś. Słuchaj, odwołaj się do Metza, Starks nie miał do tego prawa.

— Miał. Regulamin to on zna na pamięć. — Ghart z rozmachem uderzył otwartą dłonią w boczną ściankę videofonu. — Skurwysyn. Zresztą Metz i tak by go poparł...

— To co, odwołać tego faceta?

— Nie, nie. Swoją robotę trzeba robić porządnie, nawet jeśli nie wolno. Na kiedy go umówiłeś i gdzie?

— Będzie za... — Oridhi zerknął na zegarek — pół godziny w twoim gabinecie. Nazywa się Josou, główny konstruktor serii „R”.

— Jakżeś to zrobił?

— Postraszyłem go trochę. To taki śmieszny pedałek, mało nie umarł z przerażenia.

— Okay, dziękuję ci.

— Drobiazg. Cześć.

Ghart zamyślił się. Wystukał kilkakrotnie swój domowy numer. Nic. Elen powiadomiłaby go o swoim wyjściu. Zresztą, gdzie mogła wychodzić? Trochę się niepokoił. Podszedł do biurka, usiadł na nim i zapalił papierosa. Szybko to poszło. Starksem się w sumie nie przejmował, pewien był od razu, że tamten zrobi wszystko, żeby go od tej sprawy odsunąć. Cały czas był pod wrażeniem swej rozmowy z Mosbym. Oto szansa. Spadła niespodziewanie, ale nie mógł jej przepuścić. Dlaczego Mosby wybrał właśnie jego? Z tego co wiedział, Mosby żarł się z ministrem bezpieczeństwa, którego protegowanym był Starks. Mosby był chyba zresztą silniejszy. Skompromitowanie Starksa to uderzenie w ministra, a więc i Mosby, i Ghart dobrze by na tym wyszli. Może by nawet awansował? Miał już dość tej vegetacji w klitce z obłazującą ze ścian farbą. W dodatku wykonanie polecenia Mosby'ego pozwoliłoby mu otrzymać zgodę na zawarcie małżeństwa i na dziecko. Morderstwo to dla gazet temat na pół roku, czyjaś nieudolność w wykryciu jego sprawy — na następne pół.

Ścisnęło go w żołądku. Podszedł jeszcze raz do videofonu. Chciał jak najszybciej powiedzieć o tym wszystkim Elen. Wystukał numer. Znowu nic. Trzasnął ze złością drzwiami i poszedł do bufetu.

Piątek, 13.00–13.40

Gdy wrócił po godzinie, przed jego drzwiami czekał niewysoki grubas. Po mięsistych policzkach spływały mu duże krople potu.

— Josou? — spytał Ghart przyglądając się jego drżącym rękóm.

— Tak, to ja.

Ghart otworzył drzwi.

— Proszę. — Wskazał mu krzesło i usiadł na blacie biurka, zapalając papierosa. — Pan jest konstruktorem robota Ralt, wyprodukowanego przez L.N.T.?

— Tak. Seria „R” właśnie wchodzi do produkcji. Wszystkie moje...

— Proszę powiedzieć — przerwał mu Ghart — czym ta konstrukcja różni się od poprzednich?

— Jest to... udoskonalenie, rozwinięcie modelu miękkiego robota... Tak nazywamy roboty imitujące ludzi, te z czerwonym kwadratem, tak zwane domowe...

— Jeszcze jedna z tych waszych zabawek do bicia?

— No tak. Chodziło o... wie pan, dawniejsze roboty tego typu reagują na zadawanie im bólu na zasadzie czysto mechanicznej, płaczą, krzyczą, krwawią, ale wywołuje to niezadowolenie niektórych naszych klientów, pewien niedosyt. Dlatego polecono mojemu zespołowi skonstruowanie robota, który mógłby naprawdę odczuwać ból, cierpienie... nie tylko fizyczne, także... upokorzenie, gorycz, rozumie pan, wszystkie reakcje psychiczne właściwe tylko człowiekowi.

— Więc czym właściwie się on różni od człowieka?

Zastanawiał się chwilę.

— Nie może zemścić się, zrobić krzywdy temu, kto zadaje mu ból.

Ghart wstał.

— Jest pan tego pewny?

— Tak. Są zabezpieczenia.

— A jeżeli zawiodą?

— Wtedy każdy robot, to znaczy przy takiej awarii, zgłasza się do serwisu naprawczego. — Josou zamilkł na chwilę. — Z tym, że on...

— No?

— On ma instynkt samozachowawczy, to znaczy coś w tym rodzaju. Chyba by tego nie zgłosił. Ale do awarii zabezpieczeń dojść nie mogło.

Ghart wyciągnął z szuflady biurka kolorowe zdjęcia przedstawiające zwłoki Rasta. Podał je Josouemu.

— Boże, co to jest?!

— Carlos Rast. A raczej to, co z niego zostało po, prawdopodobnie zbyt intensywnym, używaniu waszego robota.

— Boże... — Josou milczał długo, przenosząc przerażony wzrok to na zdjęcia, to na Gharta. Po dłuższej chwili zapytał: — A co się stało z Raltem? Gdzie on jest?

— Właśnie staram się go znaleźć. Nie będzie to łatwe, gdyż najprawdopodobniej zlikwidował swój znak rozpoznawczy, no i raczej nie przyjdzie tu z własnej woli. Jeżeli wierzyć w połowę tego, co L.N.T. nawypisywało o nim w swoich folderach, będzie to niemalże przestępca doskonały. Czy on może się mścić?

Josouemu trzęsły się już nie tylko ręce. Nerwowo wytarł twarz z potu.

— Teraz... sądzę, że tak.

— Aha. A jak pan myśli, na kim może się mścić? Najpierw na właścicielu. To już załatwione. Logicznie rzecz biorąc, na drugim miejscu powinien być konstruktor.

Josou patrzył na zdjęcie.

— Rozumiem — powiedział zgaszonym głosem. — Zabezpieczenie rzeczywiście mogło wysiąść, jeśli robot był przeciążony. Rast był... strasznym sadystą. Właściwie co tydzień kupował nowego robota i skarżył się, że dają mu za mało satysfakcji. Oczywiście, takich jak on jest więcej, ale to był człowiek bardzo wpływowy.

— Do wieczora musi mi pan powiedzieć, co Ralt teraz zrobi.

— To niemożliwe. Oczywiście, znamy jego psychikę, ale jest bardzo skomplikowana, prawie tak samo jak ludzka. Mogę panu powiedzieć tylko... ogólnie, jakie motywacje będą u niego najsilniejsze.

Ghart wydarł kartkę z notesu i zapisał na niej swój numer.

— Natychmiast, gdy będzie pan coś wiedział, proszę do mnie zatelefonować. Obowiązuje pana tajemnica. Nawet gdyby pytali pana inni funkcjonariusze, nic panu nie wolno powiedzieć. Jasne?

— Tak. — Josou niezdecydowanie zrobił dwa kroki do drzwi, przystanął, odwrócił się...

— Pan go złapie? — spytał.

— Tak.

— Widzi pan... kiedy cała ta sprawa wyjdzie na jaw, koniec ze mną. Z pewnością mnie wyrzucą... sam pan sobie wyobraża, co będzie, jak dorwie się do tego telewizja. Wszystko skrupi się na mnie. Czy nie dałoby się potem tego jakoś...

— Na razie niech pan zrobi wszystko, żeby go złapać.

— Tak, oczywiście. Do widzenia.

Ghart oparł się ciężko o biurko. Potem podszedł do video. Cisza. Wyszedł z gabinetu kierując się ku windzie, potem nagle cofnął się i poszedł do sali, w której obradował zespół śledczy.

— A gdyby zjawić się tam w momencie, gdy Holden... — Starks spojrzął na otwierające się drzwi. — Proszę wyjść!

Ghart podszedł do niego.

— O co chodzi, poruczniku? Pan już nie ma dostępu do tego śledztwa.

— Właśnie o to — powiedział Ghart i dał Starksowi w zęby, po czym odwrócił się i poszedł do windy. Włożył ręce do kieszeni, zadowolony z siebie i pewny, że trafił na dobry trop.

Piątek, 15.00–17.50

Obrócił dwa razy klucz w zamku. Drzwi zaskrzypiały cicho. Wszedł.

— Elen!

Pokój był pusty. Na materacu leżała skłębiona, przepocona pościel. Jej zapach mieszał się z papierosowym dymem. Machinalnie zwinął pościel i wrzucił ją do skrzyni. Otworzył okno. Z pełną popielniczką w ręku wszedł do kuchni. Wyrzucił niedopałki do zsypu, zajrzał do łazienki. Cisza. Nikogo.

Boże, jak bardzo nienawidził tego pustego, śmierdzącego mieszkania. Na stole leżała złożona we czworo kartka. Rozłożył ją. Poznał charakter pisma.

Mój drogi. Sam wiesz, że to musiało kiedyś nastąpić, zresztą rozmawialiśmy już o tym nieraz. Musisz mnie zrozumieć. Naprawdę cię kochałam. Może za mało, bo nie potrafię sobie zmarnować całego życia tylko po to, żeby być przy tobie. Wiesz, że nie mogłam już tego wytrzymać. Spotkałam człowieka, który może mnie wyciągnąć z tego dna i nie mogę tej szansy zmarnować. Naprawdę muszę mieć dom i dziecko. Nie myśl o mnie źle — Twoja Elen.

Odłożył kartkę i zacisnął pięści. O Boże, Elen, gdybyś wiedziała... gdybyś mogła wiedzieć. Zaciśniętą pięścią z całej siły rąbnął w ścianę. Jeszcze raz. Kilka kawałków tynku osypało się na podłogę. Kostki zabarwiły się na czerwono. Ból. Wypuścił przez zęby powietrze, zrobił kilka głębokich oddechów. Tak. W końcu chyba jeszcze nic straconego...

Usiadł ciężko na materacu. Papieros. Zaciągnął się kilka razy głęboko. Sięgnął pod okno, po butelkę z wódką, zdjął nakrętkę i pociągnął kilka łyków. Postawił butelkę na podłodze.

Był spokojny. Przeczynał to podświadomie, wiedział, że przyjdzie — a mimo to dał się zaskoczyć. Po rozmowie z Mosbym wahał się jeszcze, czy zrobić tak, jak mu kazano. Zdecydował się dopiero, gdy Starks usunął go z zespołu śledczego. Teraz zrobi wszystko, żeby nie przepuścić tej szansy. Osunął się na materac. Na ten sam materac, na którym sypiali przez kilka miesięcy. Przytknął butelkę do ust.

Wódka spływała dwoma strumyczkami po policzkach. Zacisnął oczy.

„Wiesz, Elen...” przypomniał sobie. Noc. Leżał z twarzą przytuloną do jej barku, delikatnie pieścił palcami jej ramię. „Jak to dobrze, że cię spotkałem. Tak się bałem...”

„Czego?”

„Nie wiem. Wszystkiego się bałem. Teraz też, ale już nie tak. Kłębek strachu. Zwłaszcza w nocy, budziłem się nagle i tak się potwornie bałem, że chciało mi się skulić w kącie i krzyczeć. Bałem się, że do końca zostanę na dnie. Że ukradną mi pensję, że ktoś naciśnie guzik i wylecę w powietrze razem z całym miastem, że wyłysię, że Starks mnie wywali z roboty, że wpadnę pod samochód, że w jedzeniu mogą być jakieś trucizny z fabryk, że ta betonowa klatka się nagle zawali, że nigdy nie znajdę sobie dziewczyny... Tysiące rzeczy, których się bałem, a nie chciałem, żeby inni ludzie to dostrzegli. Przychodziły w nocy, wtedy pękałem, płakałem, jak nikt nie widział. Przecież człowiek nie jest z kamienia. Nawet kamień pęka, gdy się go za mocno przyciśnie.”

Poruszyła się.

„Ilu dziewczynom to już mówiłeś?”

„Każdej, która tu była przed tobą...”

Podniósł się ciężko. W butelce pokazało się dno. Rzucił ją pod ścianę. Usiadł i przetarł palcami oczy. Zapalił papierosa. Chwiał się lekko na nogach... Przecież nic jeszcze nie stracił. Jeszcze nie. Jeśli złapie tego robota... on pewnie też się boi. Jeśli jest człowiekiem, a przecież jest, to na pewno się boi. Jak wszyscy ludzie. Zresztą, co to są ludzie? Sadyści, masochiści, sodomicy, o Boże, więcej niż połowa społeczeństwa to różni zbrodniecy. Zwłaszcza ci z góry. Taki Rast. Gdyby Ghart miał taką willę z salą tortur, to chciałby mieć w tej sali właśnie Rasta, Nie, bzdura, w ogóle by nie zbudował takiej sali. To rozrywka dla tych rozleniwionych skurwysynów, którzy zawsze mieli najdroższe papierosy, najdroższe alkohole, najdroższe samochody i najdroższe dziewczyny. Nic dziwnego, że nie wiedzą, co ze sobą zrobić, jak się nie nudzić. Ale dobrze, że ten robot go zatłukł. Szkoda, że tylko jego. Ghart też jest takim robotem. Takim chłopcem do bicia przez wszystkich, kto tylko ma na to ochotę. Od Starksa po Elen.

Podniósł głowę. Nie, przecież Elen nic do tego nie ma, skąd ci to przyszło do głowy, idioto. Nie była wcale w lepszej sytuacji. Puszczala się czasem, żeby nie zgnieć w monotonii tej roślinności, teraz jest pewnie szczęśliwa. Ciekawe, kim jest ten facet. Ghart spróbował się podnieść. Stał opierając się o ścianę. Kim by nie był, Elen i tak do niego wróci. Jak tylko złapie Ralta. Jeden chłopiec do bicia złapie drugiego chłopca do bicia i dostanie cukierka. Zaczął się śmiać. Boże, człowieku, jaką ty masz słabą głowę, jedna butelka. Szkoda, że więcej nie miał. Coś brzęczało. Rozejrzał się. Videofon. Podszedł chwiejnym krokiem.

— Tak, słucham.

— Ghart? — Głos Oridhiego. — Dlaczego nie włączasz wizji?

— Wolałbym nie.

— Starks wylał cię z policji.

— Pieprzę go. Jeszcze mnie będzie po nogach całował. Stary, wiesz co? Mam teraz takie plecy...

— Ghart, piłeś?

— Piłem. Trochę. Trzymam się na nogach. Nie martw się o mnie, załatwię sobie lepszą robotę. Mam dość tej waszej pieprzonej policji.

— Nie „waszej”. Mnie też wylał.

— Ciebie? Za co?

— Za jednego egzaltowanego gówniarza. Pogadamy, jak wytrzeźwiejesz.

— Słuchaj Oridhi, zadzwonię do ciebie. — Zatoczył się na ściankę video. — Za jakiś czas. Zobaczysz, jeszcze się lepiej ustawimy od Starksa. Zobaczysz.

— Dobra. Zadzwoń, jak wytrzeźwiejesz.



Oridhi wyłączył się. Ghart odepchnął się rękami od aparatu i wyprostowany jak decha upadł na podłogę. Trafił głową w materac, złagodziło to trochę siłę uderzenia. Leżał dłuższą chwilę zupełnie zamroczony.

Z każdą chwilą jestem bardziej zalany, pomyślał. Zaczął się znowu gramolić do pozycji pionowej. Dopełznął na czworakach do drzwi i z trudem wstał, trzymając się framugi. Wszystko dookoła się chwiało. Wszedł do łazienki i puścił sobie na głowę strumień zimnej wody. Mam dwadzieścia cztery lata, myślał, to już starość. Spodobało mu się to. Zaczął sobie śpiewać: — Mam dwadzieścia cztery lata, mam dwadzieścia cztery lata, jestem już sta—ruuuuszkieem. — I po chwili dalej, na tę samą melodię: — Ale będzie dobrze, ale będzie dobrze, bo złapię robota, pie—przonego robooooootaaa. — Zakręcił kran. Niewiele pomogło, ale zawsze. Wrócił do pokoju. Usiadł. Miał ogromną ochotę położyć się i zamknąć oczy, ale wtedy zaczęłoby mu się kręcić w głowie i zwymiotowałby. Zdjął kurtkę. Oparł głowę o ścianę i patrzył na obłazący z farby sufit. Znowu zaczął myśleć o tym robocie. Trochę mu go było szkoda. Nie zrobił nic złego. Zabił Rasta, bo inaczej Rast zniszczyłby jego. Okay. Nie mścił się. Miał cały dzień, gdyby chciał, zdążyłby już narozrabiać. Nie. Ale jest winny, bo zabił człowieka. A nie wolno. Wolno w odwrotną stronę. A jakby tak ludziom zaczęli nalepiać na policzki kwadraty? Człowiekowi z zielonym wolno zabić człowieka z czerwonym lub żółtym. Facetowi z czerwonym nie wolno tknąć zielonego, ale sobie może to odbić na żółtym. Żółtemu wolno być tylko zabitym. Ciekawe, jaki Ghart by miał kolor? O Boże, ale pieprze, pomyślał, schlałem się jak świnia.

Leżał tak dłuższą chwilę, starając się nie myśleć o niczym. Mogło to trwać minutę albo godzinę, nie wiedział. Z otępienia, wypełnionego skrawkami jakichś myśli i przypominanych obrazów, wyrwał go znowu brzęczyk videofonu. Starał się właśnie jak najdokładniej przypomnieć sobie Elen, każdy szczegół jej ciała. Miał już dokładny obraz jej twarzy, kiedy videofon zaczął brzęczeć i wszystko rozsypało się w kawałki. Podniósł się ciężko. Jeszcze odrobinę chwiejnie podszedł do lustra. Poprawił sobie włosy. Miał trochę opuchniętą twarz, pokrytą kropelkami potu, cały był potarmoszony i wymięty, koszula pękła mu na ramieniu. Poza tym chyba nie było widać, że pił. Oddychał ciężko przez otwarte usta. Stał przed ekranem i nacisnął przycisk odbioru. Na ekranie pokazał się Josou. Nie był już taki przerażony.

— Dzień dobry. Sprawdziłem wszystko, co pan kazał.

Ghart zmusił się do zamknięcia ust i ściągnięcia brwi. Starał się mówić wyraźnym, ostrym głosem.

— I co?

— Pan miał rację. On... będzie się mścił, ale, tak sędzę, na razie przyczai się gdzieś na kilka dni. Może nawet na tydzień. To wszystko, co możemy powiedzieć. Poza tym będzie chyba przebywał w takich miejscach, gdzie jest dużo ludzi. Wie pan, w fabryce wszczepiono mu tylko pewne cechy podstawowe, dalej jego psychika rozwijała się sama, w zależności od warunków, w jakich się znalazł.

Stanie bez oparcia sprawiało Ghartowi trudność. Przysunął sobie krzesło i usiadł jakieś półtora — dwa metry od ekranu.

— Na drugi raz, jak będziesz majstrował takiego robota, daj mu psychikę masochisty. Tak będzie bezpieczniej...

— Zastanawialiśmy się, ale klienci tego nie lubią.

— Dobra — machnął ręką Ghart. — Jakie są te cechy podstawowe?

— Jest trochę dumny, to znaczy ma poczucie swojej wartości. Jednocześnie jest bardzo przywiązany do człowieka. Silnie wszystko przeżywa... Sędzę, że zanim nie uczyni czegoś, o czym się dowiemy, w ogóle trudno będzie cokolwiek powiedzieć. Będzie go ciągnęło do ludzi.

— No dobra. To już jest przynajmniej coś.

— Chciałem się jeszcze spytać...

— Co?

— Czy policja ma pewność, że to Ralt zabił Rasta?

— Niech pan nie będzie zbyt ciekawy. Tymczasem.

Ghart podniósł głowę. Josou przyglądał mu się badawczo. Musiał zauważyć, że Ghart pił. Wyłączył videofon. Powłókł się do łazienki, wszedł pod zimny prysznic.

Po kilkunastu minutach zakręcił kran, szcękając z zimna zębami. Wytarł się dokładnie włóchatym ręcznikiem, potem ubrał. Przeszukał szafę. Nie miał drugiej koszuli. Wszystkie inne były brudne. Zastanawiał się chwilę, czy włożyć brudną, czy czystą, ale podartą, w końcu wybrał podartą. Elen by mu ją zaszyła, kiedy brał prysznic. Cholera jasna. Znowu Elen. Powinien już przestać o niej myśleć i wziąć się do roboty.

Wyjął z lodówki dwie porcje śniadaniowe i zjadł popijając wodą z kranu. Z trudem przechodziły mu przez gardło. Ścisnęło go w żołądku, jak zwykle po wódce. Właściwie czuł się trzeźwy, po picu został mu tylko nastrój. Ponury nastrój. Było mu wstyd przed sobą samym, że pękł, i to niedługo po tym, jak wreszcie zarysowała się przed nim jakaś perspektywa. Nie powinien był pić. Obtarł dłonią wargi i zapalił papierosa. Zawsze było mu wstyd po tym, jak się rozklejał. A rozklejał się w sumie często. Znowu brzęczyk videofonu. Oridhi.

— Już w porządku?

— Tak — skinał głową.

— Jest draka. Ktoś włamał się do willi Rasta i rąbnął jakieś papiery, podobno tajne.

— Kiedy?

— Niedawno, może z godzinę temu. Starks nie posiada się z radości, wysłał już telegram, że jest na tropie siatki szpiegowskiej. Poza tym radziłbym ci zniknąć z domu, Starks dowiedział się, że już po odsunięciu cię od śledztwa przesłuchiwałeś tego konstruktora, pewnie zechce ci narobić brudu.

— Skąd on się o tym dowiedział?

— Chyba za bardzo grubasa nastraszyłeś i poszedł się wyplakać Starksowi w mankiet. A ten mu powiedział, że robot w ogóle nie jest o nic podejrzany i żeby zerwał z tobą kontakt.

— On tu niedawno dzwonił. Widać mimo wszystko nadal się trochę boi. Dobra — Ghart westchnął ciężko — narozrabiałem dziś solidnie, ale powinno to nam wyjść na dobre.

— Nie przejmuj się. Mnie Starks wylał, bo nie wytrzymałem i powiedziałem mu, co o nim myślę. A teraz zmień lokal i nie pij po drodze. Możesz wpaść do mnie.

— Nie, dziękuję ci bardzo. Mam jeszcze do załatwienia parę spraw na mieście. Cześć.

Wyciągnął z szafki dwie ostatnie paczki papierosów i pieniądze. Zamknął za sobą drzwi na klucz. I tak nie miał już ochoty siedzieć w mieszkaniu. W pobliżu była mała, zaciszna knajpka, gdzie mógł spokojnie posiedzieć i jeszcze raz przemyśleć sytuację.

Piątek, 18.30–21.45

Opuścił bar i szedł pustą ulicą w kierunku dzielnicy willowej. Zrobiło się chłodno. Wsadził ręce do kieszeni. Nie miał swetra, ale teraz nie chciał wracać. Postanowił zaczekać, aż się ściemni, i jeszcze raz spróbować wejść do willi Rasta. Miał nadzieję, raczej jakieś przeczucie, że znajdzie tam coś interesującego.

Szedł powoli, przyglądając się ścianom domów. Ulica była pusta. Od czasu do czasu przejeżdżał szybko jakiś samochód. Okna pozamykane, każde wejście dobrze zabezpieczone. Ghart doszedł do jednej z głównych tras miasta i stanął na ruchomym chodniku. W zamyśleniu przyglądał się swojej prawej pięści. Stał z kostek zakrzepłą krew. Były opuchnięte, sine, bolały przy każdym dotknięciu.

Zanim przebył te sześć — siedem kilometrów, dzielących go od willi Rasta, zdążyło się już zupełnie ściemnić. Przed bramą stał umundurowany policjant. Ghart pokazał mu legitymację.

— Maned Ghart — przeczytał policjant w słabym świetle latarni. — Ghart? Przecież pana dziś wylali?

— Tak. — Trudno, jednak wiedzieli. — Ale widzicie, zaczęta robotę trzeba rzetelnie doprowadzić do końca.

— To pan dał w mordę Starksowi, prawda, panie poruczniku? Niech panu rękę uściskam. — Ghart syknął z bólu. Policjant spojrział z podziwem na jego kostki. — Należało się skurwysynowi. I chce się panu jeszcze zajmować tą sprawą?

— Powiedziałem wam już. Chcę zrobić, co do mnie należy. Wpuściecie mnie?

— No, oczywiście, panie poruczniku, jakżeby nie. Chwileczkę, wejdę razem z panem. — Minęli żywoplot. — A wie pan, panie poruczniku, że potem go jeszcze opieprzył ten sierżant, co tu rano był? Starksa mało szlag nie trafił.

— Tak, słyszałem.

— Chłopaki, wiecie, kto to jest? To jest ten facet, co dał w mordę Starksowi.

Spod dwóch daszków policyjnych czapek błysnęły zaintrygowane spojrzenia.

— Naprawdę? To pan? — mówili obaj jednocześnie. — Wszyscy o panu mówią. Dobrze pan zrobił. Mitch, wracaj pod bramę, ja wejdę z panem porucznikiem — powiedział rosty policjant z dystynkcjami kaprała. — Proszę.

Ghart skierował się najpierw na piętro. Trupa już nie było, nie było też krwi na ścianach.

— Co jest? Sprzątałicie tu?

— Rozkaz Starksa. Jutro ma być wizja lokalna.

— Przecież to idiotyzm. Zniszczono ślady.

— Zgadza się. Ale jak Starks kazał, to co mieliśmy robić?

— No tak. — Ghart skinął głową. — A jak to było z tym dzisiejszym włamaniem?

Weszli do jednego z pokojów. W rogu stalowa szafa, otwarta, ze środka wystają papiery. Takie same papiery rozrzucone po całym pomieszczeniu, jakiś plan rozłożony na biurku. Kaprał pokazał wyłamaną ramę okna.

— Tędy wszedł. Z ulicy ani sąsiednich domów nie było widać przez te drzewa. Nie wiem, jak on mógł się po tym wdrapać.

Ghart wychylił się. Jakies półtora metra od okna rosło spore, słabo rozgałęzione drzewo.

— I co?

— W sumie nic. Pogrzebał w papierach, ludzie na dole usłyszeli hałas, ale jak przyszli, nikogo już nie było. Mógł tu być... z dziesięć minut, nie więcej.

— W porządku. Zostawcie mnie tu na chwilę.

Kaprał wyszedł. Ghart zaczął przeglądać papiery. Jakies' skomplikowane plany, wykresy, kolumny niezrozumiałych liczb i symboli.

— Czy coś stamtąd zginęło? — spytał kaprała, wyszedłszy z powrotem na korytarz.

— Podobno. Jakies plany urzędnika, nad którym zespół Rasta pracował od dłuższego czasu.

— Nie wiecie, co to było za urządzenie? — Kaprał zaprzeczył ruchem głowy. — Okay, zajrzę jeszcze na dół.

Zszedł do sali tortur. Nic tam nie ruszano. Nawet rzucony przy drzwiach od garażu folder leżał tak jak rano. Podniósł go.

**RALT TO SPRAWNOŚĆ I SATYSFAKCJA! ROZŁADUJ SWOJE SPOŁECZNIE SZKODLIWE INSTYNKTY! ROBOTY SERII „R” NAPRAWDĘ CZUJĄ BÓL!**

Folder ozdobiony był zdjęciem twarzy z czerwonym kwadratem na policzku, skręconej grymasem potwornego cierpienia. Zdjęcie było doskonałe, Ghartowi aż ciarki przebiegły po plecach. Wpatrywał się chwilę w tę twarz.

Wyszedł na górę i zadzwonił do Oridhiego.

— Wiesz coś o pracy Rasta? Co on konkretnie robił?

— Nie chcieli tego powiedzieć. Tajemnica państwowa. Wiem tylko, że jego praca była już na ukończeniu i zaraz po tym jego urlopie miał nastąpić próbny rozruch... ale nie pytaj czego, bo i tak nie wiem.

— W porządku, dobranoc.

— Dziękuję wam, chłopcy — powiedział Ghart wychodząc.

— Drobiazg, panie poruczniku. Ale — kapral podszedł do niego — Starks się nie dowie, żeśmy tu pana wpuścili?

— Nie ma obawy. — Ghart wyszedł za bramę willi. Skinął głową salutującemu szeregowcowi i ruszył przed siebie.

Piątek, 22.00 — sobota 0.15

Przysiadł w małej, cichej kawiarni. Wszedł tam, bo była zupełnie pusta. Nawet obsługę zastąpiły automaty. Krótko mówiąc, dobre miejsce, żeby pomyśleć.

Potrząsnął głową. Żołądek miał ściśnięty od wódki i nadmiernej ilości papierosów, powieki spuchnięte. Uświadomił sobie, że od tych dwóch porcyjek po wytrzeźwieniu nic nie miał w ustach. Nie mógł jeść — spróbował, nie przechodziło mu przez gardło. Sączyl powoli gorącą herbatę.

Josou twierdził, że Ralta będzie ciągnęło do ludzi, że będzie przebywał w miejscach, gdzie się zbierają. Próbował zebrać wszystko razem. Mecze, koncerty... a o tej porze? Może dworce? Są dość zatłoczone. Zresztą szukanie go w tłumie, nawet gdyby Ghart wiedział dokładnie gdzie, to beznadziejna sprawa. Jediną wskazówką była fotografia z folderu L.N.T., nie wiadomo zresztą, czy przedstawiała właśnie tego robota.

Włamanie do willi Rasta było sprawą Ralta, co do tego Ghart nie miał wątpliwości. Na co Raltowi plany urządzenia opracowywanego w instytucie? Żeby się mścić? Chyba nie. A może w instytucie opracowywano jakąś nową broń? Nie, tym zajmują się specjalne laboratoria armii. Więc po co? Jak logicznie skojarzyć słowa Josouego z faktami? Bądź co bądź konstruktor robota powinien znać go najlepiej. Wcześniej rozmawiał ze Starksem. (Ciekawe, co Starks mu powiedział) Na miejscu Ralta Ghart wcale nie szukałby ludzi. O ile pamiętał, robot włączany jest dopiero po sprzedaży, na życzenie klienta. Ludzie to dla Ralta Carlos Rast.

W ogóle jakoś się to nie trzymało kupy. Jeżeli chciałby się mścić, to po cholere ma się najpierw przyczając na parę dni, a w ogóle jak jednocześnie może być przywiązany do człowieka i starać się przebywać w większych skupiskach ludzkich?

Co Starks mu powiedział? Powiedział Josouemu, że zabójstwo Rasta to sprawa polityczna i że jego robot nie ma z tym nic wspólnego. Podczas videofonicznej rozmowy z Ghartem Josou już się tak nie bał, Ghart zauważył to nawet po pijaku. Starks musiał go przekonać. Josouemu wcale nie zależało na schwytaniu Ralta. Więcej, zależało mu na tym, aby Ralta nie schwytano. Jest tchórzem, ale z pewnością nie jest głupi. Udowodnienie tezy Gharta to koniec Josouego. O ileż lepiej byłoby dla niego, gdyby Starks postawił na swoim.

Ghart zamknął oczy. Josou mógł kłamać. Josou musiał kłamać. Co Ghart zrobiłby na miejscu Ralta? Uciekałby. To jasne, ucieczka, schować się gdzieś bezpiecznie, jak najdalej. Ze zrezygnowaniem huknął pięścią w stół. Nic z tego. Nawet dysponując całymi siłami policji, nie dałoby się zablokować wszystkich wyjść z miasta, zresztą Ralt miał tyle czasu... Nagle ogarnęło go zwątpienie. Był bezsilny, zmarzł, chciało mu się spać i płakać z wściekłości. Zacisnął zęby. Gdyby wiedział przynajmniej, czym zajmował się Rast, co to za plany Ralt ukradł z jego domu. Gdyby wiedział... cholera jasna! Czym on się mógł zajmować w Instytucie Temporalistyki?! No tak. Badania o niezwykłym znaczeniu dla armii, no tak, na ukończeniu. Najlepszy sposób ukrycia się, jaki można sobie wyobrazić, cofnąć się przynajmniej o kilka lat. Dziś piątek, jutro i pojutrze w Instytucie nie ma nikogo. Ma czas na

sprzęgnięcie się z komputerami i jeżeli Rast zdażył opracować ogólne założenia projektu, na dopracowanie szczegółów.

Podniósł się i rozejrzał po sali. Nie było w niej videofonu, nie było go też w pobliżu wyjścia, na ulicy. Jeżeli to wszystko prawda, jest w sumie porządnym facetem. Wyrwał się, nie chce się nawet mścić, chce tylko uciec. Ghart na jego miejscu z pewnością by się mścił. Gdyby go nie ścigał, z pewnością by mu pomógł. Ale w tej sytuacji nie było go na to stać. A gdyby jednak pozwolił mu się urwać, przecież zostaną ślady, fakty... — Ghart szedł szybko, rozglądając się. — Fakty można układać, jak się chce. Starks to rutyniarz, udowodni, co mu każą, tak, że nie będzie się można przyczepić. Jedyne rozstrzygający dowód to robot z nie uszkodzonymi kryształami pamięciowymi.

Znalazł wreszcie kabinę video. Szperał chwilę w kieszeniach, wreszcie wyciągnął kartonik, który dał mu Mosby. Wystukał napisany na nim numer.

Bardzo długi sygnał. Ghart przełknął ślinę. W końcu na ekranie ukazał się Mosby.

— Dobry wieczór, panie generale. Jestem o krok od uzyskania niezbitego dowodu, że Carlos Rast został zamordowany przez uszkodzonego robota firmy L.N.T.

— Dziwny pomysł. Ale dobry. To chwyci.

— Nie wiem, czy wie pan, że zostałem usunięty z policji.

— Wiem.

— Potrzebuję pewnej pomocy. Trzeba otoczyć Instytut Temporalistyki wojskiem.

— Dlaczego nie policją?

— Sądzę, że to da lepszy efekt. „Policja poszła mylnym tropem, a wojsko ujęło mordercę”.

Mosby uśmiechnął się.

— Dobry pomysł. Wszystko układa się jak najlepiej dla nas, poruczniku. Pół godziny temu oddział policyjny na polecenie majora Starksa usiłował zatrzymać doktora Holdena i zastrzelił go. „Próba ucieczki”, tak to Starks nazwał. Doskonale, jeżeli się wam uda...

— Potrzebuję broni. Za jakieś... najpóźniej dwadzieścia minut muszę wejść niepostrzeżenie do Instytutu Temporalistyki, jestem pewny, że tam w tej chwili znajduje się robot.

— Możemy to zrobić. — Mosby odwrócił się i zaczął wydawać dyspozycje.

— Muszę tam wejść sam, inaczej on ucieknie. Wiem, Instytut będzie okrążony, ale on naprawdę może uciec. Proszę mi wierzyć.

— No dobrze. Coś jeszcze?

— Sądzę, że należałoby też zebrać tam dziennikarzy, od razu zrobić wokół tego rozgłos.

— Biorę to na siebie. Gdzie w tej chwili jesteście?

— Róg 342 i 1128 Alei.

— Zaraz po was przyjadą.

Ghart zapalił papierosa i stanął na krawężniku. Przechadzał się po nim nerwowo, starając się nie myśleć o Ralcie. Po dwóch minutach podjechał samochód żandarmerii.

— Ghart?

— Tak. — Wsiadł. Samochód ruszył. Jeden z żołnierzy podał mu miotacz. Ghart oparł kolbę na kolanie, sprawdził zamek, generator, przewody, w końcu magazynek. Potem odsunął i zasunął z powrotem bezpiecznik. Wóz zatrzymał się trzydzieści metrów przed Instytutem.

— Poczekaj.

Elen, to się musi udać. Będiesz mogła do mnie wrócić, skończy się to wszystko, zobaczysz, jacy będziemy szczęśliwi, Elen.

Trzask w krótkofalówce: „Osiemnaście”

— Tak.

— Możecie zaczynać, system alarmowy wyłączony.

Ghart wyskoczył z samochodu i przebiegł pod ścianami do budynku Instytutu. Wspiął się na okno, wybił szybę i wskoczył do środka.

Ciemność. Niepewnie zrobił kilka kroków. Nie chciał zapalać światła. Odbezpieczył miotacz i wyszedł na korytarz. Czekał chwilę, dopiero gdy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, ruszył przed siebie.

Elen, wróć do pracy. Oridhi też... w sumie jestem mu to winien. Jeszcze wszystko się ułoży, będziemy się dziwić, jak mogliśmy kiedyś tak żyć.

Kątem oka dostrzegł składającą się do strzału sylwetkę. Padnięcie, miotacz do ramienia... sylwetka nie porusza się. To wieszak na ubrania. Z przerażeniem zauważył, że trzęsą mu się ręce. Podniósł się. Szedł teraz przyciskając się do ściany. Schody. Starał się stąpać jak najciszej. Myślał o Elen, to mu jakoś pomagało:

Delikatnie pogładziła go po twarzy.

— Gdybyś wreszcie awansował, przenieśliśmy się do jakiegoś porządnego mieszkania. Jeździłbyś rano do pracy z teczką, a ja zostawałabym z dzieckiem, robiłabym ci obiad, prała koszule.

— Może jeszcze kiedyś tak będzie.

— Wierzysz w to? — spytała.

— Nie. — Przytuliła się do niego.

— Nauczyłam się nie wierzyć w nic oprócz tego, co widzę.

Chyba już piętnaste czy szesnaste piętro. Szelest. Gdzieś na dole. Odwrócił się powoli. Znowu szelest. Odgłos plazmowego palnika, wysoki, świdrujący. Nogi wrosnięte w ziemię. Z trudem pokonując ich drżenie powoli, potwornie powoli zaczął schodzić w dół.

— Nie przejmuj się niczym — mówiła. — Niczym. Rób zawsze to, co będzie dobre dla ciebie. Wiem, to czasem boli, ale to jedyny sposób, żeby do czegoś dojść. Myśleć tylko o sobie. Może to brzmi potwornie cynicznie, ale takie jest życie. Trzeba w nim wygrać za wszelką cenę. — Pocałowała go mocno.

Znowu korytarz. Musiał się zatrzymać. Postawił miotacz na ziemi, trzęsącą się dłonią wytarł czoło z potu. Cały był mokry. W miejscu żołądka kłęb ognia. Znowu kilkusekundowy jazgot palnika. Podniósł miotacz. Wziąć się w garść, opanować się za wszelką cenę. Przed siebie.

On się nie boi, myślał. Nie będą mu się trzęsły ręce. Na pewno jest uzbrojony.

— Możesz mu pozwolić uciec. Wtedy będziesz czysty. I możesz go zabić. On w sumie nie zrobił nic złego, nic innego, niż zrobiłby jakikolwiek człowiek na jego miejscu. Chce tylko uciec. Możesz mu pozwolić. Wtedy nigdy do ciebie nie wróć, będzieszgnił do końca życia w tej klitce, zalewał się co wieczór, żeby na chwilę zapomnieć. Potem zabraknie ci pieniędzy na wódkę, zaczniesz kraść, pić płyn do mycia szyb, perfumy, rozpuszczalniki, wszystko, w czym jest choć kropla alkoholu. Za uczciwość trzeba płacić dużą cenę. Skąd wiesz, co on by zrobił na twoim miejscu?

Zza załomu korytarza bila delikatna poświata. Skręcił tam. Głęboki wdech, drugi, trzeci. Prawie już nie mógł iść, mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Powoli zbliżał się do światła. Następny zakręt. Jaśniej.

— Sam mówiłeś, że trzeba być silnym — spojrzała mu w oczy. — Zabiłbyś, gdybyś mógł w ten sposób zapewnić mi szczęście?

— Nie pomyślałaś, że największej siły wymaga to, aby w takiej sytuacji nie zabić?

— Tak. Ale to nic nie daje.

Znowu zakręt. I jeszcze jeden. Otwarte drzwi, zza których bije silne światło. Jazgot palnika. Nikt nie będzie mi miał tego za złe, pomyślał. Dla ludzi najśluszniesze jest zabić go. Nikt nie będzie mi tego miał za złe.

Podszedł do drzwi. Całe szczęście, że korytarze wyłożone są dywanami tłumiącymi odgłos kroków. Podniósł miotacz, ostrożnie wychylił się zza futryny. W środku stał wysoki, barczysty blondyn pochylony nad maszyną przypominającą ogromnego przezroczystego żuka z wygodnym fotelem i tablicą rozdzielczą w brzuchu. Jeszcze jeden krok. Ralt odwrócił się gwałtownie. Twarz z folderu, tylko inny kolor włosów. Sięgnął po odłożony palnik. Kolba na biodro, spust. Huk, ognista smuga dotyka szyi robota, odrywa głowę, rozbija przezroczystego żuka. Wybuch tablica rozdzielcza. Łoskot upadającego ciała.

Ralt leżał na plecach, z rozkrzyżowanymi rękami. Urwana głowa trzymała się na pęku kabli i płacie skóry. Dużo krwi. Prawa ręka robota, leżąca o kilkanaście centymetrów od upuszczonego na ziemię palnika, podniosła się powoli, trzask wyładowania, błękitny błysk w otwartej szyi robota. Ręka opadła. Ralt bezgłośnie poruszył wargami, prawa ręka uniosła się powoli, trzask, błysk...

Ghart odetchnął. Kopnął palnik w róg pokoju. Spojrzał na leżącego. Przykro mi, stary. Odwrócił się, przetkał palcem uszy ogłuszone wybuchem. Zaczął iść szybkim krokiem, zapalając po drodze światła we wszystkich korytarzach i na schodach. Ludzie na dole słyszeli wybuch. Pod Instytut zajęchały wojskowe samochody, do środka wpadały długie szeregi żołnierzy z gotową do strzału bronią.

— W porządku — powiedział im Ghart paląc papierosa. — Zabezpieczcie miejsce akcji.

W hallu na dole czekał na niego Mosby.

— W porządku — powiedział Ghart.

Mosby, uśmiechnięty szeroko, poklepał go po ramieniu.

— Za trzy–cztery godziny dotychczasowy minister bezpieczeństwa złoży na ręce prezydenta dymisję. Wcześniej jeszcze zostanie usunięty ze stanowiska i zdegradowany Starks. Wy, poruczniku, zajmiecie jego miejsce.

— Dziękuję, panie generale.

— No a teraz uśmiechnijcie się i porozmawiajcie chwilę z reporterami. Wiedzą już mniej więcej, o co chodzi. To ma być uśmiech? Szeroko, chyba jesteście zadowoleni?

— Tak. — Ghart zaśmiał się sztucznie, potem trochę bardziej naturalnie. Wyszedł przed budynek. Lampy błyskowe, mikrofony. Jakiś facet z kamerą. Pytania, jedno przez drugie. — Chwileczkę, po kolei, słucham?

— Dlaczego kontynuował pan śledztwo po oficjalnym odsunięciu pana?

— Widzi pan, każdą robotę, której się człowiek podejmuje, należy rzetelnie doprowadzić do końca.

— Czy sądzi pan, że takie przypadki jak ten mogą się powtórzyć?

— Nie wiem, ale fachowcy powinni zadbać, by do tego nie doszło. Tragedia, która się wydarzyła, spowodowana została tylko zwykłą, ludzką głupotą.

— Dlaczego oficjalne śledztwo poszło fałszywym tropem?

— Brak kompetencji, po prostu brak kompetencji.

— A czy nie uważa pan...

Sobota, 9.10–9.12

— Cześć. Gratuluje. — Oridhi był niewyspany i zdenerwowany. — Widziałeś...

— Siadaj — przerwał mu Ghart. — Zostajesz moim zastępcą, już rozmawiałem z kim trzeba. I świadkiem na ślubie. Boże, co za fart...

Oridhi skrzywił się, wciskając mu w rękę gazetę.

— Przykro mi, że ci to przynoszę.

- Co to jest?
- Zobacz. Trzecia strona, na dole.
- Wypadki?
- Drugi od dołu.

„Wczoraj o godzinie 23.40 na obwodnicy miejskiej ciężarówka firmy transportowej DXT najechała na prywatny samochód, kierowany przez inżyniera Jona Fenara. Kierowca samochodu oraz pasażerka, Elen Sana, ponieśli śmierć na miejscu”.

lipiec 1983

## NOTATNIK (VI)

Czytałem dawniej książki, ale literatura umarła, kiedy wymyślono kasety. Twórca przez wiele miesięcy układał na taśmie przeróżne uczucia i przeżycia. Potem, żeby się wzruszyć, wystarczyło tylko włożyć na głowę metalową obręcz i nacisnąć przycisk — Nikt nie może tak dobrze jak ja zdawać sobie sprawy z całego bogactwa doznań nagrywanych na kasetach. Dzień w dzień siedziałem osiem godzin z obręczą na głowie i plikiem instrukcji, usuwając z kaset bezsilność, zniechęcenie, gniew i inne zakazane uczucia, zanim skierowano taśmę do produkcji. Potem naukowcy stwierdzili, że korzystanie z kaset powoduje systematyczne obniżanie inteligencji. W ciągu dwóch lat mój IQ spadł o dwadzieścia punktów. Wystąpiłem o odszkodowanie, chodziłem po urzędach, biurach, sądach — wszędzie mówiono, że uszczerbki na zdrowiu nie przeszkadzają mi w pełnieniu obowiązków służbowych, i że nie należy mi się nawet cent.

## Hellas III

Mars nie był tym miejscem, którego szukałem. Nigdzie nie ma tego miejsca, ale to wiem dopiero teraz. Wtedy zdawało mi się, że znalazłem wreszcie spokojny port. Tylko powoli narastał niepokój, że już zbyt długo nie muszę się ukrywać ani uciekać, że coś w końcu przerwie tę sielankę.

Czasem urywałem się na kosmodrom popatrzeć na przyjezdnych i każda taka wyprawa dawała mi sporo do myślenia. Metropolia rodziła się na moich oczach i rosła szybko. Przez rok przychodziły codziennie dwa — trzy duże transportowce. Wtedy, gdy tam przybyłem, była to tylko kupa rozrytego piachu, zatopiona pod polem siłowym w ogromnym bąblu powietrza. Nazywała się osiedle Hellas — III. Nazwę Uniontown wymyślono dopiero potem, już pod koniec mojego pobytu na Marsie, mniej więcej na parę dni przed wydarzeniami, które chcę opisać.

Dziwna rzecz, ale zawiodło mnie wtedy przecucie. Stałem przy oknie i myślałem, że kroi się następny nudny dzień, kiedy nic się nie może zdarzyć. Dokładnie tak sobie pomyślałem, a chwilę potem wpadł do pokoju Bert. Trzasnął drzwiami, puścił mimo uszu wiąchę obudzonego zniecka Pabla i wcisnął mi do ręki poranne wydanie „Martian Journal”.

— Patrz — powiedział wskazując ogromny tytuł:

## ŚMIERTELNE NIEBEZPIECZEŃSTWO NAD HELLASEM III — CZY PROWOKACJA?

Podniosłem wzrok. Bert był wyraźnie spanikowany.

— Czytaj.

„Dziś o godzinie trzeciej trzydzieści dwa niezidentyfikowany osobnik, podający się za przedstawiciela osławionej organizacji terrorystycznej Czarne Skrzydła, poinformował telefonicznie naszą redakcję o kolejnym zaplanowanym przez bojówkarzy zamachu.



Rozmówca nasz zagroził wysadzeniem południowej elektrowni w wypadku niespełnienia żądań wysuniętych przez Czarne Skrzydła przed tygodniem. Stwierdził również, że elektrownia jest już zaminowana i nic nie powstrzyma terrorystów, jeżeli zdecydują się ją wysadzić.

Przypominamy, że terroryści żądają uwolnienia swych bojówkarzy, zatrzymanych ostatnio w Stanach Zjednoczonych Europy Zachodniej, wstrzymania kolonizacji Marsa oraz zaprzestania produkcji sprzętu driggerowskiego i zniszczenia wytwarzających go fabryk.”

Przeczytałem do końca i oddawszy Bertowi gazetę wróciłem do sznurowania butów.

— No i co o tym sądzisz?

— A co mam sądzić? — Wzruszyłem ramionami, dopinając koszulę. — Jeżeli nawet to prawda, nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Idziemy na śniadanie.

— Pośpiesz się — rzuciłem do Pabla — jest za dwadzieścia.

— Nie wygłupiaj się, John — Bert nie ustępował. — Znasz się przecież na tym. Myślisz, że wazyliby się na coś takiego?

Pablo dogonił nas przy windzie.

— Bzdura — powiedział oddając Bertowi gazetę. — Pracowałem kiedyś w elektrowni. Jest nie do wysadzenia.

— Tak sądzisz? John?

— Nic nie sądzę. Jak znam Czarne Skrzydła, nie cofnęliby się przed niczym, ale Pablo ma rację, elektrowni nie da się tak łatwo wysadzić. W każdym razie nie przeżywaj tak tego. Poczekamy, zobaczymy, może coś się wyjaśni.

— Łatwo ci mówić. — Bert wyciągnął z kieszeni papierosa. — Nie rozumiem, czego te skurwysyny chcą. Niech sobie porywają polityków, ale dlaczego się czepiają porządnym ludzi? Co im na przykład zawiniły driggery?

— Nie wiem! Przestań gadać, zobaczymy. I nie pal na czczo. — Winda zatrzymała się, wyszliśmy. W korytarzu obok stołówki stała budka z papierosami i z gazetami.

— „Journal”. — Rzuciłem na ladę monetę. — Spojrzałem przelotnie na pierwszą stronę:

## ZA KILKA LAT DRIGGER W KAŻDYM DOMU!

Machinalnie przerzuciłem cały numer. Nigdzie nie było ani słowa o Czarnych Skrzydłach. Odciągnąłem Berta na bok. Obie gazety były identyczne, miały ten sam numer, datę. Jedynie pierwszą stronę złożono inaczej.

— Nic nie rozumiem — stwierdził Bert.

— Gdzie kupiłeś ten numer?

— Na mieście, koło supermarketów.

— Teraz?

— Nie, gdzieś tak... z godzinę temu. — Nerwowo podrapał się po twarzy. — Wraciałem tamtędy od Annie, w czwartki zawsze drukują plakaty, chciałem zobaczyć, co jest tym razem.

Dopiero teraz zauważyłem, że Bert ma czerwone z niewyspania oczy.

— Hej! Za dziesięć — krzyknął na nas od drzwi Pablo pokazując zegarek. Przepchnęliśmy się do stołówki.

— Cholera, znowu to zielone gówno. Mogliby wreszcie sprowadzić jakieś uczciwe jedzenie.

— Sprowadzili — zaśmiał się Pablo biorąc talerz. — Ale nie dla nas. Jak dobrze posolić, daje się zjeść. Cześć, O'Hara! — krzyknął w kierunku stołów. — Tam jest wolne?

Przysiadamy się!

Jedliśmy w pośpiechu. Dopiero wtedy, w stołówce, zacząłem się nad tą sprawą zastanawiać. Myślałem o tym, chociaż i tak nic się nie dało zrobić. Ale jeżeli zrzucili z drugiego wydania całą kolumnę, to coś w tym było.

O'Hara spokojnie przeczytał kawałek o terrorystach, nie pokazując po sobie, że go to wszystko cokolwiek interesuje. Natomiast Bert nie potrafił zmienić tematu. Ta kupiona przeze mnie gazeta nie dawała mu spokoju.

— Bali się paniki — wyjaśniłem mu wreszcie. — Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby wszyscy chcieli nagle opuścić miasto? W ogóle ci idioci nie powinni byli nic pisać.

— Jak to? Więc ludzie mogliby nic nie wiedzieć aż do samego wybuchu?

— A po co? — zaśmiałem się. Bert bywał czasami rozbrajający. O'Hara skrzywił tylko wargi. W głośnikach rozległ się przenikliwy dźwięk, sygnał, że przed wieżowcem czekają już transportery dowożące nas do miejsca robót.

Jazda do Galileusza trwała dobre dwadzieścia minut, podczas których Bert gadał bez przerwy. Wkurzył mnie w końcu, bo nie pozwalało mi to skupić myśli. Kiedy kazałem mu się zamknąć, spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem i poszedł opowiadać o terrorystach komuś innemu.

Bert to ciekawy facet, choć jeszcze gówniarz, dopiero co skończył dziewiętnaście lat. To trochę śmieszne, że tak o nim piszę, sam miałem wtedy dwadzieścia trzy, ale Bert po prostu zachowywał się jak szczeniak. Zbierał plakaty, biegał za dziewczynami, chwalił się, ile to potrafi wypić (w gruncie rzeczy spijał się zawsze śmiesznie małą ilością). Nie dziwię się, że taki był. Trafili mu się bogaci rodzice i nigdy nie miał większych zmartwień niż to, że dziewczyna go rzuciła. Miał zostać architektem i objąć firmę po starym. Bert jednak, jak sam się chwalił, wpadł w „złe towarzystwo”, spakował manatki i bez słowa pożegnania wyjechał na Marsa. Był z tego bardzo dumny.

Należał do ludzi poszukujących jakiegoś wzorca, autorytetu, kogoś, kogo mógłby szanować i naśladować. Zdaje mi się, że właśnie ja byłem dla niego kimś takim. Łaził za mną, pytał, opowiadał, chodził do tych samych barów. W zasadzie go lubiłem, doprowadzał mnie tylko do wściekłości pogardliwym głędzeniem o swoim mieszczańskim domu i o dzieciństwie.

Wjechaliśmy w krater Galileusza i aż do końca pracy nie rozmawialiśmy ze sobą. Pracując w Astimacu nie ma się czasu na gadanie. Wystarczy chwila nieuwagi, żeby koparkę przysypało kilkaset ton piasku. Ryliśmy w kraterze długie, kręte korytarze sięgające kilkudziesięciu kilometrów w głąb planety. Powiedzieli nam, że będzie to ośrodek naukowy, chociaż niektórzy twierdzili, że budujemy bazę wojskową. Całkiem możliwe. Jak na ośrodek naukowy było to wszystko zbyt tajemnicze. Każdy znał tylko ten kawałek, który sam robił, i nawet plany tych fragmentów nie mogły być wynoszone poza budowę. Kilkakrotnie rewidowali nas przy wyjściu.

\* \* \*

Po czterech godzinach przysługiwała mi piętnastominutowa przerwa. Włączyłem telewizor. „...po przebyciu tej czwartej już z kolei kontroli potencjalny zamachowiec musiałby przenieść materiał wybuchowy w okolice reaktora, w innym bowiem miejscu nawet silna eksplozja nie byłaby w stanie poważnie uszkodzić elektrowni. Okolice reaktora mamy tu oznaczone kolorem czerwonym. Przy wejściu do tego sektora każdy zostaje poddany szczegółowej rewizji.”

Na ekranie pokazano plan elektrowni południowej, przy którym stał jakiś facet ze wskaźnikiem, ubrany w elegancki szary garnitur.

— No dobrze, a możliwość podkopania się? — zapytał prezydent. Facet podszedł do innego szkicu.

— Również jest to absolutnie niemożliwe. Po pierwsze, elektrownia zbudowana jest na skale, po drugie, widoczne tu detektory wykryją każde, najdrobniejsze nawet drżenie podłoża do kilkudziesięciu kilometrów pod miastem...

— Aha — powiedziałem. — Krótko mówiąc, twierdzicie, że to błąd?

— Naturalnie. — Na ekranie ukazał się jakiś mundurowy. — Blef obliczony na wywołanie paniki wśród mieszkańców.

Wiedziałem dobrze, że Czarne Skrzydła nigdy nie blefują, ale dyskusja z telewizorem jest zajęciem bezsensownym. Nacisnąłem wyłącznik i wyjąłem z podajnika kubek coli.

\* \* \*

Skończyłem swój wykop o szesnastej z minutami. Wyjechałem na górę i rozsiadłem się w transporterze czekając, aż wszyscy wyjdą i podbiją karty.

— To jednak musi być bzdura — usłyszałem obok siebie głos Berta. Otworzyłem oczy. — Przecież jakby to zrobili, to ich też by szlag trafił. Ale się dałem nabrać.

Zapalił. Bert sądził, że Czarne Skrzydła to coś w rodzaju gangsterów. Znowu zamknąłem oczy.

— Idziemy dziś do „Lwa”, co?

— Mogę iść.

— Musisz. Obiecałem Helen, chce cię koniecznie poznać. Opowiadałem jej o tobie. Fajna jest...

— Może się zawieść, lubisz przesadzać. A poza tym spać mi się chce. Nie mam nastroju do zabawy.

— Nie żartuj. Przecież nie będziesz spać.

Musiałem przerwać na chwilę pisanie i zrobić obchód. Teraz przeczytałem to wszystko i nie wiem dlaczego, ale nie jest to dokładnie tak, jak naprawdę było. Wygląda, jakbym rozmawiał tylko z Bertem i z Pablem, a przecież było tam mnóstwo ludzi, wszystkich znałem, z każdym zamieniałem codziennie kilka słów. Poza tym trochę mi się mieszają poszczególne rozmowy, nie pamiętam, co kiedy mówiłem, i wszystko to jakieś nieskładne... Nie wiem, pamięć już mnie trochę zawodzi i nigdy nie uczyłem się pisać.

Po drodze widziałem na ulicy kilka policyjnych patroli. Pokazywały się czasem, ale nigdy przedtem szóstkami. Włączyli się znudzeni, któryś kopał po chodniku jakiś kawał izolacji. W powietrzu coś wisiało. Nie mówiłem nic, zjadłem obiad i poszedłem do siebie, ale nie mogłem zasnąć. Nie bałem się tego, że Black Wings coś odpała. Obawiałem się, że może się zacząć szukanie ich współników.

Nigdy nie byłem związany z Czarnymi Skrzydłami, ale znałem wielu ludzi, którzy tam potem poszli. Swego czasu przymknęli mnie pod zarzutem udziału w jednej z ich akcji. Nie mieli żadnych dowodów, skopali mnie i wypuścili, ale kto wie, czy został ślad w jakiejś kartotece. Mogło się znowu zacząć ciągnięcie po posterunkach, światło w oczy, pytania... Cholera.

Gdzieś w korytarzu zaskrzypiały drzwi, zahuczały echem podkute buciory. Usiadłem na pryczy.

— Leż — powiedział współwięzień nie poruszając się. — To nie do nas.

— Wiem — powiedziałem. Oparłem głowę na łokciach i nagle zacząłem płakać. Kapral podniósł się i podszedł do mnie, objął mnie ramieniem.

— Ile ty masz właściwie lat, mały? — patrzył na mnie troskliwie wąskimi szparkami świecącymi w zmasakrowanej twarzy.

— Szesnaście — wydusiłem z siebie wreszcie — prawie siedemnaście.

— Nie bój się, mały. Do bicia też się można przyzwycząić. Wszyscy wytrzymują.

— Pierdol się! — krzyknąłem histerycznie, tłukąc się pięściami w kolana. — Wcale się nie boję! — Zwiesiłem głowę. — Tak mi się jakoś zebrało...

Rozległ się zgrzyt klucza i drzwi celi otworzyły się z łoskotem. Przyszli po mnie.

— Hej, John! Spisz?  
Otworzyłem oczy i zaraz zmrużyłem je od światła.  
— Wstawaj, jest wpół do ósmej. Idziemy! — nade mną stał Pablo.  
— Gdzie znowu?  
— Do „Złotego Lwa”, nie pamiętasz? Obudź się.  
— A, prawda. — Podniosłem się powoli. Obmyłem twarz zimną wodą. Trzask drzwi.  
— No, co jest? — Ben ubrany był w obcisłe, tęczowe spodnie, postrzępioną trykotową koszulkę i czarną skórę nabijaną ćwiekami.  
— Poczekaj chwilę. — Wyszedłem z łazienki wycierając twarz. Zacząłem wciągać buty. — Spać mi się chce.  
— Rozruszasz się...  
Wyszliśmy z pokoju.  
— Pół miasta chodzi na rzęsach, a temu się chce spać. Ty wiesz, jaka jest psychoza? Co pół godziny nawołują do spokoju, wstrzymali wszystkie odloty.  
Winda, hali, parking, samochód Berta. Trzask drzwiczek.  
— Nudzi mnie to wszystko.  
— Co?  
— Terrorysty i tacy różni — powiedziałem.  
Chwila milczenia.  
— Zobacz, co sobie kupiłem. — Bert sięgnął prawą ręką do kieszeni i wyjął z niej czarne pudełeczko.  
— Drigger?  
— Najnowszy model, od dwóch dni w sprzedaży.  
— Wiesz, że mają skasować ręczne sterowanie w astimacach i zastąpić je psychopolem?  
— Tak, słyszałem. I w samolotach, w ogóle we wszystkim.  
Zatrzymaliśmy się pod klubem, z którego dochodziła przytłumiona muzyka. Drzwi otworzyły się przed nami same (Bert spojrzał w moją stronę z uśmiechem i klepnął się po kieszeni). Dziewczyn jeszcze nie było. — Zawsze muszą się spóźniać — mruknął pod nosem. Muzyka płynęła na razie z taśmy magnetofonowej, na małej estradzie leżały na kolumnach gitary, z tyłu stała perkusja. Usiedliśmy przy stoliku w kącie, po przeciwległej stronie baru. Bert przyniósł stamtąd dwie butelki i kieliszki.  
— No, panowie, koniec zmartwień na dziś — powiedział. Jedna z butelek uniosła się, napelnione kieliszki podleciały nam do rąk. Ben cieszył się jak głupi.  
— Nasze — powiedział Pablo pijąc.  
— Żeby był spokój — wznosił toast Bert.  
Ja wypilem w milczeniu. W połowie drugiej butelki, gdy Bert zaczynał już wchodzić na orbitę, przyszła Annie z dziewczynami. Przywitaliśmy się.  
— Aha, więc to jest ten tajemniczy człowiek — powiedziała niewysoka brunetka o sympatycznej buzi, wyciągając do mnie rękę. — Cześć. Jestem Helen.  
— To ja. Cześć. — Na stole przybyło butelek.  
— Może byś się do mnie odezwał — powiedziała po jakichś dziesięciu minutach.  
— Nie przejmuj się — rzekł Pablo. — On tak zawsze. Trzeba go trochę rozruszać. Polej, Bert.  
— Spróbuję — uśmiechnęła się.  
Skinąłem głową i powiedziałem coś bez sensu, niosąc kieliszek do ust. Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie rozległ się potworny ryk gitary.  
— Cześć! Witajcie w naszym przytułku dla samotnych i spragnionych! Mam nadzieję, że nie będziemy się dziś nudzić. Zaczynamy od sławnego przeboju zespołu „Jet Sparks” pod tytułem „Big Jet Joe”!

— Możemy zatańczyć — powiedziałem do Helen. — Jeśli masz ochotę. Oni chyba nieźle bawią się bez nas.

— Dobrze. — Kiedy się uśmiechała, wyglądała bardzo ładnie. — Zatańczmy.

Podaliśmy jej rękę i zaprowadziłem na parkiet.

— Nad czym się ciągle tak zastanawiasz?

— Jak zacząć rozmowę. Co Bert ci o mnie naopowiadał?

— Nie bój się, nic złego. Malował cię bardzo interesująco.

— Zawiodłaś się?

— Usiłujesz być tajemniczy.

— Dziękuję. — Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Zaczęła mnie nudzić ta rozmowa i suszenie zębów. — Dobrze tańczysz.

— Dziękuję. Chyba nie masz zbyt wielkiej wprawy w podrywaniu?

— Chyba nie.

— Szkoda. Chciałabym, aby poderwał mnie ktoś tak tajemniczy. Co? Nie wyglądasz na zachwyconego tą myślą.

— Dlaczego? Nie mam nic przeciwko temu.

— Mówisz to bez entuzjazmu. — Muzyka się skończyła. — Zatańczymy jeszcze raz?

Tym razem szła wolna, bluesowa melodia. Kołysaliśmy się lekko, przytuleni do siebie. Pomyślałem, że gdybym mocniej napiął mięśnie, mógłbym połamać jej zębra i to mi się w niej najbardziej spodobało.

— Mógłbyś mnie przynajmniej pocałować.

— Wszystko we właściwym czasie — powiedziałem, ale pocałowałem ją. Milczeliśmy. Przetańczyliśmy jeszcze parę minut i wróciliśmy do stolika.

— Napiłabym się czegoś — powiedziała Helen, patrząc rzewnie na puste butelki.

— Poczekajcie chwilę, przyniosę coś.

Wziąłem wino i butelkę wódki. Odchodziłem właśnie od baru, gdy ktoś mnie pociągnął za łokieć, mówiąc: — Chodź na chwilę, John. — Machinalnie usiadłem koło nieznanego.

— O co chodzi?

— Nie poznajesz mnie? Fakt, dawno się nie widzieliśmy.

Poczułem, że oblewa mnie fala gorąca.

— Dobrze. Rozmawiam teraz z tobą prywatnie. Chcę ci pomóc, rozumiesz? — Zgasił skierowaną w moje oczy lampę. — Czy ty w ogóle, szczeniaku, zdajesz sobie sprawę, w co się wpakowałeś? Tylko nie pieprz mi tu tych swoich sloganów. Wbili ci je do łba, a ty powtarzasz. W ten sposób niczego się nie da załatwić. Spróbuj sam przez chwilę pomyśleć.

Oczy przyzwyczały się do półmroku. Twarz, którą przed sobą zobaczyłem, nie była twarzą potwora. Była to twarz zmęczonego człowieka.

— Milczysz? Zabrakło ci argumentów?

— ...

Podniósł się, zdjął coś z półki i rzucił na biurko.

— Wiesz, co to jest? — Pokazywał jeden papier za drugim. — Meldunek o rozbiciu oddziałów północnego i wschodniego. A to o egzekucji pułkownika i całego jego sztabu. To informacja o rozstrzelaniu wszystkich członków tych oddziałów. To o wykryciu i zniszczeniu waszej radiostacji. Widzisz?

— ...

— Żal mi cię, dzieciaku. Dałeś się wplątać w coś, czego jeszcze długo nie zrozumiesz. Dałeś się oszukać, wiem, że mi nie uwierzysz, ale taka jest prawda. Teraz ten twój upór już zupełnie nie ma sensu. Jesteście rozbici, bez szans, najważniejsi uciekli za granicę, a takich ja ty powiesimy. Zawsze tylko tacy jak ty dostają po łbie.

Podsunał mi papierosa. Zapaliłem.

— Czego chcesz?

— Uratować cię od stryczka. Po prostu żal mi gówniarza.

— Pieprzę twoją łaskę.

— Nic za darmo. Podpiszesz zeznanie obciążające ludzi z kierownictwa twego oddziału. To formalność, bo oni i tak będą wisieć. Potem pozwolimy ci uciec za granicę i rób tam sobie, co chcesz. Oficjalnie masz już wyrok śmierci.

— Nie.

Zaśmiał się.

— I po co? Po co? Czy myślisz, że nie wiem, że prezydent to skurwysyn, że ministrowie to banda idiotów, że kiedy wy zdychacie z głodu, oni zdychają z przejedzenia. Wiem dużo lepiej, bo widzę to codziennie na własne oczy i z bliska. Wiem też, że zginiesz za innego skurwysyna, który chciałby zająć miejsce tamtego i też się obżerać. Słuchaj! A ja chcę, żebyś dożył wieku, w którym będziesz mógł się nad tym wszystkim zastanowić. Podpisujesz?

— Nie.

— Szkoda. Niepotrzebnie traciłem czas...

Ta rozmowa wydaje się bardzo długa, ale dla mnie to był moment. Przemknęło mi to wszystko przez głowę w ułamku sekundy. Zamoczyłem usta w jakimś soku. Łomot w uszach. Lśniący bar. Szklanka.

— Czego chcesz?

Powoli wydmuchiwał dym papierosa.

— Zaskoczyłeś mnie — powiedział wreszcie — byłem pewien, że najdalej w miesiąc po ucieczce, jak dojdiesz do siebie i zrozumiesz, na co się zgodziłeś, strzelisz sobie w łeb.

— Próbowałem. Jak mnie znalazłeś.

— W policyjnych kartotekach nic nie ginie, nawet jeśli się często zmienia nazwisko. Tak... Ale dobrze, że okazałeś się twardszy, niż myślałem.

Milczałem.

— Nie bój się, ja też opuściłem kraj niedługo po tobie. Siedź! Zawodu nie zmieniłem. Czytałeś poranne wydania gazet? Oglądałeś telewizję?

— Chodzi ci o ten kawał z terrorystami?

— To nie jest żaden kawał. Przykro mi, że psuję ci zabawę, odbijesz to sobie kiedy indziej. Masz piętnaście minut, żeby się z nimi pożegnać. Na parkingu przed wyjściem stoi biały samochód. Czekamy na ciebie.

— Nie mam z tym nic wspólnego. Pracuję w Areoconstrukcie i dobrze się prowadzę. Możesz to sprawdzić.

— Wiem. A dlaczego nie przyjąłeś oferty Centrum Lotów Kosmicznych? Więcej płacili. — Wzruszyłem ramionami. Oni zawsze wszystko wiedzą. — Piętnaście minut — powtórzył i zniknął w tłumie. Chwilę siedziałem bez ruchu, wreszcie zgarnąłem swoje butelki i wróciłem do stolika.

— No... jesteś wreszcie, gdzieś się szwendał? — Pablo też już był z lekka wlany. Bert w ogóle się nie odzywał szepcząc coś do ucha siedzącej mu na kolanach Annie. Usiadłem obok Helen. Wyglądała na wściekłą.

— Daj papierosa.

Pablo pstryknął mi paczkę po stole. Rozmawiał o czymś z Helen i tą trzecią dziewczyną, nie pamiętam jej imienia. Paliłem w milczeniu, nie podnosząc wzroku. Uciekać? Którędy, nie znałem rozkładu klubu, zresztą Besmof mógł o tym pomyśleć. Patrzyłem na zegarek.

— Przepraszam was. — Podniosłem się nagle. — Muszę już iść.

— Co ty... John, nie wygłupiaj się...

— Przykro mi. Muszę. Cześć. — Odwróciłem się i odszedłem szybko. Pablo dogonił mnie jeszcze w drzwiach.

— Czy ty...

— Zostaw mnie! — Powiedziałem to takim tonem, że odczepił się natychmiast. Wyszedłem z knajpy, podszedłem do białego wozu. Trzask drzwiczek.

\* \* \*

Typowy pokój przesłuchań. Kraty w oknie, biurko, lampa, mnóstwo dymu. Ponury półmrok. Besmof usiadł na biurku, do jego ust podleciały papieros i zapalniczka.

— Nie chciałbym rozpamiętywać teraz z tobą starych dziejów. Rozumiem, że masz do mnie o to żal. Nie mówiłem ci prawdy, nie wiedziałeś, co podpisujesz. Ale w końcu tylko mnie zawdzięczasz życie. Zresztą mniejsza z tym. Musisz nam trochę pomóc. Przypominam, że wyrok śmierci nie ulega przedawnieniu. A nawet gdyby nie doszło do deportacji, masz na koncie siedem zamachów na dyplomatów swego kraju, w trzech byłeś pierwszym wykonawcą, masz oprócz tego na sumieniu co najmniej czterech funkcjonariuszy ochrony...

— Czego chcesz?

Podniósł się z biurka i zaczął chodzić po pokoju.

— Czarne Skrzydła chcą wysadzić południową elektrownię, co równałoby się zniszczeniu miasta. Wiemy, gdzie znajduje się grupa mająca odpalić ładunki wybuchowe. Dostaniesz się do ich kryjówki i uniemożliwisz im to, zanim wkroczymy. Zostaniesz bohaterem.

— Dlaczego akurat ja?

— Z pewnych względów jesteś niezastąpiony. Wystarczy, że uniemożliwisz im zdetonowanie ładunków, zanim ich nie obezwładnimy. Proste?

Odwrocił się plecami i zrobił kilka kroków.

— Ale to tylko wersja dla prasy — rzekł odwracając się ponownie. — W tej roli akurat nie jesteś tam potrzebny. Chodzi o coś innego. Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy oskarżyć kogoś o współpracę z Czarnymi Skrzydłami, kogoś ważnego, bardzo ważnego... a przy tym żyjącego z łaski tłumów. Nic mu nie udowodniać, po prostu go oskarżyć. Chodzi właśnie o to, żeby jednego człowieka zgnoić. Podrzucisz terrorystom kilka papierów, które przy nich znajdziemy. I to wszystko. Zostaniesz bohaterem i oczywiście nic nikomu nie powiesz, bo nie chcesz wrócić...

— Może będę chciał. Tam jest moje miejsce. Ale tak czy owak, oni powiedzą.

— Oni nic nie powiedzą. Mówię przecież wyraźnie, że uniemożliwisz im zdetonowanie bomby, to znaczy zabijesz ich. Inaczej oni zabiją ciebie, co — wzruszył ramionami — wychodzi na jedno. Okażesz się terrorystą, znajdziemy przy tobie te papiery.

Sięgnął po następnego papierosa.

— Cała ta sprawa jest tylko prywatną umową między nami. — Otworzył biurko i wyjął z niego wielkokalibrowy pistolet z tworzyw sztucznych i spieków, ulubioną broń terrorystów i bojowców różnego rodzaju organizacji. — Masz.

— Kogo — wziąłem bezwiednie pistolet i obracałem go w ręku — kogo mam ci pomóc zgnoić?

— Nie wiem. — (Długa cisza.) — Czemu się dziwisz? Po prostu nie wiem. Mam swoich przełożonych i wykonuję ich rozkazy. Wcale nie muszę wiedzieć, jaki jest ostateczny cel tego, co muszę robić.

— Musisz...

Usiadł w fotelu naprzeciwko mnie, zakładając nogi na biurko.

— Wszyscy musimy. Tylko ja sobie z tego zdaję sprawę i ani myślę walczyć z porządkiem świata. Dzięki temu nie mam nerwicy i nie muszę zmieniać nazwiska. Nie ma o czym dyskutować.

— Nie dostałem amunicji.

— Dostaniesz dopiero przed akcją. Mógłbyś niechcący wystrzelić.

\* \* \*

Milczeliśmy. Dym snuł się po pokoju, kłębił się pod zyrandolem. Po długim czasie Besmof odezwał się nagle.

— W sumie jesteś dla mnie kimś w rodzaju syna. Uratowałem ci życie, no, z twojego punktu widzenia również ci je zmarnowałem. To była jedyna w miarę samodzielna akcja w moim życiu. Kazali mi zdobyć czyjś podpis pod tym zeznaniem, ale potem musiałem się długo tłumaczyć z twojej ucieczki. Chciałem po prostu, żebyś przeżył. Chciałem zobaczyć, co będzie dalej z takim dzieciakiem, tak... wierzącym, to nie jest dobre słowo, ale tak to nazwę: wierzącym. Kiedyś tak sobie podzieliłem ludzi na cyników i wierzących. Imponowałeś mi, że byłeś taki gorący.

Było mi potwornie duszno. Otworzyłem usta, żeby powiedzieć: „otwórz okno”, w tym momencie otworzyło się samo.

— Jestem już w wieku, kiedy czas podsumować swe życie, zastanowić się nad nim... też to kiedyś będziesz robił, (właśnie teraz, pisząc, usiłuję to zrobić) Nie chcę, żebyś mnie nienawidził. Pamiętasz tego kaprała, który siedział z tobą w celi? Tłukliśmy go na zmianę prawie całą noc. Nad ranem powiedział do mnie „bracie”. Boże, to było takie naiwne, ale...

— Po prostu jestem tym wszystkim znużony, nawet nienawidzić mi się już nie chce. — Uniosłem głowę. — Naciągasz mnie na zwierzenia? Stary numer...

— Tym razem nie w celach służbowych... Chciałeś uciec? Wszyscy, co tu przylecieli, chcieli przed czymś uciec... — Zamyślił się. — Nic z tego nie będzie. — (Znów cisza.) — Jestem chory, Robert. Nie pociągnę długo, dwa–trzy miesiące, góra. Nie, nie chcę ci się spowiadać ani usprawiedliwiać się, i tak mi nie uwierzysz, zresztą masz rację, tyle kłamałem, że sam już nie wiem... Żyliśmy zupełnie inaczej. Przyszło nam żyć w miejscu, gdzie świat naciskał dużo mocniej niż gdzie indziej. Robiłem, co mi kazano, nie miałem nieprzyjemności. A ty się biłeś. Kiedyś uważałem ludzi twojego pokroju za półgłówków. Teraz jestem już za stary, żeby wymyślić jakiś sposób na życie. Ono jest za mocne dla ludzi, i z roku na rok ciśnienie wzrasta. Nie do wytrzymania. Parszywe czasy. W tych ścianach są kable, ktoś zna wszystkie moje myśli i tych, co tu są. Wszystko jedno, i tak się nie zbuntuję, jestem w tym za głęboko, zmiażdżyłoby mnie w jednej chwili.

Siedziałem z głową opartą na fotelu. Kraty w oknie, biurko, lampa, dym, ponury półmrok. Długo to trwało. Mówił jeszcze trochę, potem siedzieliśmy w milczeniu. Ja wiedziałem swoje, on swoje. To dziwne, ale po tej rozmowie poczułem do niego jakby cień sympatii, nie, raczej współczucia. Zresztą okazało się, że mówił prawdę, umarł miesiąc potem.

W każdym razie te kilka godzin było jakby wyrwane ze wszystkiego, co się wokół działo. W tym czasie w mieście nie spały tysiące ludzi, pracowały radiostacje, podsłuchy, namiary, a w zadymionym pokoju przesłuchań czas jakby się zatrzymał.

Muszę zrobić następny obchód.

\* \* \*

Pistolet miałem po prostu wsadzony za pasek. Stara szkoła. Ostrożnie, powoli schodziłem do piwnicy wielkiego bloku mieszkalnego przy 64 Ulicy. W końcu znalazłem się w zimnym, ocementowanym korytarzu. Co kilkanaście metrów u sufitu mdło jarzyła się okratowana lampa. W ciszy słychać było tylko szum wody płynącej rurami, trzaskanie liczników elektryczności i kroki — moje i kogoś, kto szedł za mną. Znalazłem wreszcie schodki na poziom konserwacyjny, zszedłem kilka stopni. Usłyszałem za sobą szelest stóp. Odruchowo wtuliłem głowę między ramiona.



Ocknąłem się na czymś twardym. Ból głowy, pulsowanie powietrza. Chciało mi się wymiotować. Nie ruszałem się.

— Uspokój się, Hax. Nie ucieknie. Poczekamy na Davida.

— Należałoby go zrewidować.

— Zostaw. Pilnuj ekranu.

„W porządku?” — Szept Besmofa w uchu. Bezgłośnie poruszyłem ustami: „tak”. Musieli to dostrzec i polali mnie wodą. Otworzyłem oczy.

— Nie ruszaj się. — Nade mną stał wysoki barczysty chłopak o inteligentnej twarzy. Zacięte wargi, zmęczony wzrok. W rękach wycelowany we mnie automat. Spróbowałem się rozejrzeć nie podnosząc głowy. Mała, brudna salka, cementowe ściany, żarówki pod sufitem. Pod ścianami jakieś skrzynki, kable, narzędzia, puste puszki. Dziwna aparatura, pulpit z wieloma przyciskami, dwa ekrany.

— Czego tu szukałeś?

Szept w uchu: „Spytaj o Davida”.

— Gdzie jest David?

— A co ty od niego chcesz?

— Nie twoja sprawa. — Zamilkł. Oglądał mój paszport. Podniosłem się ociężale.

— Nie ruszaj się.

— Odpieprz się — jęknąłem.

— Okay. — Opuścił lufę automatu. — Poczekamy na Davida.

Usiadł na skrzynce, przyglądając się uważnie, jak rozcierałem sobie głowę.

— Dajcie coś do picia.

— Siedź cicho — rzucił facet przy pulpicie. Z braku lepszego zajęcia zacząłem przyglądać się ekranom, na których przesuwiał się identyczny obraz: długi, ponury korytarz. Trzeci z terrorystów stał oparty o ścianę i od czasu do czasu odłupywał obcasem kawałki cementu. Z twarzy trochę był podobny do Berta.

Usłyszałem kroki, małe drzwiczki otworzyły się ze zgrzytem i wszedł ktoś niewysoki, ostrzyżony na jeża, z blizną na twarzy. Nie poznałem go w pierwszej chwili, on mnie też.

— Co? Jeszcze się z nim nie załatwiliście?

— Mówił, że...

Podszedł do mnie energicznie i pochylił się, chcąc chwycić mnie za koszulę. Zastygł nagle z wyciągniętą w moją stronę ręką.

— Robert...?

— Sean!

— Robert! Boże kochany, co ty tu robisz! — Ścisnął mnie mocno. — Myślałem, że dawno już cię zatłukli.

— Zmieniałem adresy. Skąd ta blizna?

— Nauczka. Cholera, w takiej chwili... Nie cieszysz się?

— Cieszę się. — Znałem Seana na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że każdego innego kazałby natychmiast zatłuc. To były te „pewne względy”, o których mówił Besmof.

— Może nie powinieneś. Niedługo będzie po nas.

Odszedł kilka kroków.

— Rozwalamy południową elektrownię. — Nagle jakby przypomniał sobie o kolegach. — Co się gapiacie? Pilnuj pulpitu, Hax.

— Zabrali mi pistolet i dokumenty. I chce mi się pić.

Sean skinął głową. Pistolet wrócił za pasek. Piłem długo, drobnymi łykami, to był dobry pretekst, żeby nie podnosić oczu.

— Rozwalamy południową elektrownię — powtórzył.

— Słyszałem. Po co?

— O Boże! A po co w dzieciństwie biegaliśmy między oddziałami?

— To było co innego. A pomyśleliście o jakimś sposobie ucieczki stąd?

— Nie. Zostajemy tu. Widzisz, rozwalamy elektrownię, żeby szlag trafił miasto, bo nie chcemy ludzi na Marsie. Przynajmniej do momentu, aż będzie spokój na Ziemi. — Otworzyłem usta. — Poczekaj! Nie mów mi, że tu przylatują ci, którym na Ziemi było źle, że oni tu zrobią nowy, piękny świat. Słyszałem to wiele razy. A ci wszyscy z Ghostrexu? A sześciotysięczna policja? A baza wojskowa budowana w Galileuszu?

Sean nabrał głęboko powietrza. Zawsze się łatwo zapalał. Pozostali siedzieli nieruchomo, jeden (ten podobny do Berta) ziewał.

— Od dawna jesteś w Czarnych Skrzydłach?

— Dwa lata. Widzisz, wydawało nam się, że gdzie indziej jest lepiej... a tu wszędzie to samo, tyle że bez pacyfikacji i plutonów egzekucyjnych.

— Co?

— Nie udawaj idioty! Chociażby driggery.

— Naprawdę nie wiem. — Wstałem i oparłem się o ścianę. Rozmowa zaczynała mnie ponosić. — Czego wy chcecie od driggerów?

— Wiesz, do czego one służą?

— Do niczego. Żeby drzwi się otwierały same, papieros sam podlatywał do gęby, jak się tylko pomyśli. Taka zabawka dla bogatych.

— Dla wszystkich, są coraz tańsze, mają ogromną reklamę finansowaną przez rządy.

— Po prostu biznes.

— Wiesz, jak to działa?

Wzruszyłem ramionami.

— Wzmacniają psychopole, czy jak to się nazywa.

— Przede wszystkim czytają ci w myślach. Jeden z naszych ludzi kiedyś sobie to kupił i w tydzień zamknęli wszystkich, których znał. Wystarczyło, że o kimś pomyślał. — Zaczął się przechadzać wte i wewte.

— Trzeba wykończyć cywilizację, Robert. Mówię poważnie, trzeba ją zdeptać, póki jeszcze jesteśmy ludźmi. Mieć drigger jest przecież w dobrym tonie, to obowiązek każdego, kto chce być poważny. A telewizory, przez które możesz rozmawiać z aktorami, zmieniać akcję filmów? Genialny sposób, żeby bez przerwy mieć cię na oku. Albo te różne mówiące duperele, kłamki, szklanki, długopisy... możesz sobie z nimi rozmawiać, mówić co chcesz. Dziesięciu katów nie wyciągnie z człowieka takich zeznań, jak głupi przysznic. Jak mogłeś nie pomyśleć, do czego to wszystko służy. Mało tego, ci wszyscy szpiedzy dają tyle informacji, że żaden człowiek nie byłby w stanie ich opanować. We wszystkich ścianach będą niedługo kable, wszystko, co powiesz lub pomyślisz, zostanie gdzieś zanotowane w jakimś ogromnym komputerze. Naprawdę wątpię, czy jeszcze nad tym wszystkim ktoś panuje.

Nie potrafiłem mu wtedy odpowiedzieć, dziś też bym nie potrafił. Milczałem.

— Pamiętasz jeszcze naszego dowódcę? Pamiętasz, co mówił? — spytałem w końcu. — Będziecie walczyć i ginać, kiedy inni będą spać. Ale zawsze walczycie dla nich, dla tych, którzy się przyzwyczaili i nie jest im ani dobrze, ani źle. I uważajcie, żebyście nie zaczęli ich nienawidzić za to, że byli obojętni, kiedy cierpieliście. Ilu ludzi jest w mieście? Czy oni są temu winni?

— Nie próbuj mnie przekonywać. Stary mówił też: „Kiedy dostałeś rozkaz — wykonaj go, co by się nie działo”. — Wzruszył ramionami. — Ofiar nie da się uniknąć.

„Za bardzo się emocjonujesz, Robert. Nie palnij czegoś” — przypomniał o sobie Besmof. Machinalnie sięgnąłem ręką do ucha. „Spokojnie” — syknął.

— Że też akurat teraz się tu znalazłeś. Dalej w starej organizacji?

— Rozbili ją. Przyleciałem tu, szukałem jakiegoś kontaktu. Ktoś skierował mnie tutaj, przyszedłem, dostałem po łbie...

— Kiedy indziej namawiałbym cię, żebyś do nas przyszedł. A teraz...

— Wszedł do sektora — powiedział przez ramię posąg przy pulpicie.

— Dobrze, trzymaj dalej. A teraz to się już kończy.

— Co?

— Rozmowy, filmy, dziewczyny, piwo... Wszystko. W kilka minut po eksplozji nie będzie powietrza.

— Jest przy wejściu do reaktora — zameldował Hax. Sean stał nieruchomo, zastanawiał się nad czymś.

Cymbale, zabierz mi ten pistolet, myślałem. Zawsze byłeś naiwny, nic cię życie nie nauczyło. Pewnie dlatego wsadzili cię tu, żebyś chwalebnie zdechł.

— Widzisz, Robert? Wszyscy twierdzili, że wysadzenie elektrowni jest niemożliwe. Zobacz sam.

Podszedłem do pulpitu.

— Najlepsza bomba, jaką kiedykolwiek widziałeś. Raz na jakiś czas do przedsionka reaktora wchodzi człowiek, sprawdza jakieś tam układy. Ten facet leży zaszlachtowany w jakimś kanale, zastąpił go idealnie do niego upodobniony robot z bombą w brzuchu. O, właśnie go kończą ubierać w skafander.

Jeden z opartych o ścianę posągów drgnął nagle, wyciągnął z kieszeni trzeszczącą krótkofalówkę.

— Skąd to macie?

— Mamy jeszcze przyjaciół... potężnych przyjaciół.

— Idą tu — powiedział ten z krótkofalówką — ze dwa plutony, jest strzelanina na górze, Brand mówi, że długo ich nie powstrzyma.

Na ekranie przesunęły się masywne szare wrota, jedno, drugie, trzecie.

— Jest w przedsionku. — Głos Haxa jakby odrobinę drżał. — Wysadzać?

— A po co tu jesteś? Albo daj, sam to zrobię. — I zanim zdążyłem się poruszyć, wcisnął czerwony taster. Obraz na ekranach znieruchomiał.

Na chwilę wszyscy zastygli w bezruchu. Sean wcisnął przycisk jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze...

— To nie działa! — ryczał tłukąc w pulpity pięściami i kopiąc go. — To cholerne żelastwo nie działa! Nie działa! Znowu zaczynać wszystko od początku!

Spod pulpitu poszedł dym.

— To od początku nie działało — powiedziałem, sam nic wiem dlaczego. Sean odwrócił się i podszedł do mnie.

— Co powiedziałeś? — Chwycił mnie za kurtkę i wyciągnął ze zdziwieniem z mojej kłapy mikrofon w kształcie szpilki.

— Ty bandyto! — niemalże zaskowyczał.

Odskok pod ścianę. Pistolet. — Nie ruszajcie się! — Któryś podniósł automat, upadłem, kule trafiły w ścianę nade mną, zacząłem strzelać.

Nie chciałem tego. Ale, oczywiście, nie mogli przecieżyć się poddać.

\* \* \*

Muszę przerwać pisanie. Ciężko mi, kiedy sobie to przypominam. Chodzę w tę i z powrotem po pełnej ekranów i lamp kontrolnych kabinie. Przede mną jeszcze dwa miesiące dyżuru, potem położę się spać, zastąpi mnie ktoś inny. Obudzę się znowu za kilkanaście lat i opiszę inny fragment swojego życia.

Są dwie rozmowy, które wbiły mi się w pamięć na zawsze. Pierwsza — to ta w więzieniu, z Besmofem. Druga — właśnie wtedy, z Seanem. On dobrze wiedział, ku czemu to wszystko zmierza. Siedzę tu i czuwam nad tysiącem zamrożonych ludzi, którzy kiedyś osiadą na dalekiej planecie, założą nową kolonię. I wszystko tam będzie tak, jak było. My wrócimy na

Ziemię po nowych ludzi i z powrotem... Boję się myśleć, co zastaniemy na tej planecie po kilkuset latach, gdy wrócimy, gdy będzie tam już zbudowana, zorganizowana kolonia. Boję się myśleć, co zastaniemy, gdy wrócimy na Ziemię.

Mógłbym teraz zabić ich wszystkich. Wystarczy wcisnąć kilka guzików. To byłoby jedyne logiczne zamknięcie tego bezsensownego ciągu. Chciałem nawet tak zakończyć tę opowieść, jak wstaję, idę pomiędzy hibernatory i zabijam ich po kolei, naukowców, lekarzy, policjantów... Bardzo fajnie mi się to pisało. Tylko że nigdy bym się na coś takiego nie zdobył. Nie umiem tak zabijać jak Sean. Chodzę nerwowym krokiem po sterowni, przyglądam się pulpitom, ekranom. Czas na następny obchód, potem będę pisał dalej.

\* \* \*

— Robert, jesteś tam? Robert? — dźwięczał głos w mym uchu.

— Jestem. W porządku.

— Rób co do ciebie należy. Szybko.

Podniosłem się, podszedłem chwiejnie do Seana. Rozdarłem podszewkę kurtki, wyjąłem spod niej papiery i włożyłem mu do kieszeni.

— Już.

Odłożyłem pistolet i stanąłem opierając się o ścianę. Tupot, drzwi otwarte kopniakiem, kilku mundurowych policjantów w hełmach i kuloodpornych kamizelkach, z nastawioną bronią. Za nimi Besmof, uśmiechnięty, w galowym mundurze, kamery, flesze, skąd oni się tu wzięli?

Błysk, błysk, jakiś reporter pochylił się nad trupem Seana, odwrócił go kopniakiem na plecy i zaczął filmować jego twarz. Złapałem go mocno za ramię.

— Spokojnie. — Besmof wziął mnie za rękę, wyprowadził między szpalerem uzbrojonych policjantów w korytarz, potem po schodach na górę. Skręciliśmy gdzieś na bok, do innego wyjścia. Schody, klatka schodowa, drzwi. Świeże powietrze.

— Dobrze się spisałeś, a niewiele brakowało... — powiedział. — No, dobrze. Możesz wracać do siebie, do astimaców.

— Nie wrócę tam.

— Rano będziesz sławny. Uratowałeś miasto. Jesteś bohaterem.

— Nie wrócę tam. — Odwróciłem się, zrobiłem kilka kroków i bezwiednie wróciłem do niego.

— Miałem jeszcze drugą ofertę pracy, w Lotach Kosmicznych. Pójdę tam.

— Idź, gdzie chcesz. Na razie, może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Odwrócił się i szedł w kierunku drzwi.

— Besmof! Stój! Skąd oni mieli ten sprzęt, tego robota...

Zaśmiał się: — Zgadnij. — I zniknął w drzwiach.

Zostałem sam na pustej ulicy, z kompletną pustką w głowie.

grudzień 1983